

HARRY MULISCH

# PROCEDURA

tłumaczył Jerzy Koch

---

## AKTA A MÓWIENIE

---

*Do tego stopnia sztuka zdołała ukryć sztukę.*

## Zeszyt pierwszy

# Człowiek

Oczywiście że mogę zacząć ni stąd, ni zowąd od takiego zdania, jak: *Zadzwoił telefon*. Kto i do kogo dzwoni? Dlaczego? To chyba musi być coś ważnego, w przeciwnym razie akta nie zaczynałyby się w ten sposób. Napięcie! Akcja! Jednak tym razem tak nie będzie. Wręcz przeciwnie. Zanim cokolwiek zostanie tu powołane do życia, trzeba, abyśmy ja i ty przygotowali się przez akt skruchy oraz modlitwę. Kto w celu zabicia czasu pragnie, by bezzwłocznie owładnęło nim uniesienie, może od razu zamknąć tę książkę, włączyć telewizor i zagłębić się w fotelu niczym w pianie gorącej kąpieli. My dalsze pisanie i czytanie poprzedzimy najpierw jednym dniem postu, potem kąpielą w chłodnej i czystej wodzie, a na koniec przepaszemy się szatą z najdelikatniejszego białego lnu.

Wyłączyłem telefon i dzwonek do drzwi, odwróciłem zegarek na biurku; w mojej pracowni wszystko czeka na nadchodzące wydarzenia. Za oknem na skwerze zachodzące jesienne słońce świeci oślepiającym blaskiem, a w ultramarynie ekranu komputera zjawiają się pierwsze światłodajne słowa. Z rozpalonego nieba na zachodzie jak płynne złoto z hutniczego pieca wysuwają się tramwajowe szyny, z chaosu, spośród czarnych drzew wyłaniają się samochody i na powrót w nim giną, ludzie kroczą na czele swych cieni, które ciągną się za nimi metrami. Obserwując położenie słońca w moim pokoju, wiem, która godzina: światło wpada do środka ukośnie, jest szósta, godzina szczytu, dla większości ludzi dzień pracy dobiega końca.

Powstanie człowieka jest sprawą zawiłą. Co do tego nadal nie ma jasności, i to nie tylko w środowisku biologów, lecz również w kręgach teologów. W Biblii istota ta stwarzana jest aż dwa razy, a w pewnym sensie nawet jeszcze jeden, trzeci raz. Księga Rodzaju 1,27 wspomina, iż szóstego i ostatniego dnia stworzenia stało się, co następuje: *Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę.* Było ich zatem dwoje; zaraz potem Bóg powiedział: *Bądźcie płodni i rozmnażajcie się.* Mężczyzną tym był Adam, lecz kobietą nie była Ewa, gdyż pramatka nas wszystkich ujrzała światło życia dopiero potem, kiedy tydzień stworzenia miał się już na dobre ku końcowi; nie została stworzona oddzielnie, tylko z żebra Adama. On sam wypowiedział się na ten temat bez ogródek w Księdze Rodzaju 2,23, oświadczając: *Ta dopiero jest kością z moich kości i ciałem z mego ciała.* Nareszcie! Również i z tego wynika, że Ewa była drugą kobietą w jego życiu. Co zatem z pierwszą? Kim była? Na szczęście specjaliści rozwikłali i to: Lilith.

Świadoma własnej odrębności, ponieważ tak jak Adam stworzona osobno, nie życzyła sobie być mu poddaną. Zerwanie nastąpiło ze względu na procedurę „rozmnażania się”: nie chciała być partnerem podległym. W tej ich erotyczno-technicznej kontrowersji pewną rolę odegrał zapewne fakt, że Adam miał jeszcze wtedy w swych członkach Ewę i na tym etapie musiał być typem raczej zniewieściałym. Spór eskalował i Lilith w końcu uczyniła coś strasznego: zaklęła. To znaczy wymówiła niewymawialne, złożone z siedemdziesięciu dwu liter imię JHWH i w tej samej chwili zamieniła się w demona i odleciała. JHWH natychmiast wysłał za nią anioły SNWJ, SNSNWJ i SMNGLF, które przechwyciły ją nad Morzem Czerwonym. Ale nie były w stanie jej wyeliminować. Od tej pory poluje na samotnych mężczyzn i dusi noworodki. Jednym słowem Lilith pod każdym względem jest zaprzeczeniem późniejszej Ewy, pramatki, która powstając, zrobiła dopiero z Adama prawdziwego faceta.

Ale ów Adam został już wtedy – a więc po tygodniu stworzenia – stworzony po raz drugi. Kto ma jeszcze w domu Biblię (inaczej będzie musiał zająć do szafki nocnej w najbliższym hotelu), niech przeczyta w Księdze Rodzaju 2,7: *wtedy to JHWH ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia, wskutek czego stał się człowiek istotą żywą*. W odróżnieniu od pierwszego razu teraz poznajemy nieco więcej konkretów, choć i tak zbyt mało, żeby samemu spróbować. Na szczęście są jeszcze inne źródła oprócz Biblii. Nie czyniąc rozróżnienia między pierwszym a drugim stworzeniem Adama, niektórzy uczeni przez całe wieki starali się odtworzyć szósty i ostatni dzień stworzenia godzina po godzinie, ale zaprezentowane przez nich rekonstrukcje nie przystają do siebie. Według jednego z nich Adam pojawił się w myślach JHWH w pierwszej godzinie. Ten zaś omówił swój pomysł z prezydium archaniołów w drugiej godzinie. Niektórzy uznali plan za dobry, inni byli mu przeciwni; a kiedy anioły tak deliberowały i handryczyły się, JHWH zaczął w trzeciej godzinie zgarniać czerwoną, czarną, białą i brązową ziemię. Nie był to oczywiście materiał byle jaki, lecz najdelikatniejszy proch ze wszystkich stron świata, przede wszystkim z miejsca, gdzie później wznosić się miała świątynia Salomona. W czwartej godzinie dodał krystalicznej wody i zagniótł to wszystko w glinę. W piątej godzinie uformował ciało Adama. W szóstej zrobił z niego *golema*, „załążek ziemi”: twór, który nie był nieorganiczny, ale też nie był jeszcze człowiekiem. W siódmej godzinie, na Górze Świątyni, gdzie potem rozegrało się tyle pamiętnych wydarzeń, tchnął ducha w embrionalną istotę, po czym, w ósmej godzinie, postawił Adama („Ziemie”) w raju, gdzie ten pokazał, iż potrafi mówić, nadając zwierzętom imiona: „szympan”, „orangutan”...

W niebie anioły w dalszym ciągu spierały się co do celowości stworzenia człowieka, ale JHWH rzekł: „O czym tu jeszcze mówić? Już został stworzony”. Zresztą zdaje się, że także potem miał problemy ze swoimi ministrami, gdyż według niektórych źródeł Adam był początkowo tak wielki jak całe uniwersum, co wywoływało w nich poczucie zagrożenia. Dlatego w końcu sprowadził go do bardziej umiarkowanych, choć nadal gigantycznych proporcji. Dzisiejsze rozmiary on i Ewa otrzymali dopiero po upadku.

W taki oto sposób dowiadujemy się coraz więcej. Ja sam – z racji zawodu – jestem ciekaw dalszych szczegółów owej tajemniczej szóstej godziny. Co tak naprawdę wyczyniał wówczas JHWH? Stadia pośrednie, powstawanie, zanikanie, zmierzchanie, przeobrażanie, są zawsze bardziej intrygujące od tego, co już jest, czego jeszcze nie ma lub już nie ma. Przemiana siódmej godziny, przemiana materii organicznej w człowieka dzięki boskiemu życiodajnemu tchnieniu jest mniej istotna od przemiany martwej materii w żywą w godzinie szóstej. Różnica między amebą a człowiekiem jest mniejsza niż różnica między kryształem a amebą, gdyż wynosi niemal 100 procent. (Niemał? A nie 100 procent? Więc ile? 99,999?... Cierpliwości!) Podczas przemiany w szóstej godzinie wydarzyło się zatem coś fundamentalnego. Co dokładnie?

Mam radosną wiadomość. W niemal nieskończonych pieczarach i szparach tego, co napisane, znajduje się pismo traktujące o tym: *Sefer Jecirah – Księga Stworzenia*. Napisane po hebrajsku w Palestynie, przypuszczalnie około trzeciego wieku, przez anonimowego żydowskiego neopitagorejczyka, jest całkowitym zaprzeczeniem tego, co u schyłku dwudziestego wieku uchodzi za czytelny tekst. Wątpię, czy na całym świecie znalazłoby się w tej chwili więcej niż stu ludzi pochylonych nad tą zagadkową księgą; jest to coś na kształt tajemnej, metafizycznej królewskiej komnaty w piramidzie pisma. „Księga” to wielkie słowo; rzecz składa się z sześciu krótkich części, podzielonych na osiemdziesiąt jeden fragmentów, w sumie niecałe dwa tysiące słów, a to oznacza zaledwie pięć stron formatu A4. Muszę wyznać, że wprawia mnie to w zawodową zazdrość: pięć stron A4! Ponieważ ilość jest też jakością, każdy pisarz życzy sobie książki o tysiącu stron – ale pięciostronicowy traktat, studiowany od wieków, wyposażony w niezliczone komentarze i nadal nieujawniający swej tajemnicy, to coś zupełnie innego.

Tekst kończy się informacją, że również Abraham studiował i zrozumiał księgę, dzięki czemu w twórczym wymiarze stał się niemal równy Bogu; wszyscy pozostali nie byli w stanie pojąć z tego ani krzty. Ludzie, którzy w średniowieczu mieli na ten temat jakąś wiedzę, dodali jeszcze, że Abraham początkowo poświęcił się studiom w samotności, ale wtedy usłyszał nagle głos JHWH – prawdziwego autora – mówiący, że nikt nie jest w stanie w pojedynkę pojąć *Sefer Jecirah* i że należy to robić parami. Abraham wybrał do tego swojego nauczyciela Sema, syna Noego. Ta reguła dwoistości obowiązuje do dnia dzisiejszego, ale to dobrze się składa, bo jesteśmy parą, ty i ja.

Posłuchaj. Wiesz zapewne, że świat i Adam zostali stworzeni przez słowo, ale jak wyglądało to technicznie, można się dowiedzieć wyłącznie z zagadkowej instrukcji, której używał sam JHWH, a zatem pochodzącej sprzed stworzenia. Tej lingwistycznej kreacji nie pojmuję się tam w znaczeniu przenośnym, co jest najczęściej spotykane, lecz – z nieubłaganą konsekwencją żydowskiej mistyki – dosłownie. Ponieważ słowa składają się z liter, tak jak molekuly z atomów, uwagę należy skierować na elementarne komponenty: dwadzieścia dwie litery hebrajskiego alfabetu, zwanego *othioth*. Nie zapominajmy bowiem, że świat został stworzony po hebrajsku; w innym języku byłoby to niemożliwe, a już z pewnością nie w niderlandzkim, którego pisownia nawet w chwili, gdy nadejdzie koniec świata, nie będzie jeszcze ustalona. Dla porównania wymienię ten podniosły *othioth*: Alef [א], Bet [ב], Gimel [ג], Dalet [ד], He [ה], Waw [ו], Zain [ז], Het [ח], Tet [ט], Jod [י], Ka [ך], Lamed [ל], Mem [מ], Nun [נ], Samek [ס], Ain [ע], Pe [פ], Cade [ץ], Kof [ק], Resz [ר], Szin [ש], Taw [ת]. Składają się nań tylko spółgłoski. Także Alef i Ain są spółgłoskami. Alef jednak nie jest dźwiękiem *a*, tylko twardym chrząknięciem w gardle, podobne wydajemy, kiedy się nagle zatniemy lub oparzymy – tak zwanym zwarciem krtaniowym, co podług filologów należy sobie wyobrażać jako wędkarski haczyk, wrzucony do gardła i natychmiast wyciągany. Spółgłoski tworzą widoczne ciało słów – ich duszę stanowią samogłoski, są zatem niewidoczne. Czyli: CH DSz STNW SMGŁSK, SZTM NWDCzN.

Pierwszy rozdział traktuje o *trzydziestu dwóch ukrytych ścieżkach mądrości*, a są to *tajemnicze coś bez czegoś* od jeden do dziesięć plus dwadzieścia dwie litery, które wyrył JHWH. On sam, Duch Boga Żywego, jest jeden, z dwa i trzy stworzył powietrze i wodę, w niej zaś wyciosał muł i glinę, a dopiero z cztery niebo i anioły.

W liczbach od pięć do dziesięć zapieczętował wysokość, niskość, południe i północ permutacjami swego niewymawialnego Imienia: JHW, JWH, HJW, HWJ, WJH i WHJ. Dalej nie ma już ani słowa o liczbach, mówi się jedynie o literach.

Abyś mógł sobie wyrobić jakie takie wyobrażenie, podaję ci w zaufaniu fragmenty drugiej części instrukcji JHWH:

1. *Dwadzieścia dwie litery: trzy matki, siedem podwójnych i dwanaście pojedynczych. Trzy matki Alef, Mem, Szin, ich fundamentem: szala zasług i szala win, a język jest ruchomym rozjemcą między nimi. Trzy matki Alef, Mem, Szin: Mem milczy, Szin syczy, Alef utrzymuje je w równowadze.*

2. *Dwadzieścia dwie litery: sformułował je, wyźłobił je, zważył je, łączył je i zamieniał, każdą z każdą; z ich pomocą ukształtował całe stworzenie i wszystko, co ma być jeszcze stworzeniem.*

3. *Dwadzieścia dwie litery: trzy matki, siedem podwójnych i dwanaście pojedynczych; zostały sformułowane w jego głosie, ukształtowane w powietrzu i rozstawione w pięciu miejscach ust. Litery Alef, He, Het, Ain w gardle, Gimel, Jod, Kaf, Kof na podniebieniu, Dalet, Tet, Lamed, Nun, Taw na języku, Zain, Samek, Cade, Resz, Szin na zębach, Bet, Waw, Mem, Pe na wargach.*

4. *Dwadzieścia dwie litery: zostały ustawione w krąg niczym mur z dwustu trzydziestoma jeden bramami. Krąg może się poruszać do przodu lub do tyłu, a jego znakiem jest: w dobru nic nie przewyższy Ain Nun Gimel (= „rozkoszy”) i w złu nic nie przewyższy Nun Gimel Ain (= „trądu”).*

5. *Jak łączył je i zamieniał je? Alef z nimi wszystkimi i wszystkie je z Alef Bet z nimi wszystkimi i je wszystkie z Bet, Gimel z nimi wszystkimi i je wszystkie z Gimel, a wszystkie powracają po okręgu do wyjścia przez dwieście trzydzieści jeden bram, i stąd wszystko stworzenie i wszystek język pochodzi z jednego jedynego Imienia.*

6. *On stworzył coś z niczego i nieistniejące uczynił istniejącym; ukształtował potężne kolumny z nieuchwytnego powietrza. Oto znak: wejrzał, przemówił i uczynił całe stworzenie i wszystkie rzeczy z jednego jedynego Imienia, którego znakiem dwadzieścia dwie rzeczy w jednym ciele.*



Tym jednym imieniem, z którego wszystko pochodzi, jest więc niewymawialne imię Boga: tetragram JHWH. W czterech pozostałych rozdziałach, z wieloma odesłaniami do przyrody, ludzkiego ciała i pór roku, wszystko rodzi się w przestrzeni i czasie dzięki tajemnym kombinacjom i permutacjom „trzech matek”, „siedmiu podwójnych” i „dwunastu pojedynczych”.

*Księga Stworzenia* jest najwyższą odą do pisma, jaka kiedykolwiek powstała.

## Zeszyt drugi

# Bohater

A zatem zamysł się powiódł. Jesteśmy ze sobą. Współczelniczy nieczyści uciekli na łeb na szyję przed wszystkimi tymi upiornymi literami. „To do niczego nie jest podobne!” – dochodził mnie ich krzyk. Ty powiedziałaś niby to samo, a jednak inaczej: „To z niczym nie daje się porównać”. I zostałeś tylko ty. Nie widzę ciebie, nie wiem, jak się nazywasz, i wychodzę na półgłówek, który na chybił trafił wykręca jakiś numer telefoniczny.

Po wielu latach rozmyślań nad tymi aktami, eksperymentowania, porażek, niekiedy aż do granic wyczerpania, pojąłem, że potrzebna jest mi pomoc, tak jak Abrahamowi. Tylko dokąd miałem się po nią udać? Ciebie wówczas jeszcze nie było. Żeby chociaż zacząć to opowiadanie – które tymczasem już się zaczęło, mimo że według ciebie na razie nie przypomina za bardzo opowiadania, ale to jeszcze przed nami – postanowiłem szukać wyżej od siebie i zwróciłem się do mojego transcendentnego kolegi. Także jego stworzenie – świat, człowiek – jest przecież z gatunku lingwistycznego, w ostatecznym rozrachunku jest wręcz kwestią ortograficzną, tak jak świat i ludzie, których teraz ja pragnę przywołać. Oni również zostają uobeczeni nie przez co innego jak tylko litery i cyfry. Spójrz na moją klawiaturę, ja widzę wyłącznie alfabet i cyfry od 0 do 9, które świetlistymi kształtami pojawiają się na ekranie; pozostałe znaki to rzecz uboczna. Poza tym *alef-bet* składa się prócz liter także z cyfr – a skoro słowa można jednocześnie czytać jako liczby, opowiadanie zaś jest zarazem wymienianiem słów i ich wyliczaniem – to rzecz jasna otwierają się nieznane możliwości.

Jeśli się teraz ograniczę do *imitatio dei*, jako cień JHWH, to moje imię również musi być cieniem jego niewymawialnego imienia. Znaki są sprzyjające. Wziąwszy pod uwagę, iż „trzy matki” A M Sh, które JHWH włączył do swego imienia, są inicjałami mojej rodzonej żydowskiej matki, musi ono zatem od niego pochodzić, tak jak ja sam od niego pochodzę. Czyli takie jest przeznaczenie. Teraz pozostaje tylko wciągnąć do gry mojego czeskiego ojca, którego rodzice pobrali się w Pradze – i oto jest: *Wiktor Werker, Wiktor Robotnik!*

Na wstępie zamieszczę poniższe trzy rozważania na marginesie.

*Pierwsze rozważanie na marginesie.* – Poeci są słowopisarzami, a zatem są nieprzetłumaczalni, ponieważ w procesie tłumaczenia ich słowa znikają. Każde słowo ma pewien dźwięk i ten dźwięk w innym języku zmienia się w inny, którego poeta nie miał na myśli. To tak, jakby sonata Beethovena wykonywana w Holandii miała mieć pierwszy dźwięk o tercję wyższy, drugi o kwintę niższy itd., a we Francji o kwartę niższy i septymę wyższy itd. Powieściopisarzy natomiast można podzielić na zdaniopisarzy i książkopisarzy. Nabokov pisał niezapomniane zdania, Dostojewski niezapomniane książki. Różne umysły różnie się zapatrują na kwestie tego, co znaczy być „dobrym pisarzem”. Nabokov jest dobrym pisarzem, Dostojewski wielkim. Ze zdaniopisarza w złym przekładzie nie ostanie się wiele, dla wielkiego pisarza nie ma to specjalnego znaczenia. Jego język musi zupełnie zniknąć, ma zostać tylko opowiadanie. Kiedy proza zerka na poezję i koncentruje uwagę na samej sobie niczym damulka przed lustrem, wówczas następuje to, co przytrafia się osobie, która wie, że jest piękna: robi się brzydka – dzieje się tak na pewno, jeśli jest rodzaju żeńskiego. Tylko dzieci i zwierzęta mogą być doskonale piękne.

A ze mną – jeśli wolno mi tak powiedzieć – jest jeszcze gorzej. Kiedy w danym momencie mojego życia piszę jakąś literę, na przykład trzy słowa temu napisałem literę *i* w słowie *piszę*, po niderlandzku *schrijf*, wówczas nie piszę tak zwyczajnie litery *i*, a nad nią kropki, ani joty z kropką, ani zwyczajnie *i* z dyftongu *ij*, tylko pisząc to *i*, pisałem *i* w słowie *piszę*, po niderlandzku *schrijf*, a kiedy pisałem *i* w słowie *piszę*, pisałem nie tylko słowo *piszę*, ale i całe zdanie, a także poprzednie i również następne: wszystkie zdania, cały niniejszy rozdział, całą tę książkę, wszystkie 60 340 słowa – tak, wszystko, co kiedykolwiek napisałem i kiedykolwiek jeszcze napiszę. Nie jestem słowopisarzem ani zdaniopisarzem, lecz dziełopisarzem. Nie byłbym w stanie sensownie napisać owego *i*, gdyby wszystko w ten czy inny sposób już nie istniało. Pytanie tylko gdzie. Zapewne nie na tym świecie, bo tu nawet dla mnie samego pojawia się dopiero wtedy, kiedy zostanie napisane. A zatem jest jeszcze inny świat – teraz to już dowiedzione.

Jeśli sprawy tak się mają, muszę postępować niezwykle ostrożnie. W ostatecznym rozrachunku piszę średnio jedno zdanie na godzinę. Ty zaś czytasz takie zdanie przeciętnie w ciągu dziesięciu sekund. Ta dysproporcja zostaje zniesiona, jeśli moje zdanie przeczyta  $6 \times 60 = 360$  czytelników, a to nakład hermetycznego tomiku poetyckiego. Mój bonus zaczyna się wraz z trzysta sześćdziesiątym pierwszym czytelnikiem. Pierwszy nakład tej książki to 50 000 egzemplarzy. Załóżmy, że więcej już nie będzie i że każdy egzemplarz przeczyta przynajmniej jedna osoba, wówczas każde zdanie będzie czytane przez 500 000 sekund – toż to prawie cały tydzień!

*Drugie rozważanie na marginesie.* – Przez cały wiek opowiadaniu nie wolno było przypominać opowiadania, lecz jedynie tak zwaną rzeczywistość; w ciągu tych stu lat opowiadający musiał być równie niewidoczny i anonimowy jak słuchacz. Taki przepis pochodzi z płaszcza Flauberta. (Dziwaczne wyrażenie? To ponoć Dostojewski powiedział kiedyś: „Wszyscy wyszliśmy z *Płaszcz Gogola*”.) Kiedy opowiadający mówił „ja”, nie wolno mu było mieć siebie na myśli, „ja” miało być kimś innym: „opowiadającym”, postacią prowadzącą narrację. Nazywało się to realizmem, ale realizmem wcale nie było. Tę męczarnię mamy wreszcie za sobą, gdyż opowiadanie, jak odkryli opowiadający, kiedy już ochłonęli, nie istnieje w inny sposób niż jako opowiadanie opowiadającego. Osobiście nigdy nie przejmowałem się flaubertyńskim kamuflażem. Jednocześnie ze śmiercią opowiadającego Nietzsche proklamował śmierć Boga, ja jednak od samego początku byłem święcie przekonany, że opowiadanie daje tylko pozorny obraz świata, którym rządzi wolna wola i przypadek; bo przecież w opowiadaniu nawet najmniejszy drobiazg został przewidziany i ustalony przez wszechwiedzącego, wszechmocnego, wszystko przewidującego narratora, nawet to, co z pozoru jest wolne i przypadkowe. Uważałem, iż każde opowiadanie, w tym także opowiadanie zagorzałego ateisty, chcąc nie chcąc, odzwierciedla stworzony świat, w którym panuje ultraortodoksyjny bóg. Jednym słowem literatura jest niejako z natury teologiczna, więc, jak sądziłem, winna zrezygnować z iluzji, że jest w stanie dać wierny obraz istniejącej rzeczywistości.

Potem jednak okazało się, że sprawa wcale nie jest taka prosta. Nie zarejestrowałem czegoś, co już od dawna było dobrze widoczne. Opowiadający opowiadanie jest i zarazem *nie* jest narratorem. Samo opowiadanie to właściwy opowiadający, opowiada samo siebie; od pierwszego zdania opowiadanie zaskakuje także opowiadającego, o czyni wiedzą wszyscy opowiadający. Właściwą przygodą jest *opowiadanie* przygody. Bo nie jest tak, że opowiadający à la Flaubert wprowadzie istnieje, ale nie wolno mu zaistnieć i musi się ukrywać, on bowiem faktycznie nie istnieje, a jednocześnie przecież istnieje i snuje opowiadanie. I w tym sensie, przez swój przewidywalno-nieprzewidywalny sposób powstawania, przez swą wolną wolę, opowiadanie daje w końcu zgodny z prawdą wizerunek świata – podobnie zresztą jak rzeczywistość fizyczna, którą przyczyna i skutek określają tylko do pewnego stopnia, bo tak naprawdę w ostatecznym rozrachunku rządzą nią fundamentalne niepewności, prawdopodobieństwa, przypadek.

A zatem pisarz, który oświadcza, że się wypisał, ponieważ nie ma „już nic więcej do powiedzenia”, nigdy nie był prawdziwym pisarzem. Powiedział, co miał do powiedzenia, tylko że prawdziwy pisarz nigdy nie ma czegoś do powiedzenia, to jego opowiadania mają coś do powiedzenia, przede wszystkim jemu samemu – i tak już będzie aż do jego śmierci na polu literackim, w chwale.

Zresztą jeśli chodzi o moją omyłkę, przebywam w doborowym towarzystwie. Także JHWH się pomylił: sądził zrazu, że jego stworzenie było „bardzo dobre”, ale okazało się, że wcale tak nie było; w efekcie musiał przyjść potop, a następnie mesjasz, aby doprowadzić to wszystko do ładu. Z perspektywy czasu nawet te drakońskie środki okazały się niewystarczające – będzie musiał obmyślić jeszcze trzeci precedens. Czas nagli.

*Trzecie rozważanie na marginesie.* – Opowiadający, który istnieje i nie istnieje – do czego porównać taką logiczną niemożliwość? Chyba do stwarzającego boga, patriarchy o jasnym umyśle, który z dystansem zasiada w abstrakcyjno-higienicznym areale liczb, liter i słów. Ale też do rodzącej kobiety: miesiącami robiła dziecko, nawet nie wiedząc, jak to robi, chociaż to ona robiła, to nie *ona* robiła, i na dodatek nie wie, kogo urodzi, to okaże się dopiero przy porodzie we krwi, kale, krzykach, bólu, a na dobrą sprawę dopiero po miesiącach i całych latach.

Biorąc pod uwagę, że zarówno w toku postępowania patriarchy, jak i matriarchini obowiązują słowo i krew, tych dwoje musi być związanych węzłem małżeńskim. Jeśli ma powstać arcydzieło, wówczas *imitatio dei* musi iść w parze z *imitatio deae*.

Zresztą równie dobrze coś innego mogło mnie naprowadzić na ten ślad. Za każdym razem, kiedy pisać, okazywałem się płodny, nie mogłem sobie potem przypomnieć, jak to zrobiłem – tak samo w ciągu dnia nie wiem, co to znaczy śnić, choć w nocy nie mam z tym trudności. Kiedy pisanie idzie jak z płatka, nie mogę sobie wyobrazić, jak to jest *nie* pisać, ale kiedy się zatnę, nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jak mam to robić, jak pisać. Nie, naprawdę, nie mam pojęcia, chociaż napisałem tysiące stron. Wtedy moim udziałem staje się obraz żaglowca sprzed stuleci, który na wysokości równika beznadziejnie kołysze się na flaucie. Oczywiście kapitan może patriarchalnie wydać rozkaz wiosłowania, ale tego nie da się porównać z tym, co się dzieje, kiedy nagle matriarchalny wiatr w końcu zrywa się, kiedy obwisłe żagle zaczynają łopotać i po chwili wypełniają się wiatrem.

Jak powstaje opowiadanie? Pomyśl o filmie nakręconym podczas wysadzania fabryki w powietrze. Widzisz eksplozję, załamujące się ściany, wysoki komin opadający zygżakiem, aż wszystko zamienia się w kupę gruzu, w olbrzymią chmurę unoszących się pyłów, którą rozwiewa wiatr. Potem zapomnij o filmie. Widzisz ostatni obraz, a później film powoli się cofa. W powietrzu tworzy się cudowna chmura pyłów, która powoli zapada się w gruzowisko, które z kolei przekształca się w budynek, komin wznosi się zygżakiem, ściany się dźwigają, aż w końcu staje fabryka. Tak się to odbywa. Nasuwa się pytanie: jak to możliwe, że nie ma procesu odwrotnego, tylko sam proces? Czyżby zabudowania istniały już w jakiś sposób, zanim zaistniały? Może. Gdzie? Nie wiem.

A właściwie dlaczego człowiek próbuje, i to wciąż na nowo? Ponieważ chce żyć w dwóch światach. Jeden mu nie wystarcza. To nie ja wymyślam problematyczne opowiadanie, które, przecząc drugiej zasadzie termodynamiki, także tym razem zaczyna się rozgrywać przed moimi oczami i które teraz zaczynam opowiadać, to ono posługuje się mną, aby zaistnieć, tak jak dziecko matką. Ja, który to opowiadam, opowiadam to nie tylko dla ciebie – robię to, ponieważ przede wszystkim *sam* chcę wiedzieć, jakie opowiadanie opowiadam. Nigdy nie dość powtarzania tego, bo gdybym wiedział, po co wówczas miałbym jeszcze opowiadać? Na co cały ten trud! Wszystkie obliczenia! Wszystkie bóle! To jest nie tylko proces ode mnie na ekran, ale w jeszcze większym stopniu od ekranu do mnie. To sprzężenie zwrotne, rozmowa, w której nie ja, tylko opowiadanie ma decydujące słowo i stawia na swoim.

Wiszę u własnych warg, cały zamieniony w słuch, a ty możesz się przysłuchiwać, gdy ja tak słucham własnego opowiadania, które nie jest moim opowiadaniem – które naprawdę się nie wydarzyło, lecz naprawdę się wydarza: tu i teraz.

W pewnym dalekim kraju był sobie... nie, nie tak. Teraz, w tym kraju, jest człowiek imieniem Werker. To wiem na pewno. Wiktor Werker, Wiktor Robotnik. Nie pytaj, skąd to wiem, bo tego nie wiem. Czy ma znaczenie, jak się nazywa? Czy każde stworzonko musi mieć imię? Czy Adolf Hitler mógł się nazywać Bubi Mauskopf? *What's in a name?*, pytał Szekspir. Wszystko – JHWH moim świadkiem. W Nowym Testamencie napisano, że we śnie ukazał się Józefowi anioł i oświadczył mu, że jego żona jest w ciąży z Duchem Świętym i urodzi mesjasza, który musi się nazywać Jezus. Wyobraź sobie, że Józef sprzeciwiłby się tej sugestii i nazwał dziecko Maurice – co by się wówczas stało z chrześcijaństwem? Nic. *That's in a name!* Za tę pyszałkową uwagę Szekspira pokarało już dawno, bo do dzisiaj utrzymują się teorie, że nigdy nie istniał, że nazywał się Francis Bacon lub Edward de Vere.

Ściemnia się, jest jesień, październik, na dworze pada. Wiktor Werker siedzi w półobrocie na kanapie w swojej pracowni i przygląda się zdjęciu w wielkim albumie leżącym obok. Między wysokimi zielonymi krzewami po obu stronach, w cieniu masywnej skały, która zupełnie jakby stoczyła się z Olimpu i znieruchomiła tuż przed nią, siedzi w rozkroku, w długiej sukni, tak białej jak peplos noszony przez tamtejsze kobiety już trzy tysiące lat temu. Za nią widać mroczne wejście do groty. Jest blondynką o szerokich ramionach pływaczki; w dłoni ma nadgryzione jabłko. Na pierwszym planie widać osty i zeschnięte trawy; tego popołudnia światło i żar rozlały się po opustoszałych ruinach ateńskiej agory niczym ukrop, ale po niej nie widać tej przemocy. Spogląda na niego z nieprzeniknionym uśmiechem, który, jak mu się wydaje, dopiero teraz zaczyna rozumieć. Z głośników jego wieży stereofonicznej pobrzmiewa *Czwarta* Mahlera, dyryguje Bernstein.



Podnosi się i z albumem w dłoniach, niczym ze złamaną tacą, podchodzi do biurka. Teraz uwagę zwracają jego dłonie oraz to, że jest tak wysoki i szczupły. Taką budowę ciała Kretschmar nazywał „leptosomiczną”, w książce, której nikt już nie czyta, ale on w młodości ją przestudiował, podobnie jak jeszcze starsze prace z tego zakresu, Lavatera, Galla, Carusa, nadal stojące na najniższej półce biblioteczki. Przystojny mężczyzna w sile wieku, tak opisałbym go w fizjonomicznych czasach Lavatera: wysokie czoło, łagodne oczy zapowiadające uśmiech, silnie zarysowany nos, szerokie, subtelne usta, falujące ciemnoblonde włosy, może nieco przydługie, ale dostojnie siwiejące na skroniach. Ma na sobie elegancki popielaty garnitur i czarny golf. Ale jego wąskie, owłosione dłonie wyglądają jak spalone albo poparzone kwasem; faktycznie kilka razy niewiele brakowało, ale to vitiligo sprawiło, że właściwie cała jego aparycja na tym cierpi. Palce i większa powierzchnia grzbietów dłoni są kredowobiałe, także włosy w tych miejscach są białe; przejście do normalnej skóry ukształtowało się w kapryśną linię brzegową, niczym wybrzeże Grecji, z występującymi tu i ówdzie białymi wysepkami pozbawionymi pigmentu. Takie małe przebarwienia miał już jako dziecko, ale w ostatnich latach raptownie się powiększyły. Zupełnie jakby dłonie aż po przeguby zanurzył w śmierci.

Siada przy biurku, odsuwa na bok telefon komórkowy, zapala lampę i przez lupę studiuje jej twarz. Wie, że ziemia jest wielka, że żyje teraz sześć miliardów ludzi, z których większość ma twarze; ale twarz owej kobiety w cieniu skały wydaje się jakby z innego porządku niż pozostałe trzy miliardy kobiecych twarzy. I naprawdę tak jest, a dotyczy to także innych twarzy, dla niego jednak liczy się tylko wyjątkowość jej twarzy. Jest duża i nieco asymetryczna, co cały czas sprawia wrażenie, jakby się lekko uśmiechała; powieka prawego oka nieco opada w porównaniu z lewą, co nadaje jej zarazem trochę senny i trochę ekstatyczny wygląd. Spogląda na niego nieprzeniknionym wzrokiem.

Oczywiście, że na niego nie spogląda. W tym momencie patrzy, być może, na kogoś zupełnie innego: Dietricha Jäger-Jene, swojego wesołego, podziwianego barytona, w jednej z barokowych, obitych czerwonym pluszem sal restauracyjnych hotelu Sachera w Wiedniu, z dwoma dymiącymi talerzami tafelspitz i butelką blauburgunda pomiędzy nimi; albo w lustrze jego garderoby w Staatsoper, gdzie opuszkami środkowych palców przykleja wachsy wąsik i przemienia się w Don Giovanniego. A jednak patrzy na niego – choć nie ma go ani w Grecji, ani w Austrii. W jakim więc niemożliwym miejscu się znajduje? Przecież widzi ją, nie jej fotografię, którą sam zrobił w ubiegłym roku, nie produkt przemysłnego procesu chemicznego, który nie ma przed nim tajemnic – nie, nie widzi przelanego na papier ukrytego wizerunku, w którym swój udział ma srebro, ale ją samą: Clare.

Bez wątpienia nazywa się Clara. Clara Veith. Dobia czterdziestki, ale wygląda o dziesięć lat młodziej. Coś w tych mocnych rysach przywodzi mu na myśl twarz jego ojca. Nagle uświadamia sobie, że nieprzeniknioność jej spojrzenia kryje się, być może, w aurze dystansu, która ją otacza, kiedy tak na niego spogląda, a tym dystansem pomiędzy nimi jest śmierć, choć się jeszcze w tym momencie nie wydarzyła.

Nagle zaczyna szlochać.

# Zeszyt trzeci

## Golem

Trzymaj się! Podziemny łomot, grzmot, ziemia się trzęsie, raptem na cały ten protokół pada złowrogi cień. Co to? Co takiego wywołałem? Nagle coś się poruszyło i zaczęło się tłuc, niczym przesuujące się kontynentalne płyty, raz jeszcze zmuszony jestem natychmiast przerwać opowieść o Wiktorze Werkerze, akurat w momencie, kiedy nareszcie zaczęła nabierać kształtów. Z tego kosmogonicznego chaosu wyłania się potężna, erupcyjna formacja. Wszystkie te wieże i mosty! I Zamek hen tam, na wzgórzu! Czy to nie Praga? Czyżby Hradczany? A labirynt zaułków i lepianek po tej stronie rzeki, gdzie zakręca niemal pod kątem prostym – czy to nie getto? Ale przecież już dawno go nie ma! Który tam jest teraz rok?

Jest trzeci dzień miesiąca adar roku 5352 od stworzenia nieba i ziemi i rabbi w wysokich, czarnych butach z cholewami, przestępując próg, stawia nogę na zamarznętym śniegu.

– Tak przecież nie możesz się pokazać cesarzowi, Jehudo! – woła za nim żona, stojąc w drzwiach ich małego pochyłego domku. Jedną dłonią przytrzymuje nad głową chustę, drugą namierza płamę z żółtka na wyłogach jego kaftanu.

Mężczyzna przez chwilę sam przygląda się plamie, po czym wzrusza ramionami.

– Musi mnie brać takiego, jaki jestem. Tak jak ja jego.

– Żebyś się nie przeliczył. Z ludźmi tam na górze lepiej się mieć na baczności.

– Do tej pory zawsze był dla nas dobry, Perl.

Słowa uchodzą z ich ust w postaci kłębow pary.

A chociaż jest jeszcze południe, ma się wrażenie, że nad gettem zapada zmierzch. W powietrzu unosi się gęsta mgła, niebo pociemniało jak piwnica na węgiel, a jedyne światło zdaje się pochodzić z ziemi, od zlodowaciałego śniegu, zachowującego ślady stóp i kół niczym skamieliny. Spelunki są tak samo zatłoczone i gwarne jak w minionych i przyszlých wiekach, fetor z rynsztoka i woń cebuli niezmiennie; dym z kominów snuje się nisko i tylko tu i ówdzie migoczą płomienie ognisk. W suterenach sklepy ze starzyzną są zapchane szmatami, zniszczonymi sprzętami domowymi, zardzewiałymi kawałkami metalu i rzeczami, których pochodzenia trudno dociec; nad nimi wznoszą się drewniane nory z przegniłymi ścianami, grożące zawaleniem, z nieforemnymi, zapadającymi się dobudówkami i schodkami; przechylają się do przodu i do tyłu w rytm sprośnych przyśpiewek kurew z domów publicznych i psalmów wyśpiewywanych przez starozakonnych, które łączą się w fenomenalną kantatę, jakiej tylko tutaj ma się okazję wysłuchać. We wnętrzu domów można czasem dostrzec kredowe linie, dzielące ciasne pokoje na mieszkania, również pełne towaru, klatek na gołębie, garnków i patelni, dzieci śpiących na siennikach, chorych, umierających. Knajpy z dymiącymi lampami naftowymi są pełne; wróżki, chiromantki i kabalarki przenikliwym krzykiem zwracają na siebie uwagę; chromi i karły pokryci wrzodami i krostami czepiają się mijających nóg i proszą o jałmużnę, dopóki nie zostaną odepchnięci.

Tylko mieszkańcy odnajdują drogę w labiryncie krętych zaułków, podwórek i przejść. Wśród tych wszystkich nędzarzy, często z braku butów owijających stopy szmatami, rabbi wydaje się prawie bogatym człowiekiem. Spomiędzy jego dużego kapelusza, którego rant ozdobiony jest futrem, i długiej, niemal białej brody wзира dwoje jasnoniebieskich oczu, lustrując całe to orientalne widowisko rozproszonego Izraela w scenerii zimowej Pragi. Wszyscy rozpoznają czcigodnego uczonego, założyciela i rektora Wyższej Szkoły Talmudu, ustępuje mu się z drogi, wita ukłonami, odnosi się do niego zupełnie inaczej niż do niechlujnych rabinów z jednej z wielu synagog, których pełno jest w getcie, a którzy prócz tego są rzeźnikami lub kotlarzami. Na niewielkim skwerze przy Altneuszuł, najstarszej synagodze żydowskiej dzielnicy, stoi grupka ludzi i zadziera zdumione twarze do góry. To osobna budowla, dzięki czemu udaje jej się od czasów średniowiecznych unikać pożarów regularnie wyprzątających całą dzielnicę. Nad szarymi, złuszczoneymi ścianami wznosi się wysoka, gotycka fasada, a za nią kryje się strych, gdzie nikt nie zagląda. Każdy ze stopni fasady wieńczy ceglana wieżyczka – i właśnie tam rozgrywa się zdumiewające widowisko. Siedem, osiem małych płomyków wielkości dłoni, rozświetlając mgłę, skacze po stopniach, fika koziołki, kręci piruety, łącząc się, to znów oddzielając.

– Rabbi, co to takiego? – pyta młoda kobieta z przestraczem w oczach. – Czy nie trzeba gasić?

Ale na twarzy rabbiego zjawia się uśmiešek.

– To nie jest pożar, Miriam. Tak tańczą anioły – i unióśszy ramiona, zaczyna śpiewać, przeskakując przy tym z jednej nogi na drugą.

Przykład to zaraźliwy i już po chwili wszyscy kręcą się i tańczą, i śpiewają w takt płasających płomyków; zaułki zostają szybko wprawione w ruch, nawet te, skąd nie widać płomyków, i w ciągu pół minuty radość ogarnia całe getto. Tysięczny tumult słyszalny jest nawet daleko za murami, w innych częściach miasta. „Żydzi znów zwariowali”, mówią do siebie chrześcijanie i stukają się w głowę. I nagle, zupełnie jakby jakaś wyższa siła dmuchnęła na fasadę, płomyki gasną. Rabin, który jeszcze przed chwilą kręcił się w kółko z Miriam, puszcza jej ręce i spocony, dysząc, próbuje złapać oddech. Także wokół niego powraca teraz spokój.

– A co tam u ciebie słychać, moje dziecko? – pyta, kładąc dłoń na jej czole.

Miriam ujmuje tę dłoń i składa na niej pocałunek. Kilka miesięcy temu powiła zwierzę, psa, który trzy razy przebiegł przez izbę, podrapał się za uchem i zmarł.

– Czas leczy wszystkie rany – mówi, a jej duże, ciemne oczy zachodzą łzami.

Czas! Rabbi zerka na zegar żydowskiego ratusza na rogu naprzeciw synagogi; a ponieważ hebrajski pisze się od prawa do lewa, także wskazówki obracają się tu w lewo. Już druga, musi się śpieszyć. Brnie przez ciżbę i smród, obok spelunek i nor hołoty, kierując się w stronę rzeki, mija cmentarz, gdzie tysiące koślawych nagrobków sterczą na wszystkie strony niczym przegniłe uzębienie przedpotopowego potwora i tylko na powierzchniach trących widać resztki śnieżnej glazury. Odprowadza go podejrzliwe spojrzenie dwóch chrześcijańskich wartowników, gdy przechodzi przez bramę w murach miejskich obok mostu na Wełtawie. Tu od razu robi się cicho; jedynie na podmokłym brzegu w pobliżu dołów z saletrą widać jakiś ruch. Kiedy do jego uszu dochodzą uderzenia kry o drewniane filary, opuszcza – jak przy religijnej dacie granicznej – trzeci dzień miesiąca adar roku 5352 i wkracza w 16 lutego 1592 roku.

Po drugiej stronie witają go kościoły i patetyczne obrazy świętych, budząc w nim odrazę, bo nie robi się rzeźbionego wizerunku ani żadnego obrazu tego, co u góry w niebie, ani tego, co w dole na ziemi, ani tego, co w wodach pod ziemią. Wszystko to bękarty Złotego Cielca, wszystko jest dziełem nadętego kolegi, tego fałszywego mesjasza, zdegenerowanego do zbawcy antysemitów. Chociaż... czy JHWH, niech będzie błogosławione Imię Jego, sam nie zgrzeszył przeciw własnemu przykazaniu, tworząc Adama na swój obraz? Bo czyż człowiek nie jest żyjącym podobieństwem? Rabbi czuje, że tu kryje się załążek niewielkiej rozprawy, gdyż JHWH, niech będzie błogosławione Imię Jego, musi zostać, rzecz jasna, oczyszczony z grzechu.

Zamek w górze spowija jeszcze mgła; podpierając się, rabbi zaczyna się piąć stromą ścieżką i co rusz ślizga się na lodzie. Nie ma pojęcia, czego cesarz może od niego chcieć. Zaproszenie przyszło, kiedy wykladał w szkole: w getcie pojawił się cesarski posłaniec na białym koniu i nie zsiadając, wręczył Perl depeszę. Rabbi omówił to ze swoim przyjacielem Mordechajem Maiselem, nadwornym Żydem i finansistą cesarza, a ponadto dobroczyńcą żydowskiej dzielnicy, ale ten o niczym nie wiedział. Może krył się za tym Tycho, duński astronom i cesarski matematyk, z którym kilkakrotnie się spotkał i z którym nawiązał dobry kontakt.

Zupełnie jakby widział siebie z oddali: niepokazną czarną postać ślizgającą się na białym zboczach. Poniżej, w głębi, miasto i rzeka, stopniowo niknące i pograżające się w obłoku, który kładzie się na ziemi, sterczą z niego jedynie wieże kościołów i gdzieś tam rozbłyskują ogniska, wyżej natomiast z każdym krokiem robi się coraz jaśniej. Na wąskich stopniach zamkowych, ostatnim odcinku dzielącym go od szczytu, zaczyna dyszeć i mimo lodowatego wiatru od czasu do czasu przystaje, kładzie dłoń na pniu drzewa i kaszląc, pochyla się do przodu. Dla człowieka w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat to cała wyprawa. Pod błękitnym niebem budynki pałacowe i katedrę zamkową rozjaśnia delikatne zimowe słońce. Zaczyna go ogarniać uczucie samotności, ale to mija, kiedy przy szlabanie okazuje zaproszenie z dworu i musi ścierpieć nieufne spojrzenie halabardnika: czego ten Żyd szuka na Zamku?

Dochodzi do siarczanych wyziewów Złotej Uliczki. W długim szpalerze domków dla lalek, wbudowanych w zataczający tu łuk mur obronny i tak małych, że rynny zaledwie wystają ponad kapelusz rabbiego, cesarz ulokował drugi garnitur swoich alchemików. Światło płomieni odbija się w twarzach adeptów tej hermetycznej sztuki, zasiadających za arthanorami w swoich ascetycznych segmentach zapchanych po brzegi alembikami, kukurbitami i innym instrumentarium. Jeden przykłęka z dłońmi złożonymi jak do modlitwy, aby w kolejnych stadiach Wielkiego Dzieła skierować proces destylacji siarki i rtęci na właściwe tory, od *materia prima* do *lapis philosophorum*, koniunkcji Czerwieni i Bieli, Słońca i Księżycy, chemicznego zjednoczenia Rex i Regina, z którego powstaje wieczne życie, do pojawienia się w retorcie homunkulusa. Kilku lancknechtów patroluje ulicę tam i z powrotem, dbając o to, by adepci ani na moment nie oddalali się od swych pieców.

Rabbi widział to wszystko już wcześniej i nie robi to na nim wrażenia. Świat jest irracjonalny i pełen cudów, by wspomnieć niedawny przypadek chłopca, który urodził się ze złotym zębem, ale cuda te powinny znaleźć swoje miejsce w nauce, samemu nie trzeba chcieć ich wywoływać; ludzkie czary, czy to będzie alchemia, czy co innego, to wszystko bzdury. Sens mają jedynie rzeczy, którym on sam poświęcił życie: Tora, moralność i matematyka, i o których napisał piętnaście książek. Właśnie chce odwrócić wzrok, gdy nagle pod numerem 22 spostrzega zupełnie inną scenę. Siedzi tam mężczyzna lat około trzydziestu i pochyliwszy się nad stołem, gorączkowo coś zapisuje, nogi wyciągnął i rozłożył i w wielkim pośpiechu ledwie zdąża zamaczać pióro w kałamarzu. Kiedy unosi głowę, rabbiego uderza melancholijny wyraz jego szklanego spojrzenia: oczy jak czarne kałuże w parku po burzy. Gęste czarne włosy w samym środku dzieli wyraźny przedziałek, ukazując białą skórę głowy, zupełnie jakby skrupulatny kat wyznaczył sobie miejsce dla topora, który ma rozplątać tę czaszkę. Skąd ten się tu wziął pośród alchemików? Rabbi chętnie zapytałby, kto zacz, ale nie ma teraz na to czasu.

Nagle na karku ląduje mu śnieżka.

– Żyd! Żyd!



Kiedy się odwraca, dostrzega kilku swawolnych chłopców, którzy ku uciesze stojących nieopodal żołnierzy nie przestają w niego rzucać.

Pozbywa się ich na ruchliwym rynku z katedrą Świętego Wita, ze wszystkich stron rujnowaną i wznoszoną na nowo. Przez ciżbę żebraków, wąsające się świnie i kury przechodzi ku zewnętrznym schodom pałacu. Elegancki oficer w olbrzymim kapeluszu, w butach z cholewami aż po uda i szpadą u boku, czeka na niego w otoczeniu dwóch muszkieterów – teraz wpada w tryby dobrze naoliwionej monarszej maszyny. Strzepnąwszy z butów śnieg, podąża za oficerem do środka, krocząc po miękkich dywanach przez hol, po marmurowych schodach, a potem przez całą amfiladę korytarzy i sal; wszystkie zostały bogato przyozdobione obrazami, gobelinami i pozłacanymi meblami, z których nikt nie korzysta. Jeszcze nigdy tu nie był i uderza go śmiertelna cisza w samym centrum władzy. Wbrew swej woli czuje się niepewnie i nerwowo, a to z kolei go rozdrażnia. Przy podwójnych drzwiach, okolonych marmurowymi orłami, lwami i wszelaką drapieżną zwierzyną, przejmując go inny oficer, salutuje, na piętach wykonuje w tył zwrot i zapukawszy do drzwi, otwiera je, nie czekając na odpowiedź.

Po obu stronach wielkiej sali w olbrzymich kominkach pali się ogień, a na samym środku dwunastu lub czternastu mężczyzn zasiada przy suto zastawionym stole; usługuje im co najmniej tyle samo lokajów w czerwonych, przetykanych złotem liberach. Znajdują się tam wielkie globusy przedstawiające ziemię i niebo, ściany pokrywają obrazy, mapy i biblioteczki. Rabbi przystaje; oficer zamyka za nim drzwi. Wszystkie twarze zwracają się w jego stronę. U czoła długiego stołu od razu rozpoznaje Rudolfa II, Pana Austrii, Króla Czech i Węgier, Cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego, o ospałym obliczu, z dolną wargą charakterystycznie wywiniętą, typową dla Habsburgów. Za nim stoi kilku dworskich dygnitarzy; z boku, przy małym stoliku, sekretarz coś notuje.

Rabbi zdejmując kapelusz, kłania się i mówi:

– Wasza Królewska i Cesarska Apostolska Wysokość.

Cesarz kiwa głową. Ma około czterdziestki, ale już zaczął łysieć i tyć. Żuje, dzierżąc w lewej dłoni kość z parującym kawałem mięsa, w prawej zaś kielich czerwonego wina, i melancholijnym spojrzeniem przymrużonych oczu lustruje przez chwilę nowego gościa od stóp do głów.

– Tak – odzywa się w końcu – mamy go tu zatem we własnej osobie, naszego sławnego Maharala, Jehudę Löwa ben Becalela. Taki jak każdy rabbi, przypominać wszystkich rabbich. Skąd się to bierze?

– Zapewne stąd, że tak naprawdę jest tylko jeden rabbi.

Lów pojmuje w lot, że zaraz może paść niebezpieczne pytanie o tożsamość tego jedyne rabiego; ale najwidoczniej cesarz postanawia go oszczędzić.

– Wszystko w porządku z wybranym narodem w Pradze?

Przy stole wybuchają śmiechy.

– Żyje w przekonaniu, że będąc pod Waszym panowaniem, Wasza Wysokość, nie musi się niczego obawiać.

Cesarz ponownie kiwa głową, ale nie draży tematu. Rękawem ściera tłuszcz z brody.

– Czy wielki rabbi zechce może coś zjeść z mojego stołu?

Ten ton wcale nie przypada Löwowi do gustu i chociaż zapach jeleniej pieczeni sprawia, że cieknie mu ślinka, uprzejmie odmawia. Najwidoczniej panuje tu zasada, że kto nie je, nie siada, bo kiedy odmówił, nie zaproponowano mu krzesła, mimo iż wszystko wskazuje na to, że jest najstarszy w tym gronie. Przy stole zainteresowanie nim słabnie, twarze odwracają się, a przerwane rozmowy zostają podjęte na nowo. Nie wie, co ma ze sobą począć, ale czuje, że powinien trwać na swoim miejscu i czekać, aż zostanie do niego skierowane jakieś słowo. Niegdyś sam potraktował tak pewnego ucznia i obiecuje sobie w duchu, że już nigdy tego nie zrobi. Po kolei przygląda się mężczyznom przy stole. Nie są to gładkie oblicza dworzan, ale co do jednej charakterystyczne twarze, niektóre wyglądają wręcz dziko i wynędzniale. Jego wzrok napotyka wzrok Tycha Brahe; krępy mężczyzna około pięćdziesiątki o sztucznym nosie ze złota jest w tym gronie jedynym, kogo zna. Brahe pytająco spogląda na Rudolfa, a ten daje mu znak dyskretnym ruchem głowy; teraz astronom wstaje i podchodzi do Löwa.

– W otoczeniu panujących człowiek zawsze musi być przygotowany na poníženie – szeptem do niego.

– A co dopiero Żyd, ale do tego jesteśmy przyzwyczajeni. Czy to wy zorganizowaliście to spotkanie?

– Sam już nie wiem – mówi Brahe, nadal patrząc na niego w napięciu.

– Rozumiem – kiwa głową Löw. – Tajemnica Zamku. Kim są ci mężczyźni?

– Kwiat Europy, uzupełniony grupką międzynarodowych oszustów i temu podobną hałastrą, ale to, mam nadzieję, zostanie *entre nous*. – Wzrokiem przebiega dwa rzędy po obu stronach długiego stołu i zaczyna zwięźle informować Löwa, kto jest kto. – Mnich po prawicy cesarza to Giordano Bruno, interesujący pisarz i filozof. Twierdzi, że wszechświat jest nieskończony, że sięga do nicości, a jego centrum jest wszędzie.

– A zatem również tutaj – odzywa się Löw.

– Także tutaj. A może nawet przede wszystkim tutaj. Ten gość obok niego to ktoś pośledniejszego autoramentu, niejaki Sendivogius, polski awanturnik i alchemik, ale cesarz przepada za nim. Trudno uwierzyć, jakim szarlatanom i aferzystom udaje się tutaj dostać, wszystko dlatego, że – jeśli chcecie znać moje zdanie – cesarza ogarnął strach przed śmiercią. Dalej mamy Cornelisa Drebbela, ten młody blondyn, pochodzi z Haarlemu. Wygląda na to, że wynalazł łódź podwodną; coś takiego pewnie się w Holandii przyda, bo tam wiecznie pada. Poza tym to niezgorszy graver i, jakżeby inaczej, również alchemik. Obok niego siedzi Adriaen de Vries, jeszcze jeden serojad, zdolny architekt i rzeźbiarz, podniesiony przez cesarza do stanu szlacheckiego. Potem mamy dwóch Anglików. Ten z kozią bródką to John Dee, faworyt królowej Elżbiety, mag, alchemik, astrolog, matematyk, geograf i sam nie wiem co jeszcze. Twierdzi, że potrafi mówić językiem Adama.

– Głupich nie sięją – odzywa się Löw.

– Mimo wszystko nie jest całkiem pozbawiony autorytetu. Ale ten gość obok niego, o haczykowatym nosie i obciętych uszach, to na pewno czystej wody oszust i histeryk. Niejaki Edward Kelley, rodzaj medium; prowadzi dialog z aniołami, jak twierdzi. Tak, czcigodny, czasem mam wrażenie, że wylądowałem w domu wariatów, a cesarz zamienia swój dwór w odbicie własnego biednego, rozkojarzonego umysłu. A to zaledwie kolekcja ludzi, w rzeczy samej tylko mała jej część; powinniście zobaczyć inne jego zbiory. Czegoś podobnego nie spotka się nigdzie indziej na świecie, cały pałac to jeden gabinet osobliwości, tych skarbów nie opisze żadne pióro. Cesarscy agenci przetrząsają Europę wszerz i wzdłuż, skupując wszystkie ruchomości i nieruchomości, od najcenniejszych cranachów i dürrerów po najbrzydlwsze prullaria, jak kagańce czy pokolorowane orzechy kokosowe. Na lewo od niego siedzi ulubiony malarz cesarza, Arcimboldi, któremu udało się osiągnąć godność palatyna. Tam wiszą portrety jego pędzla.

Błyszczącym złotym nosem Brahe pokazuje ścianę. Kręcąc z niedowierzaniem głową, Löw ogląda fantastyczne twarze: niektóre składają się z samych ryb, inne z owoców, jeszcze inne z przyborów kuchennych albo najprzeróżniejszych zwierząt. Co też ci goje potrafią wymyślić, zamiast zabrać się do zgłębiania prawa JHWH.

– O młodym człowieku obok niego – ciągnie Brahe – tym o rozognionych oczach, który kłóci się z Sendivogiuszem, jeszcze wiele usłyszymy. To mój kopernikański asystent, Johannes Kepler, używający wyników moich obserwacji do zupełnie nowej teorii o torach planet, która wcale mi się nie podoba. No tak, ale jak tu powstrzymać młodzież, kiedy głowy mają pełne pomysłów. Na razie ma kłopoty, bo jego matkę oskarżono o czary. Obok siedzi Michael Maier, osobisty lekarz cesarza, jatrochemik, uczeń Paracelsusa; czytałem jego ładną książkę, *Atalanta fugiens*, ze wszystkich okultystów tutaj on jest chyba najbardziej frapujący. I to już prawie wszyscy. Trochę dalej siedzi Roelant Savery, malarz południowoniderlandzki, a ten na końcu to jakiś włoski mag, zwący się, o ile pamiętam, Angelo Ripellino. Tak, Maharalu, teraz i wy tu do nich dołączycie i zdaje się, że pasujecie do tego cudacznego towarzystwa.

Lów unosi ramiona.

– Jakim sposobem?

– To się niebawem okaże. Chodźcie, wydaje mi się, że już wystarczy. Teraz po prostu siądźmy; jeśli się to cesarzowi nie spodoba, to się dowiemy.

Bierze Löwa pod ramię i prowadzi do pustego krzesła z drugiej strony stołu, dokładnie naprzeciwko Rudolfa. Nikt nie zwraca uwagi na ich przyjście. Nastrój gości staje się coraz lepszy; lokaje w wysłużonych liberjach, na ogół za małych lub za dużych, nieustannie dolewają wina, trzymając lewą rękę jak należy z tyłu, wszędzie rozbrzmiewają śmiechy i trwają głośne rozmowy. Sam cesarz się w nie nie wdaje. Pograżony w saturnalistycznej melancholii siedzi na wielkim krześle, z głową lekko przechyloną i półprzymkniętymi oczami. Najwidoczniej i chce, i nie chce być przy tym obecny, myśli Löw. Dostrzega też, iż cesarz w afektowanym geście kładzie dłoń na rękę Giordana Bruna, co zazdrośnie obserwuje Sendivogius. Arcimboldi, już nie najmłodszy, zapadł w drzemkę, wsparłszy głowę na stole pośród złotych sztućców. Kelley się upił. Przewraca kielich, który natychmiast zostaje ponownie napełniony. Podnosi się chwiejnie, wywracając przy tym krzesło, wszystko wskazuje na to, że zamierza wznieść toast za cesarza, ale Dee ciągnie go za rękaw i w końcu udaje mu się go powstrzymać. Także przed Löwem stawiają kielich, unosi go do ust, lecz nie pije. Kiedy podnosi wzrok, patrzy wprost w oczy Rudolfa – nagle wszyscy jakby wyczuli ten moment. W ciszy, która nagle zapada, cesarz pyta:

– Co to jest golem, rabbi?

A, więc o to chodzi. Löw chwyta w lot, w jakim kierunku wszystko zmierza, ale postanawia grać rolę prostaczka tak długo, jak tylko się da. Przesuwając czarną jarmułkę na czubku głowy, mówi:

– To hebrajskie słowo; pojawia się w psalmie sto trzydziestym dziewiątym, wers szesnasty. Oznacza mniej więcej „nieuformowaną bryłę”.

– Czy to tylko słowo?

– Tylko słowo... – powtarza Löw. – Ale cóż jest ponad słowo, Wasza Wysokość?

– Dobrze, dobrze, dajcie spokój – mówi znużony cesarz – znam nieco wasze poglądy. Słowo „stól” jest tylko słowem, tak samo jak słowo „Bóg”, ale istnieją też stoły i istnieje też Bóg.

– I istnieją bazyliszki, ponieważ istnieje słowo „bazyliszek”, Wasza Wysokość? – pyta Kepler.

Cesarz patrzy na Maiera.

– Oczywiście – odzywa się ten – inaczej nie byłoby słowa.

Löw kiwa głową.

– To by znaczyło, że wszystko istnieje.

– Tak jest.

– Zaraz, zaraz – mówi Kepler. – Gdybym więc teraz wymyślił nowe słowo, dajmy na to, „kraldor”, to według was istnieje też na świecie kraldor?

Maier zaczyna myśleć.

– Tak.

– A czy pół minuty wcześniej, kiedy jeszcze nie wymyśliłem tego słowa, istniało już coś takiego jak kraldor?

Maier zaczyna się kiwać na krześle. Patrzy na cesarza i mówi:

– Muszę się nad tym zastanowić.

– Bo jeśli nie, znaczyłoby to, że właśnie coś takiego stworzyłem. A ja sądziłem, że stwarzanie istot żywych jest przywilejem Boga.

– A co z homunkulusem? – pyta zdumiony Dee.

– Jego może też nie ma?

– To będziecie musieli udowodnić.

– Paracelsus zrobił jednego!

– Tak twierdzi. Czy powtórzyliście jego eksperymenty?

– Jeszcze nie.

– Jak długo się to nie powiodło i nikt inny nie widział homunkulusa, pozostanie on tylko słowem. Bo, jak mówi Maharal, inaczej istniałoby nieskończenie wiele rzeczy, tyle ile słów, które można utworzyć.

– Na jego twarzy gości zgrzyliwy uśmiech. – I któż by pomyślał, że kiedyś zgodzę się z rabinem!

– Spokojnie, Johann – odzywa się Brahe – znaj swoje miejsce.

– A może – podchwytuje cesarz – Bóg tak stworzył świat, że wszystko jest możliwe. – W jego głosie pobrzmiwa nuta, która każe uznać temat za zakończony. – Ktoś zresztą powiedział mi, że golem jest rodzajem homunkulusa, sztucznym człowiekiem, idealnym służącym.

Lów wzdycha głęboko.

– To są te legendy. Żydzi zawsze byli dobrzy w wymyślaniu niesamowitych historii.

– Więc to tylko wymysł?

– Coś w tym rodzaju... tylko taka opowieść...

– Posłuchajcie, Lów – odzywa się cesarz i prostuje się w krześle – rozumiem, że jako talmudysta odnosicie się z rezerwą do sensacyjnych historii, ale radzę wam teraz dość szybko to skonkretyzować. – Kątem oka Lów dostrzega spojrzenie Tycha Brahe, mówiące, że powinien się mieć na baczności. – Czy widzieliście kiedyś golema?

– Nie, Wasza Wysokość.

– Czy znacie kogoś, kto kiedyś widział golema?

– Nie, nie znam.

– Czy słyszeliście o kimś, kto kiedyś zrobił golema?

– Mówi się, że Abraham i Jeremiasz.

Drebbel parska śmiechem.

– To dawno temu.

– Według Talmudu zdarzyło się to jeszcze kilka razy, jakieś trzysta lat temu.

– A za naszych czasów? – usłużnie pyta Savery.

– Nie wiem, rzecz jasna, co dzieje się wśród Żydów w Nadrenii czy Francji albo Hiszpanii lub Italii i co tamtejsi magowie preparują, słyszałem jedynie pogłoskę, że w Polsce miał go zrobić rabbi Eliasz Baal Szem z Chełma.

Cesarz zwraca się nieco w bok i zmęczonym gestem przywołuje jednego z dygnitarzy stojących w tyle, a ten śpiesznie pochyla się ku niemu.

– Wezwać tego człowieka – mówi, nie patrząc na niego.

– Niestety, Wasza Wysokość, to chyba nie będzie możliwe – wtrąca Lów. – Zmarł przed dziesięciu laty.



Teraz cierpliwość cesarza się wyczerpała. Zrywa się raptownym ruchem, którego trudno byłoby się spodziewać po jego gnuśnym ciele, i zakrzywiając palec wskazujący, kiwa na Löwa jak belfer na ucznia. Löw podnosi się i podąża za nim, podczas gdy całe towarzystwo, nieco przygaszone, pozostaje na miejscu. Rudolf ma na sobie długi szlafrok z brokatu i przetykane złotem pantofle. Zdecydowanym krokiem kieruje się do bocznych drzwi, które lokaj z ukłonem otwiera. Przechodzą do mniejszej sali, gdzie na ścianach wiszą wielkie, barwne płótna, pokryte fantastycznymi scenami. Löw nie ma czasu, by się im przyjrzeć, zapada mu w pamięć tylko jeden obraz: przedstawia postać Chrystusa z zamkniętymi oczami, niosącego krzyż; otaczają go nieopisanie odpychające gęby, które zapewne mają przedstawiać Żydów. Pośrodku pomieszczenia znajduje się duży stół zastawiony alchemicznym instrumentarium; ale w odróżnieniu od Złotej Uliczki wszystko jest tu ze srebra i kryształu. Nie ma wątpliwości – tu eksperymentuje sam władca.

Drzwi zostają zamknięte, a cesarz odwraca się ku niemu.

– Nie owijajmy w bawełnę, rabbi, ja chcę mieć golema. Czy możecie go dla mnie zrobić?

Löw unosi ramiona, to odsuwa się od cesarza, to do niego zwraca.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć, Wasza Wysokość, stworzenie golema jest rytuałem mistycznym, powtarzającym stworzenie Adama. Jeśli golem raz ożyje, od razu musi zostać unicestwiony, inaczej będzie to, jak sądzę, świętokradztwo. Chodzi tu tylko o to, by dowieść mocy świętych liter.

Cesarz przez moment przygląda się plamie z jajka na jego klapie.

– A ten wasz polski kolega, on także na tym poprzestał?

– Nie, chyba pozwolił mu żyć i używał go. Choć to dopiero najnowszy punkt widzenia.

– A gdybyście wy też tak uczynili?

Löw kręci głową.

– Problem w tym, że ja nie jestem kabalistą. Jestem zwykłym mołem książkowym, który próbuje wtajemniczyć swoich uczniów we wzniosłe arkana Tory. I to całkowicie mnie zaprzęta.

– Wasza skromność przydaje wam chwały, ale chyba słyszeliście moje pytanie. Oczywiście jakoś bym się zrewanżował.

Lów intensywnie myśli. Bez wątpienia nie było to pytanie, tylko rozkaz. Jeśli go nie wypełni, skutki mogą być straszliwe. Co byłoby w stanie zrekompensować ewentualne świętokradztwo? Stan szlachecki? Posiadłości? A może po prostu pieniądze? Nie powodzi im się z Perl nadzwyczajnie, ale przecież gdyby chciał być bogaty, wybrałby karierę taką jak Mordechaj Maisel. Zadaje sobie w duchu pytanie, czy właśnie w tym momencie nie rujnuje sobie życia – ale nagle dociera do niego, jak mógłby zmiękczyć Elohim.

– Twoja wola jest prawem, Wasza Wysokość, niczego jednak nie mogę obiecać. Nigdy nie zajmowałem się tego typu praktykami, ale oczywiście spróbuję, choć nie jest wykluczone, że magiczne zasoby nie są obecnie aktywne.

– Uaktywnią się – kiwa głową zniecierpliwiony cesarz. Widać już wcześniej słyszał ten argument. – A co chciałbyś w zamian, jeśli ci się powiedzie?

Lów nieco się prostuje.

– Obietnicę, że mój naród na dłuższą metę nie ma się czego w Pradze obawiać.

Cesarz przez chwilę mu się przygląda.

– Na dłuższą metę to trochę długo, Lów.

Trzymając kapelusz w rękach, Lów wykonuje zrezygnowany gest.

– Wiem, że poniżenie Izraela na krótko przed jego wyzwoleniem będzie większe niż kiedykolwiek. I że z tego właśnie przyjdzie wyzwolenie.

– Kłóci się to z tym, o co mnie prosisz. Ale dobrze, zrobię, co w mojej mocy, Maharalu, choć i ona ma swoje granice. Nawet ja nie potrafię rządzić zza grobu.

Lów żałuje, że nikt nie jest świadkiem obietnicy, choć z drugiej strony cesarz i tak nic by sobie nie robił ze świadka. W końcu mógłby go wtrącić do lochu albo, co skuteczniejsze, kazać mu ściąć głowę.

– Nie podoba mi się to – mówi Perl.

– Mnie też nie – dodaje Lów, zapalając świecę. – Ale co miałem począć?

– A jak ci się nie uda?

– To będziemy mieli problem. Zresztą jak mi się uda, też.

– Zawsze to samo z tymi ludźmi, każdemu przysporzą kłopotów. Cesarz ma wszystko, ale teraz chce jeszcze golema. Właściwie dlaczego?

– Ponieważ kiedy masz wszystko – mówi Löw – to w zasadzie nie masz niczego. Wówczas masz tylko swoje pragnienia.

– A zwykły człowiek jest uszczęśliwiony nową chochlą.

– Cesarz bardzo chciałby, żeby nowa chochla była go w stanie uszczęśliwić. Ale nawet jeśli dostanie swojego golema, to wkrótce znów będzie niezadowolony. Wtedy wszystkie swoje pragnienia skupi znów na czymś innym.

– Biedny człowiek – kręci głową Perl, nalewając zupę cebulową. – Miejmy nadzieję, że ci się uda. Dasz sobie radę.

Po pobycie na zamkowym wzgórzu Löw musi się oswoić ze swoim ciasnym mieszkankiem, których z dziesięć zmieściłoby się w pałacowej sali średniej wielkości. Ale uwaga żony dodaje mu więcej sił niż wszystko, co usłyszał od wielkich umysłów tam na górze. Oczywiście, że mu się uda, choć przychodzi to nie w porę, nie tylko z powodów religijnych, lecz także praktycznych. Właśnie pracuje nad komentarzem do targumu i midraszem i będzie musiał to teraz przerwać, aby miesiącami zgłębiać osobliwe pisma, które nie odpowiadają jego naturze, poczynszy od *Sefer Jecirah*.

W towarzystwie swego dawnego ucznia, protegowanego i asystenta, rabiego Jakuba Sasona ha-Leviego, wesołego, pełnego temperamentu człowieka, który jak nikt inny zna się na bibliotecznych zbiorach Wyższej Szkoły Talmudu i synagogi Altneu, rabbi spędza następne tygodnie na wyszukiwaniu i roztrząsaniu zabawnych traktatów. Tymczasem z dworu, z zaułków dochodzi nieustanny rumor narodu, dla którego istnieje tylko tu i teraz. Dzień w dzień, wzdychając nad zwojami ksiąg, których jest tyle, ile liści na Drzewie Wiadomości, zastanawia się nad tym, że oto na rozkaz cesarza przyszło mu na stare lata bawić się w czarownika. Miał nadzieję, że przejdzie do historii jako wybitny żydowski uczony z szesnastego wieku, a może nawet ktoś więcej, a teraz wszystko wskazuje na to, że przetrwa w pamięci potomnych z zupełnie innych powodów – oczywiście jeśli uda mu się zrobić tego głupiego golema, co oby dał JHWH.

Według wszystkich źródeł zarówno Abraham, jak i Jeremiasz usłyszeli od JHWH, że jako śmiertelni nie są w stanie samotnie dociec jego instrukcji stworzenia w *Sefer Jecirah*; Abraham zwrócił się więc do syna Noego, Sema, a Jeremiasz do syna ben Sira. W swoim własnym otoczeniu Löw ma tylko zięcia, rabbiego Izaaka ha-Kohena, ojca swoich wnucząt, trojaczków. Ten początkowo reaguje sceptycznie, ale gdy w tajemnicy dowiaduje się o przyrzeczeniu, które cesarz złożył jego teściowi, jest gotów mu dopomóc, mimo że należy do sceptycznych racjonalistów ze szkoły Majmonidesa i ma coś lepszego do roboty, bo jest piekarzem. Jeszcze bardziej niż Löw uważa cały ten kabalistyczny hokus-pokus za coś karygodnego, za nieczysty powrót do wczesnych mitycznych stadiów rabińskiej ortodoksji. W czym golem różni się od wyrzeźbionego czy też ulepionego posągu? Ale jak widać JHWH tym razem tego chce. Izaak porusza to w rozmowie z teściem, lecz ten reaguje zdenerwowaniem i mówi, że wszystko to jest jeszcze bardziej skomplikowane i że kiedy cała sprawa znajdzie swój finał, napisze o tym rozprawę. Włosy i broda Izaaka są rude jak buchające płomienie, co zdaje się wskazywać na porywczy charakter, ale jest akurat na odwrót. Także Ester, córka Löwa, już to odkryła; choć nie ma w tym nic dziwnego, bo niemal każdy dobiera sobie w małżeństwie kogoś nieodpowiedniego.

– Skąd się to bierze, chłopcze – mówi Löw – że się nigdy niczym nie entuzjasmujesz? Nie musisz mnie przekonywać o kontrowersyjnym charakterze kabały, ale tak jak się sprawy obecnie mają, golema zrobić musimy, czy się nam to podoba, czy nie, tylko że tego nie da się zrobić tak, jak się piecze bochenek chleba. Rabbi Natan już przed trzema wiekami napisał, że doskonały golem może być zrobiony tylko przez doskonałego człowieka, który jest w stanie osiągnąć doskonałą jedność z Adonai, niech będzie błogosławione Imię Jego.

– Dobrze już – mówi Izaak. – Ty potrafisz się zdobyć na odwagę.

– I ty powinienes się na nią też zdobyć. Nie robisz tego dla siebie, tylko dla swojego narodu. Co powiesz, jeśli nam się nie uda, a wybuchnie pogrom i cesarz nie będzie interweniował? – a ponieważ Izaak milczy, ciągnie dalej: – Zresztą miałem nie tak dawno straszliwe widzenie. W komentarzu do Tory rabbiego Menachema Zijoniego przypadkiem przeczytałem, że nasze dwadzieścia dwie święte litery są zapisane na ramieniu Adonai. I wtedy w jednej sekundzie ujrzałem człowieka zwanego „Trzęsieniec człowieka”, tak jak mówimy o trzęsieniu ziemi, a chwilę potem widziałem Izraela idącego w nieskończonych kolumnach na śmierć, z literami wypisanymi na ramionach, które należało czytać jak cyfry.

Izaak patrzy na niego i kiwa głową.

– Może powinienes zacząć na siebie uważać, ojczy, już nie jesteś najmłodszy.

– Uważanie pozostawiam tobie, ja siebie nigdy nie oszczędzałem. Ale z drugiej strony masz rację. Wiezorami, kiedy kładę się w łóżku obok Perl i zamykam oczy, przylapuję się na tym, że nadal czytam. Widzę wówczas wyraźnie litery, zupełnie jakbym miał przed oczyma zwój.

– Ale niczego nie ma, bo to niemożliwe.

– A mimo wszystko czytam. A czytam rzeczy, których nigdy przedtem nie czytałem.

– I których nikt nie napisał.

Lów wzdycha.

– Masz rację. Żyjemy w niepojętym świecie, Izaaku.

Minął miesiąc – lód w getcie już stopniał, a ze wzgórz od czasu do czasu wionie zapach wiosny – wszystko już jest przygotowane do rozpoczęcia właściwych studiów. Obaj wiedzą, że zarówno Abrahamowi, jak i Jeremiaszowi zrozumienie *Sefer Jecirah* zabrało trzy lata, ale żywią nadzieję, że skoro mają tuzin komentarzy pod ręką, uda im się uporać z tym w ciągu kilku miesięcy. Lecz kiedy tak czytają i rozczytują się, i dyskutują nad *Księgą Stworzenia*, niezauważenie robi się lato i jesień, a nagrobki na cmentarzu znów pokrywają pożółkłe liście. Wówczas znają nieodgadniony tekst nie tylko na pamięć – jest zupełnie tak, jakby przeniknął także do ich wnętrza aż do szpiku, chociaż nadal go nie rozumieją. Przybliżyli się jednak do niego bardziej, niż gdyby go zrozumieli, sami stali się nim: o niczym innym nie myślą, a nocą o nim śnią.

Nawet Izaak. Nagle coś przełamało się w jego legalistycznym umyśle wskutek niekończących się kombinacji i permutacji dwudziestu dwu liter, trzech matek, dwustu trzydziestu jeden bram, siedmiu podwójnych, dwunastu pojedynczych... Ester, która dotąd zżymała się na oschłość męża, teraz tęskni za nią, gdyż jego zapach jest jeszcze gorszy do zniesienia niż mrukiwość. Teraz nie tylko się nie odzywa, ale od miesięcy z nią nie spał. Mimo jej pięknych krągłych piersi i szerokich bioder seks nigdy nie był jego najmocniejszą stroną; zupełnie jakby płodząc trojaczki, chciał za jednym zamachem oszczędzić sobie trudu. Najchętniej zabrałaby swoje rzeczy i swoich chłopców i opuściła go. Dla Perl tymczasem nie jest to nowiną. Jej Jehuda zawsze jest taki, gdy na dobre się czymś zajmie. Pozwala mu na to, choć spojrzenie jej oczu z roku na rok staje się coraz ciemniejsze.

Pod koniec chrześcijańskiego roku 1592 – Löw tymczasem skończył sześćdziesiąt dziewięć lat – do getta ponownie zawitał cesarski postaniec na koniu, eskortowany przez grupkę dzieci i górujący nad tłumem. Jego Apostolska Wysokość chciałby wiedzieć, co słyhać z golemem, głosiła depeza. Widać robi się niecierpliwy i nie zapomniał, co zważywszy jego obietnicę, jest dobrym sygnałem. W odpowiedzi przekazanej umyślnemu Löw napisał, że pracuje nad zleceniem dzień i noc, wyłączywszy szabas, ale w tak fundamentalnym eksperymencie sprawy się mają podobnie jak w transmutacji srebra w złoto: z pośpiechu powstaje tylko ołów. Ponieważ jednak golem będzie chronić naród żydowski od prześladowań, Jego Apostolska Wysokość może być przekonany, że zakończenie tego wielkiego dzieła nie zostanie opóźnione ani o jeden dzień. Już nawet obmyślił dla niego imię: Josefe Golem.

Mimo wszystko teraz ze zdwojonym zapałem poświęcają się studiom. Pierwszy i najważniejszy komentarz do *Sefer Jecirah*, wyłożony im na stole przez Sasona, pochodzi od rabiego Eleazara ben Judy z Worms. Napisany około roku 5000, to znaczy w trzynastym wieku chrześcijan, zawiera szczegółowe praktyczne wskazówki do niezbędnych tysięcznych kombinacji i recytacji liter, które na końcu książki uporządkowane zostały w długie tabele. Wszystkie stanowią, rzecz jasna, głęboką tajemnicę, brakuje ich w większości rękopisów, ale nie w egzemplarzu z Altneuszuł. Księga ta jest niemal tak klasyczna jak samo *Sefer Jecirah* i niezliczone późniejsze komentarze prawie bez wyjątku na niej bazują.

Świadomi immanentnego zagrożenia życia, w jakim według rabiego Gerszoma z Berlina znajduje się każdy twórca wielkiego dzieła, kolejne miesiące poświęcają na wyuczenie się na pamięć i powtarzanie skomplikowanej procedury. Niebawem spostrzegają, że siedzenie za stołem nie na wiele się zdaje; wówczas Löw przekonuje Sasona, aby zagrał rolę przyszłego Josefe. Ponieważ jednak w szkole Talmudu jest zbyt wielu ciekawskich, a po getcie i tak rozeszła się pogłoska, że Maharal i rabbi ha-Kohen parają się ezoterycznymi praktykami, przenoszą swoją pracownię na zimny, ciemny strych Altneuszuł, położonej kilka uliczek dalej. Za kamienie węgielne tego tajemniczego gmachu posłużyły kamienie ze zniszczonej świątyni w Jerozolimie, swego czasu przyniesione do Pragi przez aniołów pod warunkiem, że przy odbudowie zostaną zwrócone. Dlatego rabbiemu ha-Leviemu jest trochę nieswojo, kiedy leżąc na trzeszczącym, zakurzonym strychu, pozwala na sobie wypróbować rytuały. Ale zarazem odczuwa radość, że może być użyteczny także w inny sposób, niż tylko wyszukując w niszach starożytne manuskrypty i przynosząc je. Niekiedy zapada w drzemkę, a wówczas od razu nawiedzają go groteskowe sny, wypełnione istotami jak z płócien Arcimboldiego, o których opowiadał mu Löw, tylko że te z jego snów nie składają się z owoców lub garnków czy patelni, ale z najdziwniejszych aparatów i machin będących w stanie unosić się w powietrzu. Kiedy oszołomiony budzi się w świetle skaczącego płomienia świecy dostrzega obok siebie dwóch mężczyzn, którzy fruując niczym nietoperze i rzucając na ścianę strome go, krzywego dachu monstrualne cienie, recytują magiczne formuły, ogarnia go uczucie, że oto zajmują się sprawami, które ich przerastają.

Kiedy mija kolejna zima, znają sekwencje swoich następnych kroków tak dobrze jak plan getta, ale Löw postanawia poświęcić jeszcze kilka miesięcy na przestudiowanie późniejszych komentarzy. W lecie przystąpią ostatecznie do działania. Skończy zresztą wtedy siedemdziesiąt lat; drugi dzień miesiąca tamuz, jego urodziny, wydaje mu się właściwym dniem.

- A mnie nie – mówi Perl. – Na urodziny powinieneś być w domu.
- Robiąc golema, będę w domu w sposób jeszcze bardziej wzniosły.
- Tak, tobie zależy tylko na tym, żeby było wznioślej.



– Dokładnie. Ale ty tego nie rozumiesz, bo jesteś kobietą.

– I ciesz się z tego.

– Cieszę się.

– A co o tym sądzi Izaak?

– Dla niego im szybciej się to odbędzie, tym lepiej.

– Lepiej by zrobił, gdyby był szybciej u Ester. Biedne dziecko, jest całkowicie załamana.

– Jeśli o to chodzi, ty chyba nie możesz na nic narzekać, choć mam już siedemdziesiątkę na karku i myślę wciąż o rzeczach wzniosłych.

Perl, nie chcąc mu pokazać, że się uśmiecha, szybko odwraca się i zaczyna łuskać cebulę.

Rabbi Abraham Abulafia, rabbi Reuven Carfati, rabbi Izaak ben Samuel z Acre, rabbi Jehuda Albotini, rabbi Józef ben Szalom Aszkenazi, oczywiście słynny rabbi Izaak Luria i jeszcze wielu innych, jak moderniści rabbi Abraham Bibago i rabbi Jochanan ben Izaak Allemanno – w komentarzach wszystkich tych autorytetów natrafiają na dodatkowe techniczne informacje bardzo przydatne w ich konstrukcji. U najmłodszej generacji chrześcijańskich kabalistów, jak Johannes Reuchlin czy Agrippa von Nettesheim, znajdują jedynie mało konkretne, ogólnikowo-kabalistyczne rozważania, znane każdemu szesnastolatkowi z Wyższej Szkoły Talmudu i w praktyce bezużyteczne. Jedynym dysonansem był w istocie pogląd rabbiego Mojżesza ben Jakuba Kordovero. Podczas gdy Izaak z Acre był przekonany, że w oparciu o *Sefer Jecirah* można stworzyć pełnego człowieka, Kordovero utrzymywał, że możliwe jest wyłącznie utworzenie bardzo niskiej istoty, pozbawionej duszy i stojącej niewiele wyżej od zwierzęcia, choć niezwykle witalnej. Kto uśmierca golema, nie łamie żadnego przykazania. Pozostałe poglądy wypełniają spektrum między dwoma skrajnymi: golem miałby być wprawdzie istotą ożywioną, lecz jednak pozbawioną duszy, a więc niemą. On, który powstaje dzięki mowie, który *nie jest* niczym innym niż mową, sam nie potrafi mówić, gdyż w przeciwnym razie kabalista byłby równy Bogu, co wskutek grzechu pierworodnego nie jest możliwe.

– Golem – Löw w zamyśleniu zwraca się do swego zięcia – to człowiek pozbawiony daru mowy. Należy go widzieć jako odpowiednik postaci ze sztuki teatralnej, na którą z kolei składa się sam język bez człowieka. Dopiero aktor nadaje jej człowieczeństwo.

Tymczasem z rabbim Jakubem, który odgrywa rolę golema, nie jest najlepiej. Wiosną zaczyna kaszleć i z dnia na dzień wygląda coraz gorzej; skarży się na zmęczenie, a kilka tygodni później znika cała jego wesołość. Jest błądy jak papier, chudnie w oczach, na jego szyi i ramionach pojawiają się niepokojące plamy, czarne jak plwocina diabła. Według doktorów nie jest to na szczęście dżuma, tylko jakaś bliżej nieznaną chorobą, na którą nie ma lekarstwa. Kiedy nastaje lato, jest już za słaby, by wstać z łóżka, nie jest w stanie mówić i niebawem umiera. W czasie pogrzebu, kiedy składano go pod kolejny kamień cmentarza, Löw i Izaak spostrzegają, że ludzie patrzą na nich krzywo i unikają ich.

Podczas kadyszu, kiedy ich twarze zwrócone są w kierunku Jerozolimy, Perl szepcze:

– Teraz musisz się z tym pośpieszyć, Jehudo. Coś wrze w getcie.

– Myślisz, że sam tego nie widzę? Czy ja to robię dla siebie? Przecież to wszystko dla ich dobra, tylko nie mogę im o tym powiedzieć. Gdybym pogwałcił Tajemnicę Zamku, może się zdarzyć nieszczęście.

Nieszczęście już się jednak *stało*, Jakub umarł, ale co on sam na ten temat myśli, tego nie zdradzi nawet żonie. Może popełnił straszliwy błąd? Może mechanizm kabalistyczny działa w taki sposób, że te same rytuały, które ożywiają glinę, zabijają żywych? Nigdzie nic o tym nie czytał – może dlatego, że nikt wcześniej nie wpadł na tak nieszczęsny pomysł? W takim razie ma na sumieniu śmierć Jakuba i tylko zrobienie golema może to w jakimś stopniu zrekompensować.

Tymczasem kilka tygodni później dochodzi do następnej katastrofy: Ester znika z trojaczkami. Izaak, wróciwszy wieczorem do domu, zastaje tylko ciszę, wszystko przewrócone do góry nogami i list. Píše w nim, że ma już tego dość i że teraz on musi sobie dawać radę sam, bo jej najwyraźniej nie potrzebuje, chyba że do gotowania i prania jego rzeczy. Pewnie będzie mu brakowało synów, ale to właśnie cena, którą przyjdzie mu teraz zapłacić; im nie będzie niczego brakować. Nie powinien ich szukać, bo i tak nie znajdzie, już ona się o to postara. Niech mu się wiedzie, powodzenia z golemem i do zobaczenia nigdy.

Zdumiony stoi z epistołą w rękach, ale nawet w tym momencie nie jest do końca obecny myślami, które krążą wokół tajemniczego passusu z dopiero co przeczytanego kabalistycznego tekstu sprzed trzystu lat: „JHWH zamieszkuje głębie nicości”. Zatem i siebie stworzył z niczego? A może w ogóle nie istnieje? Zaczyna drzeć, nie wie, co go bardziej poruszyło: zniknięcie żony i dzieci czy też cień, jaki właśnie ni stąd, ni zowąd padł na JHWH? Ale po chwili dochodzi do siebie, wydaje głośny krzyk i przez cizbę w zaułkach przeciska się w kierunku domu teściów.

– Mój Boże, mój Boże, mój Boże – lamentuje Perl i zaczyna rozdzierać szaty, lecz Löw oszczędnym ruchem dłoni nakazuje jej milczenie i mówi:

– Na pewno się zjawi. Dokąd miałyby pójść? To są te kaprysy.

– Idę na policję!

I chociaż policja żydowska włącza policję cesarską, po Ester nie ma ani śladu. Szukać jej w getcie to jak szukać igły w stogu siana, zresztą gdyby tu była, nie udałoby się tego utrzymać w tajemnicy dłużej niż godzinę, a na drogach wylotowych z Pragi obławowana ciężko kobieta z trójką identycznych chłopców nie uszłaby uwagi poszukujących.

– To wszystko wina tego waszego przeklętego golema! – wykrzykuje Perl. – Kiedyż wreszcie zakończą się te szatańskie sztuczki?

– W przyszłym tygodniu kończę siedemdziesiąt lat – odzywa się Löw takim tonem, jakby właśnie teraz podjął tę decyzję.

Dzień przed urodzinami poświęcony jest postom i modlitwom. Po zachodzie słońca na progu domu Perl całuje go, a jej oczy zachodzą łzami. On, chcąc ją uspokoić, zamyka oczy i kiwa głową.

– Połóż się i wyśpij.

– Myślisz, że będę mogła zasnąć?

W milczeniu miesza się z tłumem, który nie ma pojęcia, co dla jego dobra ma się tej nocy wydarzyć. Izaak czeka na niego w synagodze; Abraham, stary szames, pozapalał już świece. Schodzą do mykwy, biorą rytualną kąpiel w krystalicznej deszczówce, owijają się białymi lnianymi płaszczami i nasunawszy na głowy kaptury, recytują psalm 119, raczej mało natchniony, legalistyczny tekst, podzielony na dwadzieścia dwie strofy po osiem wersów, z których każda ma za tytuł literę alfabetu, od nich też zaczyna się każdy kolejny wers. Ich tułowia poruszają się w rytmicznych skłonach, a kiedy przez ich usta przechodzą monotonne stance najdłuższego ze wszystkich psalmów, małe okienka robią się coraz czarniejsze.

Wychodzą na dwór, niosąc pod pachą zawiniątko z ubraniem szamesa dla golema. Izaak spogląda w górę na zegar ratusza po przeciwnej stronie. W pełni księżyca świecącego wysoko na niebie dość dobrze widać wskazówki: jest północ.

– Masz dziś urodziny, ojczu. Wszystkiego najlepszego!

Löw w zamyśleniu przygląda brodę.

– Równie dobrze mógłby to być w tym momencie zwykły zegar.

W getcie panuje cisza, tylko tu i ówdzie pali się jeszcze światło; z ciemnej sutereny dochodzi płacz dziecka. Bramy miasta stoją otworem, nie ma jeszcze wojny, ale dwóch strażników z halabardami zastępuje im drogę. W świetle kopcającej pochodni lustrują od stóp do głów dwie białe postaci.

– A dokąd to tak idziemy? – pyta jeden.

– Tam, na dół. – Löw wskazuje na drewniane schody dla rybaków i żeglarzy, wiodące na brzeg.

– A po co?

– Żeby zrobić golema.

– Co zrobić?

– Golema. To zbyt skomplikowane, aby teraz wyjaśniać, panowie, ale możecie się temu przyglądać, nie mamy nic do ukrycia.

– Nikt tu nie będzie nic robił, Żydzie. Jest środek nocy.

– To najlepszy czas.

– Zawrzyj bezczelny pysk, śmierdzący Żydzie! W tył zwrot i to już!

Teraz Löw rozgrywa swój atut. Wyciąga depezę, w której cesarz nalega na pośpiech.

– Czy jesteście pewni, że chcecie się sprzeciwić rozkazowi Jego Apostolskiej Wysokości?

Nie potrafią, rzecz jasna, czytać, ale już sam widok cesarskiej pieczęci sprawia, że ustępują.

W dole na brzegu, stojąc po cholewy w błocie, Löw zaczyna się rozglądać. W cichej, parnej nocy rzeka lśni niby płynne światło księżyca, blade jak twarz Jakuba na łożu śmierci. Most jest pusty, zamkowe wzgórze tonie w ciemności. Czy cesarz śpi? Może mu się śni, że sułtan podrzyna mu gardło? Czy też w dalszym ciągu pracuje jeszcze w swoim laboratorium, spowity parami siarki i rtęci, co sprawia, że ogarnia go coraz większe szaleństwo? Księżyc niemal przyćmił gwiazdy na bezchmurnym niebie – z wyjątkiem dwóch planet nieruchomo jaśniejących tuż obok siebie w gwiazdozbiorze Lwa.

Lów rozpościera ramiona, a kiedy wspomagany przez Izaaka zaczyna recytować drugą część *Sefer Jecirah*, ogarnia go uczucie, że oto słucha go całe stworzenie. Potem przykłęka na brzegu rzeki i zabiera się do dzieła. Ponieważ golem może być zrobiony wyłącznie z dziewiczej, nieuprawnej ziemi, leżącej nad płynącą wodą, miejsce to jest idealne; tu z pewnością niczego jeszcze nie uprawiano. I podczas gdy Izaak pochyla się do przodu i wykonując rytmiczne skłony, pół śpiewa, pół recytuje odpowiednie teksty midraszu, Lów przystępuje do lepienia z tłustej rzecznej gliny leżącej postaci z rozłożonymi rękoma i nogami. Drżał przed tą chwilą w obawie przed stworzeniem potwora, ale ku własnemu zdumieniu idzie mu dobrze, a proporcje od razu się zgadzają. Podekscytowany klaszcze w dłonie; spoglądając od czasu do czasu na Izaaka, zaczyna modelować twarz i czuje ogarniające go coraz większe podniecenie. Jakby same z siebie powstają zamknięte oczy, nos, usta, Lów dyszy, stęka, sapie, wstaje, przypatruje się z dystansu, znów kłęka, rzuca spojrzenie na uszy Izaaka i kształtuje labirynty małżowin, które kciukiem przykleja we właściwym miejscu: górna krawędź na wysokości niewidocznych jeszcze gałek ocznych. Lów pracuje, jakby jego oczy i dłonie były połączone bez pośrednictwa mózgu. Utworzywszy sutki – odległość między nimi jest równa odległości od podbródka do linii włosów – zaczyna opuszkami kciuka sporządzać pępek – i nagle przerywa. Czy golem winien mieć pępek? Oczywiście że nie, nie ma matki, zresztą tak samo jak Adam, więc nie ma pępka. Ujmuje nieco gliny z grudy w lewej ręce i kciukiem prawej dłoni zasmarowuje pępek. Kiedy w końcu dłoniom i stopom dorobił palce, pozostała jeszcze jedna rzecz. Penis. Członka Izaaka nie widzi i nie chce widzieć – nawet Ester nie oglądała go zbyt często – będzie zatem musiał pracować, rekonstruuując własny z pamięci. Na stojąco modeluje obrzezany organ płciowy, niezbyt mały i nie za duży, lewe jądro nieco niżej niż prawe. Ostrożnie sadowi go na rozstajach tułowia.

Jedynie wewnętrzna strona jego płaszczka pozostała biała. Głęboko dysząc, przechyliwszy głowę, ślęczy nad swoim dziełem. Czy ta szara twarz pozbawiona zarostu da się niebawem ożywić? Baczył na to, aby nie upodobnić go do Izaaka, i przyszły Josele jest przystojniejszy i młodszy, na oko dwudziestodwulatek. Jest mu nawet do twarzy z łysiną. Bez ruchu leży tej cichej księżycowej nocy na skraju wody.

Izaak przerywa recytacje i przygląda mu się z rozdziawionymi ustami.

– Jak to możliwe – powiada – że macie w sobie tyle talentu do czynności, których Adonai surowo zakazał? Wy, wielki rabbi!

Lów wzrusza ramionami i unosi zabrudzone dłonie.

– Sam się sobie dziwię.

– Ten dar nie może przecież pochodzić od Adonai, niech będzie błogosławione Imię Jego, tylko od Szatana, który ma na swym sumieniu także kult Złotego Cielca.

– To dziwne usłyszeć coś takiego od własnego zięcia. W Talmudzie znajduje się zresztą opowieść o rabbiach Chanina i Oszaja, którzy przed wiekami zrobili golema-cielca.

– Wiem. Potem go zarżnęli i zjedli.

– Najwidoczniej jakieś cuda wiążą się z cielętami – uśmiecha się Lów. – W przyszłości wydarzy się jeszcze więcej dziwnych rzeczy.

– Jak możecie być tacy spokojni? Na waszym miejscu bardzo bym się martwił takim diabelskim talentem.

– Ale nie jesteś na moim miejscu, drogi Izaaku, i tak szybko się na nim nie znajdziesz. I nie bądź ciągle taki logiczny, sięgnij myślą głębiej. Może spojrzysz na to inaczej: Adonai, niech będzie błogosławione Imię jego, dzisiejszej nocy za moją przyczyną uruchomił nawet Belzebuba, aby w Pradze zachować swój naród. Co ty na to? Zresztą jeśli wszystko pójdzie dobrze, ta rzeźba nie pozostanie długo rzeźbą.

Teraz, po półtora roku studiów i ćwiczeń, nadszedł moment wzniesienia kolistego muru z dwustu trzydziestoma jeden bramami z liter. Lów staje u głowy, Izaak u stóp, i popatrzawszy sobie przez moment prosto w oczy, jak śpiewak i akompaniator, powoli zaczynają chodzić dookoła rzeźby, w odwrotną stronę niż wskazówki chrześcijańskiego zegara, podczas gdy tysiące kombinacji według przepisu rabbiego

Eleazara cicho i szybko wychodzą z ich ust, trzy na sekundę, wszystkie wokalizacje, za każdym razem złączone z jedną literą tetragramu – pierwszy z dwudziestu jeden ciągów zaczyna się od zwarcia krtaniowego alefu:

'aBaJ, 'eBaJ, 'iBaJ, 'oBaJ, 'uBaJ, 'aBeJ, 'eBeJ, 'iBeJ, 'oBeJ, 'uBeJ, 'aBiJ, 'eBiJ, 'iBiJ, 'oBiJ, 'uBiJ, 'aBoJ, 'eBoJ, 'iBoJ, 'oBoJ, 'uBoJ, 'aBuJ, 'eBuJ, 'iBuJ, 'oBuJ, uBuJ, 'aBaH, 'eBaH, 'iBaH, 'oBaH, uBaH, 'aBeH, 'eBeH, 'iBeH, 'oBeH, 'uBeH, 'aBiH, 'eBiH, 'iBiH, 'oBiH, 'uBiH, 'aBoH, 'eBoH, 'iBoH, 'oBoH, 'uBoH, 'aBuH, 'eBuH, 'iBuH, 'oBuH, 'uBuH, 'aBaW... – a potem jeszcze wszystkie następne kombinacje A i B z W w JHWH, po których następuje druga brama: wszystkie aspekty A i G, trzeciej litery alef-betu, również z literami tetragramu, a potem wszystko od A z H, trzecia brama... mamrocząc, drepcząc po kole, ze wzrokiem nieustannie utkwionym w kukle, a ich stopy powoli wydeptują coraz głębszą koleinę dookoła niej.

Po pięciu minutach wydarza się coś nieoczekiwanego. Kiedy osiągnęli jedenastą bramę, Izaak nagle zapada się w glinę po pas. Próbuje się wydostać, ale bezskutecznie. Bezradnie spogląda na teścia, który tak samo wstrzymał recytowanie i patrząc na niego, kręci głową.

– Co powiedziałeś jako ostatnie? – pyta surowo.

Izaak zawstydzony spuszcza głowę.

– 'aLaJ – szepcze.

– Tak myślałem, gamoniu. Najpierw prawisz mi kazanie o moim talencie, a potem sam robisz największą głupotę. Wiesz przecież, że jeśli przy kopiowaniu Tory zostanie pominięta jedna litera, może to oznaczać koniec świata! Co z ciebie za rabin? 'aL – albo 'eL, jak dziś się mówi – to najstarsza nazwa Boga, a Boga nie możesz koniugować Bogiem, ileż to razy mówiliśmy o tym. Zaraz trzeba kontynuować 'aMaJ dwunastej bramy.

– Zmogło mnie.

– Już teraz? Dopiero zaczęliśmy! Dobrze, szybko to unieważnijmy.

Lów robi kilka kroków zgodnie ze wskazówkami chrześcijańskiego zegara, powtarzając przy tym w odwrotnej kolejności:

– 'aLaJ, 'uKuH, oKuh...

I w tym momencie Izaak unosi się prosto z ziemi, która pod jego stopami się zamyka. Jego biały płaszcz nie jest nawet zabrudzony.



Po tym zejściu ciągną dalej już bez żadnych pomyłek, realizując ściśle schemat. Nieustanne mówienie i dreptanie wkoło wprowadza ich stopniowo w trans, dzięki czemu nie czują zmęczenia, a im bliżej mają do końca, tym częściej wykonują dziwne, ekstatyczne skoki. Po półtorej godzinie od rozpoczęcia dopełniają nadnaturalnego programu, zamykając dwieście trzydziestą pierwszą bramę:

– ...ShiTuW, ShoTuW, ShuTuW.

Z nagłym uczuciem wyczerpania skołowani padają na ziemię. Kiedy Löw po minucie dochodzi do siebie, ma wrażenie, że przez wiele godzin pogrążony był w głębokim śnie, ale niczego nie śnił. Jest u kresu sił. Podnosi wzrok. Nic się nie stało. Postać z gliny spoczywa bez ruchu nad brzegiem rzeki. Pochłodziło, księżyc i dwie planety zmierzają ku zachodniemu krańcowi horyzontu. Głęboko wzdycha i zniechęcony macha ręką. Tak naprawdę nigdy w to do końca nie wierzył. Ta szalona kabalistyczna kombinacja najwyższej dokładności i krańcowej fantasmagorii okazała się wprawdzie wspaniała, ale to już wszystko, cała reszta jest bzdurą, czymś, co łatwowierny lud przypisuje mistycznym Wunderrebben. Zatem śmierć Jakuba także nie ma na szczęście nic wspólnego z obrzędem. Rzecz jasna, było zastanawiające, jakim sposobem Izaak przed chwilą nagle zapadł się w glinę i znów z niej powstał, ale to raczej przypadkowe zejście; cała reszta to urojenia. Jutro uda się do cesarza i wyjaśni mu, że teraz to już dowiedzione i że chrześcijanie nie muszą żywić żadnych irracjonalnych obaw czy agresji wobec Żydów z powodu ich rzekomych magicznych koneksji z Diabłem.

Izaak siada w kucki i przykłada grzbiet dłoni do policzka rzeźby.

– Robi się ciepły – mówi.

Lów zastyga. Minutę, dwie przypatruje się postaci, ale nic się nie dzieje. Potem wyciąga rękę i teraz on przykłada ją do policzka – z krzykiem cofa ją, po czym wsuwa palce do ust: sparzył się. Teraz wydarzenia następują szybko po sobie. Masa delikatnie się rozżarza, żar staje się ciemnoczerwony, jasnoczerwony, przechodzi w biel, teraz gorąco bije w twarz i muszą się cofnąć. Chwilę później, kiedy proces jakby sam z siebie dobiega końca, na całej długości zaczynają dobywać się kłęby pary, pachnącej świeżym Chlebem i starą krwią, i spowijają glinianą kukłę. Para wznosi się pionowo do góry, tworząc biały słup wyższy od mostu, a dwóm strażnikom przechylonym przez balustradę wydaje się, że śnią. Stopniowo słup staje się cieńszy i rzadszy – i raptownie parowanie ustaje.

Na sekundę wszystko zamiera w bezruchu i tylko gwiazda spada.

– Nie wierzę własnym oczom – mamrocze Lów przez swoją brodę.

Bo oto na ziemi leży żywa istota. Glina stała się ciałem, spokojny oddech unosi pierś w górę i w dół jak u śpiącego. Na czole pojawiły się trzy litery, których Lów wcale tam nie umieścił: A M T – pierwsza i ostatnia litera alef-betu, a pomiędzy nimi Mem.

– 'eMeT – czyta. – Prawda.

– Udało się! – krzyczy z radości Izaak. – Udało się nam!

Ale Lów pochyla się do przodu i gestem zmusza go do milczenia. Coś się nie zgadza. Coś jest nie tak. Istota ma bowiem kobiece piersi, niezbyt duże, ale wyraźnie zaokrąglone. Szybko zerka niżej: penis nie stał się ciałem, jest teraz tylko wypaloną gliną. Ostrożnie ujmuje organ i unosi, a ten natychmiast się odrywa. Lów z wyrzutem spogląda na Izaaka.

– Szlemiel! – rzuca łukiem terakotowy penis do Wełtawy. – Teraz rozumiem. Po twoim głupim błędzie z 'eL nastąpiło 'aM, czyli „matka”. To widać doprowadziło do spięcia. Nie skopiowaliśmy wcale stworzenia Adama, tylko Lilith.

– Ja... – zaczyna Izaak, ale Lów od razu mu przerywa:

– Daj pokój. Moglibyśmy cofnąć procedurę i zacząć od nowa, ale nie jestem teraz w stanie ruszyć ani ręką, ani nogą. Zresztą może to i lepiej. Cesarz zwariował na punkcie kuriozów, pewnie więc jeszcze bardziej doceni żeńskiego golema.

Myśli tłoczą się w jego głowie. Wie, że słowo władców nie jest wiele warte, ale przyrzeczenie cesarza, że gdy otrzyma golema, to prascy Żydzi nie mają się na razie czego obawiać, może zostanie dotrzymane. Co się tyczy jego samego, to przy tym, czego dzisiaj dokonał, dziesiątki jego uczonych traktatów zbledną jak światło gwiazd przy świetle księżycy. Chyba tak miało być. Myślenie widać nie może konkurować z działaniem.

– Tak – mówi i zamyśla się – więc to nie jest Josele, tylko... Menszele Golem.

Prostuje się i utkwivszy wzrok w śpiącej twarzy, mówi, podnosząc głos:

– Menszele!

Bezpepkowe ciało przebiega dreszcz, a gdy przetyka ślinę, grdyka unosi się i opada – potem otwierają się oczy. Löw nigdy jeszcze nie widział takiego wzroku. Zupełnie jakby zaglądał do ciemnej piwnicy. Izaak nie może oderwać wzroku od smukłego, młodzieńczego ciała, umodelowanego na jego podobieństwo.

– Wstań! – rozkazuje Löw.

Naga młoda kobieta podnosi się i drętwo patrzy na niego. On wskazuje jej tobolek z ubraniem.

– Ubierz się!

Widać nie musi się tego uczyć. Chwilę potem stoi przed nimi pomocnik z synagogi w długim czarnym płaszczu i czarnych pończochach; czarny beret zakrywa trzy litery na czole.

– Chodź z nami!

Wspinają się po drewnianych schodach. W wartowni na górze Löw dostrzega w świetle świecy dwóch żołnierzy: klęczą, mają złożone dłonie i mamroczą coś, utkwivszy wzrok w krucyfiksie.

Księżyc, coraz większy i czerwieńszy, zachodzi i oddaje czarne niebo we władanie gwiazdom. Kiedy tak idą przez uśpione getto, Menszele pomiędzy swoimi dwoma ojcami, nie zamieniają ze sobą ani słowa; zupełnie jakby udzieliła się im niemota golema. Postępując, Löw wolno kroczy przed siebie. Tak znużony nie czuł się jeszcze nigdy, choć dziś osiągnął wiek mocnych. Kiedy przychodzą pod jego dom, niebo na wschodzie zaczyna się różowić.

– Jak wy wyglądacie? – woła od progu Perl. – A co to za szames bez brody?

– To Menszele Golem, Perl. Udało nam się. Wkrótce pokażę ją na Zamku, ale teraz jest jeszcze za wcześnie. Zrób nam coś do picia, zaczekamy do dziewiątej.

– Nie wejdzie pod mój dach! W moim domu nie ma miejsca dla golema! Idźcie gdzie indziej z tym potworem.

Perl jest nieustraszona. Löw proponuje, żeby pójść do szufl, ale Izaak, nieco spięty, jękając się, mówi:

– Może przecież pójść ze mną. Pokój dziecięcy stoi pusty. A wy się połóżcie na kilka godzin, jest wam to potrzebne.

– Dobry pomysł – mówi Löw. A Menszele nakazuje: – Słuchaj Izaaka, dopóki ja nie przyjdę!

Ona kiwa głową i patrzy na niego swoimi ciemnymi oczami, które napędzają strachu. Nagle Löw uprzytamnia sobie, że ona w ogóle nie mruga.

Löw śni, że siedzi w żelaznym wozie, który zjeżdża ze wzgórza, ale wówczas spostrzega, że jedzie wzdłuż rzecznoego brzegu i że do wozu nie są zaprzężone konie...

– Jehudo! Jehudo!

Przestraszony otwiera oczy i widzi złęknioną twarz Perl.

– Co się stało?

– Szybko, wstawaj! Musiało się wydarzyć coś strasznego! Chodzi o Izaaka!

Wskakuje w buty i wybiega na dwór. Całe getto jest wzburzone. Poranne światło oświetla zaułki, setki ludzi biegną w stronę domu Izaaka. Dotarłszy na miejsce, musi się przepychać przez rozkrzyczany tłum, żeby dojść do drzwi. Tam zatrzymuje go policjant.

– Co się stało?

– Rabbi ha-Kohen został zamordowany przez szamesa, który postradał zmysły. Jest jeszcze w środku.

– Proszę mnie wpuścić!

– Czy jesteście pewni, że tego chcecie, Maharalu?

– Mówię ci, wpuść mnie!

– Tylko, na miłość boską, proszę na siebie uważać.

Cizba i wrzawa wypełniają piekarnię i mały pokój mieszkalny. W kilku susach Löw dopada do drzwi pokoju dziecięcego, gdzie zastyga na progu. Izaak został zaszlachtowany. Jego bezwładne nagie ciało, niewyobrażalnie wykręcone, jakby tułów był osadzony na nogach tył na przód, spoczywa w połowie na łożku, w połowie wśród rozrzuconych na podłodze zabawek, pokryte wielkimi, czarnymi muchami. Całe jego ciało jest w ranach po odciętych lub oderwanych kawałkach mięsa, krew poplamiła ściany, trysnęła nawet na niski sufit. W kącie stoi Menszełe, w dłoniach dzierży długi spiczasty nóż; jej twarz, odzienie, wszystko spryskane jest krwią. Nikt nie odważa się podejść do niej, każdego trzyma na dystans wyraz jej oczu. Wtedy Löw słyszy, jak ktoś obok niego odciąga kurek pistoletu. Pcha lufę ku podłodze i mówi:

– Menszełe! Oddaj mi nóż!

Z otwartymi ustami i zapartym tchem wszyscy przyglądają się, jak powoli podchodzi do niego. Patrząc mu w oczy, oddaje zakrwawiony nóż.

– Zdejmij beret!

Kiedy ukazuje się jej łysa czaszka, a na czole litery A M T, pomieszczenia wypełnia pomruk:

– 'eMeT...

Löw przykłada ostrze noża do alefu i zagląda głęboko w noc jej oczu. Jest tak, jakby sobie coś przypominał sprzed dawien dawna, sprzed swoich narodzin... szloch porusza jego pierś; szybkim ruchem usuwa alef, przez co słowo „prawda” zmienia się w „śmierć”: *MeT*. W tym samym momencie jej oczy robią się zamglone, twarz zaczyna się łuszczyć, czaszka staje się piaskowa, beret wypada z rąk; po chwili całe ciało z szumem rozpada się, a na podłodze u stóp Löwa nie zostaje nic poza stosem odzieży i wyschniętą gliną.

Rzuca na to wszystko nóż i odwraca się.

– Niech ktoś przyniesie z piekarni wór po mące.

Nikt nie jest w stanie powiedzieć ani słowa. Słysząc tylko brzęczenie much. Kiedy podano mu worek, przykłęka i wkłada do niego wszystko. Pokruszoną glinę, pończochy, bieliznę, jeszcze ciepłe. Przerzuca worek przez ramię i wychodzi na dwór, gdzie wieść lotem błyskawicy już obiegła zgromadzony tłum. Gdy zbliża się przygarbiony pod ciężarem, milcząca ciżba robi mu miejsce.

Idąc obłany potem przez getto, które wypełnia śmiertelna cisza i słoneczne światło, w stronę Altneuszuł, zaczyna zadawać sobie pytanie, co się mogło stać. Czy Izaak próbował nawiązać bliższą znajomość z dziewczyną? Ona pod nim, a on na niej? A może on sam popełnił drugi kardynalny błąd, modelując jej ciało na podobieństwo ciała Izaaka? Czyżby nie była w stanie tego zaakceptować, ponieważ w ten sposób stała się drugą Ewą, a nie drugą Lilith? Nikt się nigdy tego nie dowie. Ale założmy, że dokończyłby Menszele kilka godzin później i od razu dostarczył cesarzowi, a ona by go zamordowała – co by się wówczas stało? Wówczas wszyscy Żydzi w Świętym Cesarstwie Rzymskim i poza jego granicami zostaliby zgładzeni do ostatniej kobiety i ostatniego dziecka. Nie, natychmiast musi się udać do cesarza i opowiedzieć mu, że zamiast niego umarł Żyd, nawet dwóch, a on, Löw, uratował mu życie, unicestwiając golema. Może nawet, jeśli to zrozumie, tym bardziej dotrzyma przyrzeczenia danego praskim Żydom?

Przy pomocy Abrahama wciąga worek po wąskich schodach prowadzących na strych Altneuszuł. Szames otwiera mały pokój na poddaszu, służący za składzik starych krzesel i poduszek. Usunąwszy to wszystko, Löw stawia wór na drewnianej podłodze pośrodku pomieszczenia. Zamyka drzwi na klucz, wsuwa go do kieszeni i mówi:

– Żaden śmiertelnik nie może tu nigdy wejść. Schody należy rozebrać.

# Zeszyt czwarty

## wiktor werker

Wizja rozmywa się, znika jak góra lodowa, która oderwawszy się od kręgu polarnego, dryfuje na południe i topnieje. Biały lód wśród błękitnego oceanu (mój błękitny ekran, a na nim białe litery), moloch wielkości alpejskiej góry, z którego w końcu zostaje tylko mała bryłka, nie większa od kła mamuta. Może patrzy nań mała blada dziewczynka, przechylona przez reling statku, który wczorwu 1912 roku wiezie ją do Southampton. Nie jest jednak w stanie dostrzec ostatnich, przezroczystych odprysków lodu, zawierających słodką wodę, tak drobnych jak ścinki paznokci – aż wreszcie i to znika i z góry lodowej, która dwa miesiące temu rozdarła Titanic, nie zostaje nic. Na czym to ja stanąłem? Ktoś przestraszył się dzwonka: Wiktor Werker.

Wiktor Werker został splotony przez pewnego majora z pewną rzeźbiarką w Amsterdamie w burzliwy sobotni wieczór w końcu listopada 1951 roku. Przyszły ojciec pojawił się na świecie w roku 1917, a splotony został podczas bitwy pod Verdun; może tu kryje się wyjaśnienie dlaczego, mimo iż pochodził przecież z rodu maklerów giełdowych, został zawodowym żołnierzem. Podczas piętnastodniowej kampanii w maju 1940 roku walczył przeciw Niemcom w stopniu podporucznika, w czasie okupacji dołączył do prawicowo-monarchistycznej grupy, wyładował kolejno w kilku obozach koncentracyjnych, po wojnie zaś ponownie wstąpił na służbę i jako porucznik wszedł w skład Władz Wojskowych, po czym w latach 1947-1949 w stopniu kapitana wziął udział w kolonialnych ekspedycjach karnych w Indonezji. Po powrocie z tej wojny, znowu przegranej, na której stracił jedno oko, major Ferdynand Werker, szczupły, wysoki i wysoko odznaczony, o nieprzeniknionej twarzy i włosach szczesanych na bok, z przedziałkiem zawsze bezbłędnym jak trajektoria armatniego pocisku, został słuchaczem Wyższej Szkoły Wojskowej. W roku 1950 ożenił się z młodszą od siebie o dziesięć lat Grettą Rector, a kiedy kilka dni po zawarciu małżeństwa wybuchła w Korei wojna, na którą chciał pójść, najlepiej na ochotnika, jego żona oświadczyła, że skoro tak, to natychmiast wystąpi o rozwód. Koledzy nie mogli się nadziwić, że nie ożenił się z kimś ze swojego środowiska i że jego wybranką została młoda, pewna siebie kobieta z kręgów lewicowych, córka trockisty, rzemieślnika produkującego ramy, który opiekował się nim w Dachau w baraku dla chorych na tyfus plamisty. Bez wątpienia był dobrym materiałem na generała, zaledwie trzydziestotrzyletni, a już dysponujący tak bogatym doświadczeniem, ale jego małżeństwo wskazywało na to, że nie jest aż takim człowiekiem z żelaza, za jakiego chciałby uchodzić, zresztą producent ram stanowił pewne ryzyko; jednym słowem wszystko razem nie wróżyło dobrze jego dalszej karierze wojskowej. On sam też zdawał sobie z tego sprawę, ale mało go to obchodziło. Musieli go brać takim, jakim był. Ferdynanda i Grettę pociągało do siebie właśnie to, że nic ich nie łączyło – chociaż właśnie to ich łączyło.



Również pod względem seksualnym nie byli do siebie dopasowani. Te sprawy nie przedstawiały dla Werkera większej wartości niż jedzenie i picie i naprawdę swojsko czuł się jedynie w świecie mężczyzn, do którego należało nie tylko wojsko czy ruch oporu, ale nawet obozy koncentracyjne. Raz na tydzień w zupełności mu wystarczało, lecz Gretta wołałaby raczej raz dziennie. Skutkiem tego od czasu do czasu rozgrywały się bolesne sceny, które zna każdy, nie muszę ich więc opisywać; niemniej taki rodzaj scen, które dotyczą natury życia, zawiera krytyczną masę materiału rozszczepialnego i może prowadzić do ostrych rozpraw czy wręcz całkowitego zniszczenia związku. Próby uwiedzenia go spełzały na niczym; do zbliżenia dochodziło tylko wtedy, kiedy faktycznie miał na to ochotę, najczęściej w środku nocy, zanim ona na dobre zdążyła się rozbudzić. Po śniadaniu, kiedy był już w pracy, Gretta wpełzała do ciepłego jeszcze łóżka i zaspokajała się sama, ale po kilku miesiącach zaspokajania się, które już ją przestało zaspokajać, przestała się też godzić na perspektywę całego takiego życia. Ponieważ rozumiała, że konflikt jest nierozwiązywalny, a nie chciała utracić Ferdynanda ani wziąć sobie kochanka, uznała, że powinna mieć dziecko. To zmieniłoby diametralnie sytuację. Nie wiedziała, czy Ferdynand chce dziecka, nigdy o tym nie rozmawiali, toteż wydało jej się, że najrozsądniej będzie dalej tak to zostawić. Jeśliby choć raz powiedział, że nie jest zainteresowany, przynajmniej na razie, cała sprawa byłaby stracona. Przed orgazmem zwykł bowiem pytać, czy musi uważać: co samo w sobie świadczyło o stosunku negatywnym.

Teraz gdy pytał, czy musi uważać, zaczęła mówić „nie”, nawet jeśli faktycznie powinien był uważać; ale częstotliwość czterech razy na miesiąc raczej nie gwarantowała, by szczęśliwy splot okoliczności miał szybko nastąpić. Po pół roku, kiedy ku własnemu rozczarowaniu nadal regularnie dostawała okres, poszła do sekretariatu Związku Maltuzjańskiego. W małym gabinecie, gdzie wystawiono książki i foldery, przy stole z dwiema filiżankami herbaty i paterą biskwitów, tyczkowata dama z siwym kokiem, w sweterku najwidoczniej własnoręcznie zrobionym na drutach, wyjaśniała jej metodę kalendarzykową Ogino-Knausa. Na początek powinna przez rok starannie notować pierwszy dzień okresu. To nie stanowiło problemu, bo Gretta i tak już to robiła; na pierwszych stronach jej terminarza, gdzie znajduje się kalendarz na cały rok, kolejne miesiące ukazywały poziome rzędy krzyżyków. To dobrze, dzięki temu będzie można odczytać wzór jej cyklu, który – dajmy na to – waha się między dwudziestoma pięcioma a trzydziestoma dniami. Biorąc pod uwagę to, że owulacja zawsze ma miejsce między szesnastym a jedenastym dniem przed następną menstruacją, oraz fakt, że jajeczko jest gotowe do zapłodnienia najwyżej osiem godzin, a komórki plemników nie więcej niż trzy doby, można dokładnie obliczyć, kiedy kobieta jest płodna i kiedy powinna się powstrzymać od współżycia płciowego. Pierwszy okres niepłodny to najkrótszy cykl minus dziewiętnaście dni, po czym następuje okres płodny, na który składa się dziewięć dni plus jeden dzień na każdy dzień różnicy między najkrótszym a najdłuższym cyklem, natomiast drugi okres niepłodny obejmuje ostatnich dziesięć dni najdłuższego cyklu. Jednym słowem, powiedziała maltuzjańska dama, jeśli uwzględnić te dane, możliwość zajścia w ciążę jest zredukowana niemal do zera.

– Ale ja właśnie chcę zajść w ciążę – odparła Gretta.

– O, to źle panią rozumiałam, to zmienia postać rzeczy. Choć właściwie wcale nie. Może jednak metoda termiczna będzie w pani przypadku lepsza.

W sobotę 10 listopada Greta dostała okres. Kiedy w piątek 16 listopada było po wszystkim, zaczęła, według wskazówek maltuzjanki, mierzyć temperaturę ciała przed wstaniem z łóżka; ponieważ Ferdynand nie musiał o tym wiedzieć, chowała termometr pod materac. Gdy szedł do WC i do kuchni, aby nastawić kawę, szybko wkładała termometr do pupy. Wyniki zapisywała na ostatniej stronie terminarza:

*Sob. 17 XI – 36,6°*

*Ndz. 18 XI – 36,7°*

*Pon. 19 XI – 36,7°*

*Wt. 20 XI – 36,6°*

*Śr. 21 XI – 36,7°*

*Cz. 22 XI – 36,6°*

*Pt. 23 XI – 36,4°*

To obniżenie temperatury w piątek było zgodne z oczekiwaniami i spadkiem zasadniczej ciepłoty jej ciała. Następnego dnia miała się zacząć owulacja – *uwolnienie jajeczka*, jak nazwała to maltuzjanka.

– Ładna nazwa.

– Tak się to po prostu nazywa, proszę się w tym niczego nie doszukiwać.

*Sob. 24 XI – 37,1°*

Wszystko się zgadza! Ten moment więc już nadszedł! Kiedy obracała cienki, niemal niewidoczny słupek rtęci, pozwalając mu skoczyć do srebrnej kreski oznaczającej 37°, wydało jej się, że czuje uwalnianie się jajeczka w jajniku. Co teraz? Teraz zaraz? Ale Werker już wstał i przeglądał przy oknie poranną gazetę, nie uda jej się zaciągnąć go na powrót do łóżka. Zatem dziś wieczór, za wszelką cenę. A jeśli i wieczorem się nie uda, postara się następnym razem zorganizować to na dzień przed spadkiem temperatury. W celu pokonania swojego majora postanowiła wytoczyć ciężką artylerię.

Wieczorem za oknami ich okazałego domu w śródmieściu rozpełtała się burza, zasłony zwiślały ukośnie, odciągnięte w stronę pokoju niczym samolot startujący ostro w górę; za nimi deszcz dzwonił o szyby. I kiedy major Werker po jedzeniu czytał w świetle stojącej lampy swoją wieczorną gazetę (w Korei negocjatorzy uzgodnili przebieg linii demarkacyjnej), Gretta nastawiła płytę Georges'a Brassensa. Ze stojaka na wino wyjęła butelkę i podeszła do męża.

– Ty i te twoje wieczne gazety – odezwała się i wyrwawszy mu ją z rąk, zatoczyła nią łuk. – Dziś choć raz zapomnimy o całym świecie.

– Co ty? – zawołał, kiedy jego ręce zniecka pozbawione gazety zawisły w powietrzu. Poirytowany podniósł na nią wzrok. Spojrzenie jego prawego szklanego oka przetoczyło się po niej, zdradzając przy tym głębokie zainteresowanie rozważaniem mistycznych wizji świętej Teresy z Avili. Ale na widok otwartych ust i zuchwałego uśmiechu jej wyrazistej, nieco asymetrycznej twarzy zmienił się wyraz jego własnego oka i nie złapał gazety z powrotem. Jej gęste ciemnoblond włosy zostały najwidoczniej upięte kilkoma pośpiesznymi ruchami, bo tu i ówdzie zwiślały luźne kosmyki.

*Partir, c'est mourir un peu*

*À la guerre!*

*À la guerre!*

Podawała mu butelkę wina oraz korkociąg i trzymając gazetę wysoko w górze, zapytała:

– Czy wiesz, że gazetę łatwo jest podrzeć na pasy z góry na dół, ale nie udaje się to od lewa na prawo?

To był znów ten jej bzik na punkcie techniki. Spoglądał na tę jej demonstrację z butelką pomiędzy nogami i korkociągiem w korku. A ty tymczasem popatrz, jak wygląda nasz oficer w domu: blezer, koszula w kratę ciasno zapięta pod szyją, krawat jego regimentu, spodnie z tweedu w kolorze mokrego piasku, buty siatkowe w kolorze czerwonego bordeaux – niemal wszystko jeszcze sprzed wojny, u niej natomiast trudno byłoby się dopatrzeć choćby śladu cywilnego uniformu anglofila z lepszych kręgów. Bez jedwabnej apaszki, bez sznura pereł, bez plisowanej spódnicy, tylko własnoręcznie uszyta szeroka sukienka z białonego lnu, sięgająca do kostek, która, podobnie jak teraz zasłony, nieco odstawała z przodu – w tym wypadku było to spowodowane jej wielkimi piersiami, które zawsze przywodziły mu na myśl słowo „popiersie”.

Kiedy korek butelki wystrzelił z hukiem, uklękła i zaczęła kilkakrotnie składać gazetę na całej długości, odsunęła zasłony i wzięła się do uszczelniania okiennych ram.

– Zaoszczędzimy setki guldenów na oleju opałowym – powiedziała.

Valpollicella 1947. Nalał dwa kieliszki, ściągnął blezer i przysiadł się do niej na podłodze, gdzie stosując się do instrukcji Gretty, rwał kolejne pasy z gazety i podawał jej. Weszła na krzesło i przez długie rozcięcie w sukience mógł zobaczyć jej cienkie nogi. Te nogi nie pasowały do piersi, ale akurat to go podniecało. Może właśnie dlatego, że nie był kobieciarzem, kobieta w jego odczuciu musiała mieć w sobie jakąś fizyczną nielogiczność. Modelki czy wenusy z Willendorfu, u których piersi i nogi są utrzymane w doskonałej proporcji, mogły być wprawdzie, jeśli o niego chodzi, bardzo wyjątkowymi ludźmi, ale pod względem seksualnym pozostawał na nie obojętny. A z estetyką – nie za cienkie, nie za grube, wszystko ładne i jak należy – jego erotyczne preferencje miały jeszcze mniej wspólnego niż z logiką.

Zanim zasunął zasłony, na moment wyjrzał jeszcze na dwór. Pod ołowianym niebem w świetle latarni odbijających się w mokrych kamieniach widać było, jak zacina deszcz; na małym placyku o nieregularnym kształcie kilka osób walczyło z parasolami i przeskakując kałuże, znikало w krętych uliczkach. Domy po drugiej stronie były niższe, mógł więc, patrząc ponad dachami i obok kopuły bazyliki, dostrzec w dali girlandę mostu na Amsteli. Tam pewnie teraz walczą, aby ich nie zwiąło do wody. Z uczuciem ukontentowania zaciągnął zasłony i obrócił się.

Gretta usadowiła się w rogu kanapy, podciągnęła kolana pod brodę i ogrzewając oburącz kieliszek wina, patrzyła na niego z tej perspektywy. Sukienkę miała podciągniętą, rozcięcie z tyłu otwarte; ponieważ była bez majtek, patrzył teraz prosto w ocienioną jaskinię jej krocza. Jego lewe oko nieco się powiększyło. Czy to zbieg okoliczności? Zamiar? Poczł, że nie powinien nic na ten temat mówić – niczym woda, która rozrywa wał i rozlewa się szeroko, rozlało się w nim podniecenie, z taką gwałtownością, jak nigdy przedtem. Ta kobieta tam, w cichej, bezpiecznej przestrzeni pokoju, jego żona, on sam z nią...

*Je vous salue, Marie.*

Drżącymi dłońmi zaczął luzować krawat, granatowy krawat regimentu w poprzeczne paski z motywem herbu, i podchodzić do niej powolnym krokiem, trochę sztywnym, choć dalekim od wojskowego. Kiedy przysiadł się do niej, położyła swoją dużą, mocną dłoń na jego udzie tak, że koniec małego palca prawie dotykał jego wzwiedzionego członka, a może nawet i dotykał; wziął od niej kieliszek i odstawił na podłogę, przywarł ustami do jej ust, dłoń położył na piersi i zanim zdążył cokolwiek pomyśleć, jego druga ręka zabłądziła do czarnej dżungli między nogami Gretty, które otwały się jak wrota słuzy. Tam zaś były tropikalne moczary – widział takie na Sumatrze – w które teraz po raz pierwszy świadomie się zagłębił; jego dobre oko obróciło się ku górze, a ona w tym samym momencie pełną garścią chwyciła jego penis, tak jak chwyta się młotek. I kiedy palce poszukiwały żołądźci, a on, stęknawszy, zmrużył oczy, uśmiech nie schodził jej z ust – na razie. Ale w końcu zniknął. Jeszcze raz zdrowo wstrząsnęła jego organem, i natychmiast jej twarz się zmieniła; Gretta wyglądała teraz jak ktoś, kto doznaje bólu nie do wytrzymania; odepchnęła go od siebie, podciągnęła sukienkę do pasa i położyła się na plecach, po czym środkowym palcem zaczęła nad sobą pracować. To było zbyt wiele jak na majora Werкера. Rozdygotany podniósł się i choć przewrócił przy tym jej kieliszek, w ogóle nie zaprzętał sobie tym głowy, on, który kiedy indziej gotów był robić awanturę o popielniczkę, jeśli nie została opróżniona. Drżącymi palcami próbował rozwiązać buty, ale nie udawało mu się: stare i wyslizgane sznurówki zawiązywał na podwójny węzeł i teraz nie mógł go rozsuptać; oparł więc czubek jednego buta o piętę drugiego i zezuł w ten sposób, co stało w sprzeczności z jego charakterem. Ściągnął koszulę, ściągnął spodnie, zdjął majtki i goły – to znaczy tylko w skarpetkach – usiadł jak kot na poręczy kanapy, śledząc zabiegi, które Gretta wykonywała na sobie, i ciągnąc swój penis jak kiedyś w łóżku jako chłopiec. To było dopiero święto! Ale zaraz znów zdarzyło się coś nowego. Otworzyła oczy, wstrzymała swoje ćwiczenia i spojrzała na niego. Teraz wyciągnęła prawą rękę i zaczęła kiwać na niego wskazującym palcem, jak nauczycielka w klasie wywołująca ucznia do tablicy. Tu obowiązywała zasada posłuszeństwa, ale Werker jako oficer nie miał z tym problemów, podobnie zresztą było z rozkazywaniem. Kiedy tylko nieco się przybliżył, ona jednym ruchem posłała

go do siebie do środka, po czym złączyła nogi i z jeszcze dzikszą furią zaczęła się obsługiwać. Chcąc jej zrobić miejsce, wsparł się dłońmi na kanapie, unosząc nieco spocony tułów. W tym momencie jej twarz naprawdę przybrała wyraz oblicza ekstazy świętej: oddech niemal ustał, oczy zaciśnięte w najwyższym napięciu, głowa wtulona w ramiona, twarz zwrócona w bok, a z ust złożonych w ciup począł się dobywać wysoki, cichy dźwięk niczym biała nić. Ślina z jego własnych ust skapnęła na jej policzek i musiał maksymalnie skupić się w sobie, by powstrzymać wytrysk – chciał patrzeć do końca. Niemal w całkowitym bezruchu, z drżącymi mięśniami ramion, z pamiątką z Niemiec na plecach w postaci długich poprzecznych blizn, patrzył, jak ona gorączkowo wygotowywała się w orgiastycznej kotłowaniu, z której dobywał się coraz głośniejszy krzyk, jedna fala po drugiej nachodziła na nią, kolejna może mniej intensywna od poprzedniej, potem znowu gwałtowniejsza, trzy razy, siedem razy, dwanaście razy... nagle wszystko ustało, zamarł także dźwięk. Ale ona o nim nie zapomiała. Zwróciła głowę w bok, chwilę potem położyła jedną dłoń na jego pośladkach, drugą na mosznie; kiedy zaczęła ją rytmicznie uciskać, łokcie Werkera ugięły się, zsunął się na jej pulchny biust, a po paru sekundach także jego ogarnęła fala.

– Czy muszę uważać? – stęknął.

– Nie, idź na całość.

Z uczuciem, że jego dusza jest dojona, już po chwili zaczął z całej siły napierać na poduszkę, uniósł się do góry, potem z głową w ramionach wydał ostry krzyk i bełkotał słowa w jakimś języku nie z tego świata:

– Jachin! Joach! Schetja! Omfa!

Jego ręce zaczęły trzepotać i miał wrażenie, że zupełnie jak skowronek szybuje prosto w obłoki, tam w górze na moment zawisa, machając skrzydłami, i jak kamień spada z powrotem w dół. Choć nie miał dwunastu, ale chyba ze trzy, cztery orgazmy jeden po drugim, wycieńczony, mamrocząc niezrozumiałe dźwięki, zleął obok niej na kanapie i leżał tak, jak wylądował.

– Tego nie znałem – wydyszał.

Zaśmiała się.



– Możemy to robić regularnie.

Wziął ją za rękę i kilka minut leżeli tak z zamkniętymi oczami obok siebie. Linie papilarne jej dłoni były szarawe od gliny, której nie udawało się usunąć nawet szczotką. Kiedy zadzwonił telefon, podniosła się.

– Uważaj – odezwał się Werker – tam jest szkło.

Wielkim krokiem przeszła nad odłamkami, podniosła słuchawkę z widełek i od razu odłożyła z powrotem.

– Co robisz? – zapytał zdumiony, zsunął nogi z kanapy i usiadł.

– Przecież widzisz.

W tej samej chwili Gretta uświadomiła sobie, że może właśnie wycieka z niej nasienie, od razu więc położyła się płasko na podłodze.

– Może się coś stało! – W Ferdynandzie Werkerze obudził się na powrót major albo na odwrót.

– Zapewne, ale tu stajemy się *my*. Teraz zostałeś tu zmobilizowany.

– Dlaczego tak dziwnie leżysz?

– Zrobiło mi się nagle słabo.

Jego oko spoczęło na własnych pachwinach, gdzie ni stąd, ni zowąd zrobił się nagle wielki guz.

– Chodź tu, popatrz – powiedział z przestrachem.

Podeszła do niego na czworakach, pomacała jego krocze i podniosła na niego wzrok.

– Twój worek jest pusty, Ferdynandzie.

Z uczuciem rosnącej paniki potarł guz i można znów się wypełniła.

– Hopla – zaśmiała się.

A miesiąc później:

– Ferdynandzie! Mam dla ciebie niespodziankę. Jestem w ciąży.

Chociaż poniekąd wydawało się to oczywiste, nigdy tak na dobre nie dotarło do niego, że on też będzie mieć dziecko; nie mógł sobie tego wyobrazić. Niemowlęta w mijanych wózkach przypominały mu mączniki, wszystkie podobne do siebie jak ich wózki. Dzieci postrzegał, w każdym razie chłopców, jako przyszłych poborowych, natomiast zadaniem dziewczynek było ich rodzenie. Ale teraz, kiedy i jemu się to przytrafiło, zgodnie z zamiarem Gretty tamtego wieczoru, pogodził się z tym. Widział tylu umierających ludzi, a także ludzi zabijających, że mógł też dodać kogoś do istniejących zasobów. Resztę działań logistycznych pozostawił Gretcie, wyposażenie pokoju dziecięcego, wybór wózka, w końcu to ona teraz w większym stopniu niż on miała mieć dziecko. W zamian domagał się dla siebie prawa wyboru imienia dziecka, ale tego prawa mu nie udzielała. Co miesiąc wracali do tego tematu, tymczasem jej brzuch robił się coraz większy.

– Teraz wiem – mówił. – Jeśli to chłopak, nazwiemy go Willem-Alexander.

– A cóż to za dziwactwa? Przecież to brzmi zupełnie jak imię dla następcy tronu.

– No właśnie.

– Tak, a jeśli to dziewczynka, to pewnie ma być Beatrix.

– Dlaczego nie?

– Bzdura. Jeśli będziemy mieć chłopca, nazwiemy go Tano, a jeśli dziewczynkę, to Trophima.

– Po moim trupie!

– Musisz brać pod uwagę rytm i brzmienie całości – mówiła Gretta – według mnie większość ludzi o tym zapomina. *Willem-Alexander Werker* – to przecież potworne. Nikt tego nie wymówi. Te *r* i te *w* po sobie, okropieństwo. *Beatrix Werker* – *ksw*, daj spokój. Jeśli nazwisko zaczyna się od spółgłoski, najlepiej, żeby imię kończyło się na samogłoskę, i rzecz jasna, odwrotnie. Pablo Picasso. Albert Einstein. Dwie samogłoski po sobie też nie brzmią zbyt ładnie.

– Winston Churchill. Anthony Eden.

– Nie do zniesienia.

– Zaczekaj – on na to. – Wziąwszy pod uwagę, że Werker zaczyna się od spółgłoski oraz że w standardowym niderlandzkim większość imion chłopców kończy się na spółgłoskę, a dziewcząt na samogłoskę, twoim zdaniem będzie lepiej, jeśli będziemy mieli dziewczynkę?

– Nie będziemy mieli, już mamy, czuję, jak kopie w brzuchu, ale nawet ja nie wiem, czy to jest chłopiec, czy dziewczynka.

Listy, które Greta sporządzała na papierze w kratkę, stawały się coraz dłuższe, pojawiały się na nich imiona wszystkich przyjaciół i znajomych, nawet imiona z klepsydr. W miarę jak zbliżał się termin porodu, wydestylowano po dwa dziesiątki imion, z których miano dokonać wyboru. Definitywne listy wykazywały nieprzebytą przepaść między jego lojalistycznymi skłonnościami a jej egzotycznym smakiem.

<i>Chłopiec</i>		<i>Dziewczynka</i>	
F.	G.		
Lodewijk	Wibo	Elisabeth	Milena
Frederik	Enzio	Catharina	Sjoerdje
Reinout	Oebe	Marijke	Cissy
Matthijs	Edo	Francisca	Anuschka
Willem-Alexander	Tano	Beatrix	Trophima
Rudolf	Belke	Charlotte	Ludewei
Hendrik	Rode	Henriette	Naomi
Caspar	Menzo	Marjolein	Wanda
Pieter	Melle	Astrid	Astra
Diederik	Archibald	Adelbeid	Felice

– Chyba wiesz – zapytał Werker – jak Pigmeje na Nowej Gwinei nazywają swoje dzieci?

– A skąd miałabym wiedzieć?

– Philishave. Ford V8. Czy to nie pasowałoby do twojej listy?

Kiedy jeszcze w ósmym miesiącu nie byli zgodni co do imienia, zaproponował kompromis: jeśli będzie chłopak, on wybierze imię, jeśli dziewczynka – ona.

– A dlaczego nie na odwrót?

Nic z tego nie wyszło, podobnie jak z najróżniejszych skomplikowanych transakcji dotyczących drugiego i trzeciego imienia. Lecz w dziewiątym miesiącu, kiedy ustawiono kołyskę, a pieluszki czekały w pogotowiu, Gretta wystąpiła z nową propozycją:

– W ten sposób nie ustalimy niczego. Wiesz, co zrobimy? W ogóle nie będziemy wymyślać imienia.

– Wyśmienity pomysł. Od razu zapytamy niemowlę, jak się nazywa. Samo będzie przecież najlepiej wiedzieć.

– Jeśli urodzi się dziewczynka, nazwiemy ją po twojej matce, a jeśli chłopiec – po moim ojcu.

On westchnął głęboko i odparł:

– Niech i tak będzie. – Dziecko będzie się nazywać zatem Marlene lub Wiktor, po człowieku, który na oddziale chorych w Dachau uratował Ferdynandowi życie. – Marlene Werker. Wiktor Werker. Brzmi dobrze. Chłopak wprowadzie z dwiema spółgłoskami, *rw*, ale przynajmniej występuje tu pewien rodzaj aliteracji – nawet ładniejszy niż w moim przypadku.

Wyciągnął rękę, a ona uderzyła w nią otwartą dłońią, jak robią handlarze bydła, gdy dobiją targu. Ponieważ już od kilku tygodni była zbyt słaba, by pracować w swoim atelier, jej dłonie po raz pierwszy, od kiedy ją znał, były zupełnie czyste.

Mimo kontrowersyjnego małżeństwa z córką trockisty Ferdynand Werker został tymczasem awansowany na podpułkownika, mianowano go przy tym komendantem garnizonu. Stopniowo wszędzie znajdował posłuch, jedynie w domu nie. Kiedy zbliżał się wyznaczony dzień, Gretta dała do zrozumienia, że nie życzy sobie rodzic w szpitalu, i wbrew jego woli przeprowadziła swój plan. Poirytowany taką niesubordynacją wielce czcigodny oficer wyprostował się i spojrzął na nią surowo swoim zdrowym okiem.

– A jeśli się coś stanie? W szpitalu mają od razu wszystko pod ręką.

– Nic się nie stanie. Poród nie jest chorobą, powiedziałabym wręcz, że wprost przeciwnie.

W połowie sierpnia, dziesięć księżyców po ich rozpasanym święcie, podczas fali upałów Wiktor Werker postanowił, że czas już się wydostać. Przez całą noc dziecko było w brzuchu Gretty niespokojne; czuła się jak przed okresem. Rano zaczęła się pojawiać pewna regularność w skurczach i było tak, jakby miała zostać rozerwana koźmi.

– Ferdynand! – wołała w panice męża, który na dole jadł śniadanie. – Zaczęło się! Musisz mi pomóc!

Kilka minut później zjawił się w sypialni w uniformie w kolorze khaki z trzema rzędami baretek odnaczeniowych na piersiach, trzymając w dłoni gazetę poranną, którą czytał po drodze.

– Tylko posłuchaj – mówił, nie podnosząc wzroku znad gazety. – Ten Sukarno podczas obchodów siódmej rocznicy powstania tak zwanej Republiki Indonezji zażądał zachodniej Nowej Gwinei. Ale to się temu draniowi nie uda...

– Ferdynandzie, proszę...

Siedziała w rozkroku na krawędzi łóżka, olbrzymie piersi spoczywały na brzuchu, ramiona okrywało prześcieradło; zdawało się, że biały balon jej brzucha za chwilę powoli się uniesie, przewracając ją, i rozkołysaną zabierze w górę, aby zatrzymać się dopiero pod sufitem. Jej twarz była w jakiś szczególny sposób otwarta, jakby jeszcze nigdy nie była obnażona. Z pochwy ciekł krwisty śluz. Znowu było gorąco; przez otwarte na oścież okna wpadał z podwórza święty zapach świeżo upieczonego chleba, zmieszany ze słodkawymi zefirkami od strony palarni kawy położonej na następnej ulicy. Podczas kolejnych fal skurczów poruszała tułowiem to do przodu, to do tyłu, niczym we wschodniej modlitwie.

Naprawdę się zaczęło. Usiadł obok niej i przez pół godziny notował na marginesie gazety bóle:

7.15,40 → 7.16,30  
7.19,20 → 7.20,20  
7.22,45 → 7.23,40  
7.26,40 → 7.27,40  
7.30,20 → 7.31,25  
7.33,55 → 7.34,42  
7.36,44 → 7.37,09  
7.38,30 → 7.39,11  
7.42,38 → 7.43,08  
7.46,08 → 7.47,08

– Teraz ci wierzę – powiedział i wstał. – Co trzy minuty skurcz przez jedną minutę. Zadzwoń po położną. Jak ona się nazywa?

– Pani Bloch.

Pani Bloch, wysłuchawszy go, powiedziała, że dziecko urodzi się dziś, ale jeszcze nie teraz; ona najpierw chce w spokoju zjeść śniadanie, bo wczoraj wieczorem poszła późno spać. Potem zatelefonował do swego biura, garnizon będzie musiał poradzić sobie dzisiaj bez niego. Starszy sierżant, który właśnie miał jechać po dowódcę jeepem, zrozumiał, że sprawy wagi państwowej muszą w tym wypadku zejść na dalszy plan, a Ruscy dziś i tak pewnie nie wejdą.

Werker nie widział jeszcze pani Bloch; kiedy zjawiła się o wpół do dziesiątej, wystraszył się jej. Masywna i mimo że był środek lata, całkowicie na czarno ubrana postać, stając na progu, niemal zaciemniła słońce: kruczoczarne włosy, śnieżnobiały lok nad lewą skronią, szeroka, stanowcza twarz, nad górną wargą cień wąsika – babcia, która sama na pewno nie miała w planie kiedykolwiek zająć w ciążę. Zaniepokojony spytał, jakie to zajęcia sprawiły, że wczoraj tak późno poszła spać. W rewanżu szybko zlustrowała go od stóp do głów.

– Patrzajcie – powiedziała – przyszedł ojciec ubrał się na tę okoliczność.

Od razu wypełniła swoją obecnością cały dom. Myła ręce, stetoskopem wysłuchiwała bicia serca dziecka, bez ceregieli włożyła palce do pochwy Gretty, skonstatowała otwarcie na trzy centymetry, by po chwili znów zniknąć w drodze do kolejnego porodu. Po raz pierwszy dotarło do Werkera, że wszędzie w mieście nieustannie przychodzą na świat dzieci i zastępują umierających – trudny do nazwania proces, ukryty za ścianami, koło zamachowe o mocy kuli ziemskiej krążące wokół słońca. Bóle następowały teraz co minutę i towarzyszyły im coraz większe jęki, a wycieńczona Gretta coraz bardziej przypominała wiązkę ociekającego, wyjętego z morza morszczyну. Gdyby choć była w domu kobieta! Zwilżał jej twarz małym ręczniczkiem i nawiewał zimne powietrze suszarką do włosów z wyłączonym grzaniem. Gdzież podziała się pani Bloch? Gretta widziała jego bezradność, ale nie mogła mu pomóc. Wydawało się jej, że składa się z dwóch pięter: górnym odnotowywała wszystko, co się wydarzało, dolne było całkowicie zajęte regulowaniem i opanowywaniem kolejnych fal bólu. Może istniał jeszcze poziom piwnic, gdzie była obecna wraz z jej dzieckiem, ale o tym nie wiedziała.

Po półgodzinie pani Bloch zadzwoniła, aby zapytać, jak się sprawy mają. Relacja Werkera nie zrobiła na niej większego wrażenia; najlepiej, aby pani Werker usiadła teraz pod letnim prysznicem. Werker zdjął mundurową marynarkę, w kabinie postawił drewniany taboret kuchenny, zakasał rękawy, wyregulował krany i poprowadził swą masywną żonę ku wodzie, która z pluskiem spływała na taboret. Ten widok przypomniał jej dadaistyczne *ready made* Marcela Duchampa lub Mana Raya, z głupkowskim tytułem *Pustelnik zabrania Niagarze, też*. Kiedy nadeszła kolejna fala skurczów, usiadła rozkraczona na taborecie, skrzyżowawszy ramiona na poręczy.

– Za gorąca! – powiedziała, wyciągając w obronnym geście rękę w stronę prysznica.

Odkręcił nieco kurek z zimną wodą i wsunął pod nią dłoń.

– Tak jest dobrze?

– Tak – odparła, wspierając czoło na przedramionach. – Zostaw mnie teraz trochę samą.

Na dole stało jeszcze jego napoczęte śniadanie z jajkiem zjedzonym do połowy. Odłamał kęs zimnego i stwardniałego już tostu, stanął przed otwartym oknem, poluzował krawat i zapalił papierosa. Miasto było rozedrgane od upału, rzeka w oddali zamieniała się we wstążkę oślepiającego sreberka; wydawało się, że miasto samo stworzyło tę bezmierną błękitną kopułę. Krzyki Gretty, teraz zwielokrotnione kafelkami łazienki, przypominały mu tortury, których był świadkiem. Mimo iż prawie całe jego życie stało pod znakiem śmierci, nie był w stanie znieść bólu, który cierpiała, chociaż, by tak rzec, nie był to negatywny, tylko pozytywny ból na służbie życia. To był świat kobiet, a jako mężczyzna nie miał do niego dostępu, aczkolwiek on sam przed trzydziestu pięciu laty był przyczyną bólów swojej matki.

– Ferdynand!

Biorąc po trzy stopnie naraz, wbiegał na schody. Krzycząca z bólu Gretta usiłowała wstać z taboretu.

– Co się stało?

– Junkers zgasł!

Szybko zakręcił krany, zarzucił jej na ramiona płaszcz kąpielowy i pomógł wstać: skóra Gretty była chłodna, a jej włosy wydawały się bardziej mokre, niż kiedy latem wychodziła z morza. Siedząc z powrotem na brzegu łóżka, czekała na następny skurcz, ale ten nie nadchodził. Proces został wstrzymany. Dało jej to poczucie ulgi, teraz przynajmniej mogła przez chwilę wypocząć, ale to też nie może trwać w nieskończoność, dziecko będzie musiało w końcu wyjść.

– Zimno mi w stopy.

Przyniósł z komody dwie jasnoczerwone wełniane skarpety, ukląkł i włożył na jej stopy. Dopiero po półgodzinie skurcze powróciły.

– Tak przecież nie może być – powiedział Werker. – Gdybyśmy się mogli skontaktować z panią Bloch. Może lepiej zadzwonić po doktora?

– Nie przesadzaj. Wszystko będzie dobrze.

Także następny skurcz kazał na siebie czekać około pół godziny. Kwadrans przed pierwszą zadzwoniła wreszcie pani Bloch, usłyszała o zimnym prysznicu, powiedziała „ładne rzeczy” i po piętnastu minutach ponownie wzięła dom w swoje posiadanie.



– Mogłabym przerwać pęcherz płodowy – oświadczyła złowróżbnym głosem – ale robię to tylko w wyjątkowych wypadkach. Odczekajmy jeszcze nieco. Za trzy godziny będę z powrotem. Najpierw muszę jeszcze pomóc przyjść na świat dwojaczkom.

Gretta spostrzegła, że Ferdynand zaczął się przyzwyczajać do stęków i jęków. Bóle przychodziły teraz z hipnotyzującą regularnością i dlatego traciła poczucie czasu; za każdym razem, kiedy ból ustępował, jak w transie spoglądała na niego ze skrajnego łóżka, wycieńczona i spocona. Widziała też, że po półgodzinie, gdy nadchodził kolejny skurcz, musiał się powstrzymać od śmiechu, tak przewidywalne i machinalne było wszystko, zupełnie jakby się zamieniła w zegar.

– Mam wrażenie, że się nudzisz – powiedziała. – Idź się czymś zająć, i tak nie możesz mi pomóc.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać. Widocznie pracował nad jakimś raportem, gdyż po chwili dało się słyszeć stukanie maszyny, przerywane ostrym dzwonkiem pod koniec każdej linijki i zgrzytem towarzyszącym przesuwaniu wałka, lecz te znajome dźwięki stały się nagle nie do zniesienia: jakby ktoś nożem piłował po talerzu.

– Przestań! Przestań, na miłość boską!

Po godzinie zaczęło ją boleć na wysokości pleców i to było jeszcze gorsze. Poprosiła go, aby mocno nacisnął oburącz w okolicach nerek; ponieważ w tej pozycji nie mógł przyłożyć żadnej siły, ściągnął buty i skarpety, usadowił się za nią plecami do ściany, stopy oparł w okolicach jej krzyża i z całej siły nacisnął. Musiała się ostro zaprzeć, aby nie spaść na podłogę, ale pomogło jej to. W przerwach, kiedy stękanie na kilka minut zamierało, patrzyła na jego odbicie w lustrze szafy: siedział w nowej roli niczym w bobsleju, odziany w zdekompletowany uniform.

– Nie gniewaj się na mnie, Ferdynandzie, że ci to robię, ale tego nie da się porównać z tym, co ty mi zrobisz.

– Kobiety rodzą dzieci – rzekł – nie mężczyźni.

Przypomniało jej się pewne wydarzenie z dzieciństwa, kiedy miała około pięciu lat, gdzieś w 1932 roku, i chciała mu o tym opowiedzieć, ale nastąpił nowy skurcz. A potem zapomniała.

Poszła z matką w odwiedziny do ciotki, która właśnie niedawno urodziła dziecko. Obok kołyski z niemowlęciem stało łóżko, w którym leżała ciotka.

– Jesteś chora? – spytała ją.

– Wcale nie. Dlaczego?

– To po co leżysz w łóżku?

Wciąż widzi jeszcze twarz matki, patrzącej na nią z góry.

– Ponieważ bocian dziobnął ciocię w nogę.

Natychmiast to sobie wyobraziła. Bocian wlatujący uroczyście przez okno do pokoju, niemowlę w jego dziobie, w jakiejś chuście, tak jak rysowano to na kartkach zawiadamiających o narodzinach dziecka. Jej ciotka ostrożnie rozpakowująca niemowlę, najwidoczniej wbrew woli bociana, który nagle ruszył do ataku. Ciotka walcząca z bocianem, łopoczące skrzydła, unoszące się pióra, ciotka ukrywająca niemowlę za plecami i odkopująca bociana, i nagle dobrze wycelowane uderzenie długim dziobem w jej nogę. Ptak rzucający się do ucieczki i silnie krwawiąca ciotka, kładąca się do łóżka – ale to ona zwyciężyła: miała dziecko!

– I co tam z dwojaczkami? – zapytał Werker, wchodząc boso przed panią Bloch do sypialni.

– Niedobrze, okazały się trojczkami.

Trwało kilka sekund, zanim ta odpowiedź do niego dotarła.

– Wszystko z nimi w porządku?

– Na razie tak. To chude dzieciaki z siódmego miesiąca, miejmy nadzieję, że dadzą sobie radę.

Pani Bloch przystanęła na progu i pokiwała z aprobatą na widok wycieńczonej Gretty.

– O, tak ma być.

Chwilę później ponownie ją zbadała i przekrzywiając przy tym głowę, patrzyła na zasuszone kwiaty na szafie.

– Osiem centymetrów. Musi być trochę więcej.

Z ulgą, że oto kobieta przejęła kierownictwo, Werker udał się do kuchni, kilkakrotnie opryskał twarz wodą i nastawił czajnik. Włożył skarpety i buty, a potem wziął kwadratowy młynek do kawy między kolana, zaczął kręcić oporną korbą i pomyślał: jak przychodzi co do czego, to nie mężczyźni, ale kobiety stanowią mocną pleć. I teraz on, wyższy oficer, stoi w kuchni. Kiedy nad palnikiem lał ciekłą strugę gorącej wody na filtr, zadzwonił dzwonek i pojawiła się druga kobieta: ładna dwudziestolatka, która przedstawiła się jako Elly, druga położna. We wszystkim była przeciwieństwem pani Bloch, blondynka, delikatna, ubrana w kremowy komplet. Kiedy chciał jej pokazać sypialnię, powiedziała:

– Pójdę za stęknieniami. Proszę już przygotować urodzinowe cwibaczki z anyżkiem.

Cwibaki z anyżkiem! Nigdy tego nie jedli, ale widać Gretta zrobiła zapas, bo znalazł wszystko w szafce nad zlewem. Posmarował cztery cwibaczki, położył na tacy i udał się na górę. W drzwiach przystanął, przyglądając się scenie.

– Muszę zrobić kupę – jęczała Gretta. Leżała na łóżku na wznak, nogi miała rozłożone, a kolana podciągnięte w kształcie litery M. Widział, że była u kresu wytrzymałości: jego duża, mocna żona zmieniła się w bezradną, ciekącą istotę, jakby wyciągniętą z morza.

– Pani wcale nie ma robić kupy, tylko przec – mówiła pani Bloch. – Musi pani przec.

Tymczasem Elly wniosła do pokoju kołyskę. Już od kilku tygodni w oczekiwaniu nienarodzonego sprzęt ten stał pusty, przygotowany w przyszłym pokoju dzieciennym, choć raczej przypominał pozostałość po zmarłym; teraz został wystrojony poduszeczkami i prześcieradełkami jak choinka. Werker odstawił tacę i usiadł na parapecie, skrzyżowawszy ramiona i nogi. Czuł się kompletnie zbyteczny; nie przyszło mu do głowy, żeby usiąść przy Gretcie, objąć ją ramieniem. Teraz, kiedy bóle parte występowały co kilka minut, patrzył, jak Elly rozkładała na komodzie ubranka. Więc Gretta kupiła je, a on nawet o tym nie wiedział – ubranie dla kogoś, kogo jeszcze nie było: ubranie bez cesarza!

Ból, sapanie, czekanie, słuchanie, ból, zachęcanie, stygnąca kawa, nieruszone cwibaczki, a po godzinie pani Bloch powiedziała:

– Trwa to za długo. Już czwarta. Pani prze od godziny, ale nie ma postępu. W tym tempie będziemy tu siedzieć jeszcze do ósmej.

– Nie! – krzyknęła Gretta. – Nie wytrzymam tego! Tak bardzo się staram, już nie daję rady! To tak bardzo boli, cholera jasna! Tylko nie cztery godziny!

Oczy Werkera nagle zawilgotniały. Ukłękł przy niej, położył jej dłoń na policzku i odezwał się:

– Wytrzymaj, Gretto, musisz wytrzymać.

– Już nie mogę! Cholera, chcę stąd uciec! Wyjadę do Ameryki! Sami to sobie róbcie!

Pani Bloch wstała i obrzuciła Grettę krytycznym spojrzeniem.

– Skąd mogę tu zatelefonować?

Werker zaprowadził ją do salonu.

– Co teraz będzie?

– Wezwę ambulans.

Kiedy po dziesięciu minutach zadzwonił dzwonek u drzwi, obie kobiety prowizorycznie odziały Grettę, co przerywane było tylko bólami, którym Gretta zupełnie nie stawiała oporu, wyjąc jak zwierzę. Poddada się i ledwie słyszała, co się do niej mówi, lecz kiedy dwóch pielęgniarzy pojawiło się w pokoju z noszami, jej zmysł techniczny podpowiedział jej, że schody będą za wąskie, aby ją znieść na dół pod kątem siedemdziesięciu stopni.

– Zjeżdżajcie z tym! Sama zejść!

Kroczek za kroczkiem, wspierając się na Werkerze i jednym z pielęgniarzy, schodziła po schodach za drugim pielęgniarzem z noszami, a za nią postępowały pani Bloch i Elly z torbą ubrań. W chwili kiedy znalazła się na dworze, zaczęła znów tak strasznie i przenikliwie krzyżeć, że wszyscy przystawali zdumieni, a w oknach pojawiły się wystraszone twarze – przez wszystkie wieki istnienia tego placu nie rozbrzmiewały na nim takie wrzaski. Werker też nigdy jeszcze nie słyszał, żeby kobieta tak się darła, nawet w Niemczech. Kim była? Co krzychało przez nią? Pośpiesznie położono ją na noszach, przypięto i wsunięto do samochodu; chwilę później jechała na sygnale przez kręte ulice, przeganiając z drogi wszystko, co się ruszało.

I znów udało się Gretcie we właściwym momencie wywołać panikę. Jak tylko wjechała z nią do głównego holu szpitala, gdzie pacjenci w szlafrokach i pantoflach popijali kawę i zagryzali herbatnikami wspólnie z odwiedzającymi, zaczęła znów buczeć głosem jakby z odległego plejstocenu. Werker w swoim niedbałym uniformie, bez czapki, uczynił gest informujący, że nic na to nie może poradzić; na górę wjechali windą tak skonstruowaną, by mogła pomieścić nosze i trumny. Do pokoju wpuszczono Grettę i dwie kobiety, ale kiedy on chciał tam wejść za nimi, został zatrzymany przez siwiejącą siostrę przełożoną.

- Może pan zająć miejsce w poczekalni.
- Chciałbym być przy tym – powiedział zdecydowanym głosem Werker.
- Przykro mi, ale nie ma u nas takiego zwyczaju.

W odpowiedzi Werker rzucił na nią spojrzenie, jakim jeszcze niedawno miał zwyczaj poskramiać zbyt buńczucznych naczelników jawajskich kampongów. To wystarczyło. Zrobiła krok w tył i przepuściła go.

– Chcę cesarki! – krzychała Gretta. – Zabierzcie to! Na miłość boską, zabierzcie to, do cholery!

Lekarka, wysoka, siwiejąca dama, która przypominała raczej bibliotekarkę, w asyście dwóch pielęgniarek, spojrzała na nią chłodno.

- Może energię marnowaną na krzyki zużyłaby pani na parcie, proszę pani.

Najwidoczniej miała nad nią przewagę. Wspomagana przez panią Bloch Gretta robiła, co mogła, ale to do niczego nie doprowadziło. Werker siedział po drugiej stronie łóżka obok niej, dosłyszał coś o „porodzie próżniowym”, zakręciło mu się w głowie, ujrzał, jak w Grettę wsuwają kateter, aby opróżnić jej pęcherz, doktor dał jej zastrzyk gdzieś w okolice warg sromowych – i nagle zaczęły się prawdziwe bóle partu, przy których już nie krzyczała. Ku przerażeniu Werkerów chwilę potem pomiędzy jej nogami pojawiła się obsmarowana, lepka bryła odpadów pozbawiona twarzy. Skamieniała. Lecz już po chwili, chlup, okazało się, że to mimo wszystko dziecko; twarz była po drugiej stronie, bezkształtnie połyskująca, jak u bandyty z nylonową pończochą na głowie. Kiedy lekarka usunęła błony płodowe, wszyscy zaczęli bić brawo, a Elly wydała nawet okrzyk radości.

– Chłopak – powiedziała pani Bloch i położyła dziecko na brzuchu Gretty. Kiedy pielęgniarka przykrywała je płótnem, dodała:

– Ale olbrzym.

Werker ucałował Grettę w policzek, lecz nie zareagowała.

– On robi kupkę! – zaśmiała się, z miejsca zapominając o wszystkim, co przeszła.

– Jest teraz – lekarka spojrzała na zegarek – dziesięć po piątej po południu, dwudziesty sierpnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. – Wypowiedziała to takim tonem, jakby jeszcze zamierzała dodać: ...po Chrystusie. Zdjęła rękawice i podała Werkerowi dłoń.

– Zakładam, że pan jest ojcem. Gratuluję. Jak będzie się nazywać?

– Wiktor – wybąkał Werker. Przez wszystkie te miesiące myślał, że będzie mieć „dziecko”, a teraz zobaczył nagle, że to nie abstrakcyjne „dziecko”, tylko *jego* dziecko. Wcześniej nigdy nie chciał mieć „dziecka” i tak się też nie stało.

Kiedy po kilku minutach pielęgniarka podwiązała pępowinę błękitną jak niebo tasiemką, lekarka podała mu krótkie, zaokrąglone nożyczki.

– Niech pan czyni swoją powinność.

Werker wstał i drżącymi nieco rękami z wielką ostrożnością użył nożyczek, gdyż jako jedynki nie mógł widzieć perspektywy. Musiał się wysilić, zupełnie jak przy przecinaniu szlauchu z ciągliwego kauczuku: *ciach*.

---

# AKTA B KORESPONDENT

---

*łzy śmierci*  
*robaki z kryształu<sup>2</sup>*

Lucebert, CIAŁO STAŁO SIĘ SŁOWEM

# Zeszyt piąty

## Pismo pierwsze

UNIVERSITY OF CALIFORNIA,  
BERKELEY DEPARTMENT OF BIOLOGY

*12 stycznia 1994*

*Kochana Claro!*

*Tak, wiem, obiecałem, że nie będę już więcej do Ciebie dzwonić, ale nie mówiliśmy nic o pisaniu. Ta przesyłka nie jest więc złamaniem słowa. Zresztą mój list nie jest skierowany do Ciebie, tylko do naszej małej Aurory, która nie może go przeczytać. To odpis. Może również Tobie wyjaśni to niektóre sprawy.*

*Wiktor*



*Niedziela, 2 stycznia.* – Dziś rano w San Francisco byłem świadkiem zdarzenia, które nadal stoi mi przed oczyma. Market Street jest szeroką, ruchliwą ulicą, przecinającą ukośnie szablony krzyżujących się prostopadle ulic, podobnie jak Broadway w Nowym Jorku. Przed starym domem, najwidoczniej bez windy, stał wysoki dźwig i unosił jakiegoś chłopca w wózku inwalidzkim na drugie piętro. Towarzyszył mu czarny pielęgniarz w uniformie koloru trawy. Chłopiec miał około dziesięciu lat, amputowaną nogę i był całkiem łysy, jego przezroczysta skóra miała błękitnobiały szklisty odcień, jak skorupka ugotowanego jajka czajki. Roztaczał wokół siebie aurę, która nie miała nic wspólnego z budzącym litość małym pacjentem chorym na raka, raczej ze spojrzeniem faraona unosił się w górę do innego świata – tymczasem pod nim na szerokim chodniku dwóch silnie zbudowanych murzyńskich chłopców kozłowało piłkę. Nie byłem w stanie zrobić ani kroku. Scena ta niczym pocisk wwiercała się w moją duszę. Czy chciano, aby umarł w domu? Ten wątły chłopiec, ci dwaj umięśnieni chłopcy... kto miał więcej siły? Trudno opisać, co we mnie zaszło, ale od razu zapragnąłem podzielić się tym z Tobą, Auroro.

Piszę to na kampusie w Berkeley, po drugiej stronie zatoki. Ścieżki i trawniki skąpane są w zimowym kalifornijskim słońcu, w zagajnikach hasają wiewiórki, powinnaś to zobaczyć. Zabudowania administracji, budynki z salami wykładowymi i laboratoria są białe, w stylu klasycystycznym, jest też miniaturowa kampanila zmałpowana z Piazza San Marco w Wenecji, a pomiędzy nimi różne drewniane budowle przypominające baraki, mieszczące *faculty clubs*, skrawek prawdziwego jeszcze Dzikiego Zachodu. Wszędzie zieleń i na całym Lower Sproul Plaża przesiadują studenci, większość z wielkimi kartonowymi kubkami w dłoniach, z których co rusz popijają; piją, nawet gdy suną na swoich *roller skates*, z walkmanami na uszach. Amerykanie piją wiecznie i zawsze; na amerykańskim filmie pierwszą czynnością po wejściu do domu jest nalanie sobie. Myślę, że to atawistyczne pragnienie pozostało im po wielkiej prohibicji; może to ich sposób robienia historii. Siedzę teraz na ławce w słońcu, z laptopem na kolanach, i palę papierosa. Wskutek tego patrzy się na mnie z większą odrazą niż na pacjenta chorego na AIDS, chociaż chorobę tę, pominąwszy afrykańskie małpy, można by powiedzieć, właśnie tutaj wynaleziono. Co ja mówię: odraza? Kto ma AIDS, jest niemal święty, ale kto pali, morduje siebie i innych. Mam zresztą nawet swoją teorię na temat hysterii antynikotynowej i niekiedy wykładam ją moim studentom, którzy po czymś takim nabierają pewności, że nie jestem przy zdrowych zmysłach. Po tym, jak wymordowali Indian, muszą teraz wymazać ostatnie wspomnienie o nich, czyli palenie, indiański podarunek dla ludzkości. Bo co oni palili? Fajkę pokoju. Dlatego Hitler był też przeciwny paleniu.

Zgoda, życie tutaj też ma swoje przyjemności. Weźmy na przykład klimat. Czy lato, czy zima, zawsze jest tu przyjemna pogoda, ani za gorąco, ani za zimno. A do tego dochodzi fakt, że niemal każdy w Berkeley jest po trosze geniuszem. Jeśli się nie mylę, wykłada tu dziesięciu laureatów Nagrody Nobla; nawet tutejsi studenci muszą czynić zadość odpowiednim wymaganiom, które w Holandii wywołałyby falę demokratyczno-egalitarystycznych niepokojów. U nas napięcie łańcucha dostosowywane jest do najsłabszego ogniwa, tutaj do najmocniejszego. W taki czy inny sposób również prawo pięści w głębi kraju promieniuje na uniwersytet: laboratoria nuklearne i elektroniczna Walhalla w Dolinie Krzemowej. Rozumiesz więc, jak bardzo jestem zadowolony, że w tym semestrze mogę tu być w roli *Regent's Lecturer*. Jestem całkowicie niezależny, robię swoje badania w laboratorium, od czasu do czasu mam zajęcia, a jeśli potrzebuję konsultacji, zwracam się do któregoś z supermózgów w krótkich spodenkach.

Przy tym miesiące spędzone z dala od Europy dają mi dodatkowo możliwość dojścia do ładu z samym sobą, a tym samym z Twoją mamą. Bez względu na to, jak niesłychanie ważne rzeczy człowiek robi, jeśli mu się w domu nie układa, wszystko na nic. Przypomniała mi się uwaga Kierkegaarda o systemie Hegla obejmującym cały świat: Co ci z pałacu, skoro sam mieszkasz obok w szopie?

Dziś rano wsiadłem w BART (jak nazywają tu metro) do San Francisco, aby złożyć Twojej babci noworoczne życzenia; wczoraj była u jednego ze swych zleceniodawców w Sausalito. Mieszka i pracuje w małym apartamencie w śródmieściu, niedaleko Union Square; są tam piękne sklepy oraz budynek Franka Lloyda Wrighta, który potem powtórzył, ale już na znacznie większą skalę, projektując Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku. Mówię o tym, bo pierwsze, co zrobiła, przyjechawszy tu przed szesnastu laty, to spacer do tego okrągłego budynku ze spiralnie wznoszącym się rodzajem krużganku, po którym można by nawet wjechać konno. Zresztą jak sobie przypominam, a Twoja mama też pewnie to jeszcze pamięta, bo byliśmy tam razem, w kampanili na Piazza San Marco też jest taki wjazd dla jeźdźców. Bóg raczy wiedzieć, może Zygmunt Freud tak to zorganizował w swojej niezgłębionej mądrości, iż zainteresowanie mojej matki architekturą doprowadziło do tego, że zakochałem się w architekcie wnętrz, Twojej matce?

Zauważyłaś, że piszę tak po prostu, w zależności od nastroju chwili. W mojej pracy naukowej wszystko zależy od dokładności i ma się zgadzać co do joty i co do najmniejszego symbolu; dlatego teraz pozwalam sobie na pewną nonszalancję. No więc umówiliśmy się w Saint Francis Hotel i tam, w okazałym holu z marmurową kolumnadą, amerykańską iluzją władzy i bogactwa pokazywaną w dziesiątkach filmów, opowiedziała mi coś zdumiewającego. Wydawało mi się, że wiedziałem wszystko, co najważniejsze, o mojej rodzinie, tymczasem teraz usłyszałem coś takiego, że rozdziawiłem usta. Mam trzech braci! To znaczy nie prawdziwych braci, nie krewnych, ale że tak powiem, braci mlecznych. Ponieważ matka miała po urodzeniu mnie za dużo mleka, spytała położną, czy można by odstąpić zbyt dużą porcję trojaczkom, dzieciom, które przyszły na świat w siódmym miesiącu, dokładnie tego samego dnia co ja. W efekcie Twój dziadek, podówczas, jak mi się wydaje, podpułkownik wojsk lądowych, musiał doić Twoją babkę – chyba nazywa się to „ściągać pokarm”.

I co ty na to? Powiedziała mi o tym bez emocji, dziwiła się tylko, że ja się dziwiłem. Siedziała przede mną, siwa dama w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, w szerokiej czarnej toalecie, z wieloma łańcuszkami, pierścieniami i bransoletkami, tak jak przystoi rzeźbiarce; piersi wciąż ma jeszcze duże i krągłe. Po prostu nigdy do tej pory nie pomyślała, żeby mi o tym opowiedzieć – czy to aż takie ważne? Nie, dla niej może nie, ale dla mnie tak. Mimo wszystkich tych jej różnorodnych zainteresowań, w szczególności artystycznych, nigdy nie rozumiała mojego rodzaju ciekawości; nie mam tego również po ojcu, zatem to moja własna mutacja.

– Dlaczego opowiadasz mi o tym dopiero teraz, mamó?

– A co w tym takiego szczególnego?

– Jak to! Natychmiast postaram się odnaleźć te trojaczki. Teraz mają tak samo czterdzieści jeden lat.

Wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że taki uczony jak ty ma inne sprawy na głowie.

– Ale przecież te dzieci w pierwszych tygodniach piły to samo mleko co ja; coś musi nas łączyć. Mówię teraz jako uczony.

– Rób, jak uważasz.

– Pamiętasz może, jak nazywała się tamta rodzina?

– Nie, skądże.

– W każdym razie będę cię informować na bieżąco.

– Nie trzeba. Wolę myśleć o mojej wnuczce.

To prawda, robię, jak uważam, zresztą tak było zawsze. Jeszcze dziś, najpóźniej jutro, napiszę do urzędu stanu cywilnego w Holandii list, w którym wyłożę sprawę i poproszę o szczegółowe informacje; to nie powinno być trudne. Tymczasem rozmowa z matką przywołała nagle wspomnienie młodości, do której na ogół rzadko wracam myślami.

A wiesz, co mnie nagle uderzyło? Że mojemu życiu towarzyszy z zastanawiającym paralelizmem rozwój badań w mojej dziedzinie – w każdym razie jeśli zacznę je liczyć od pierwszych wypowiedzianych przeze mnie słów. Można, jak sądzę, rzecz całą potraktować w kategoriach filozoficznych: życie w ogóle zaczyna się od mówienia, a człowiek dzięki mówieniu odróżnia się od zwierzęcia. Urodziłem się 1952 roku, ale moje filozoficzne narodziny nastąpiły w roku 1953: roku najważniejszym dla rozwoju mikrobiologii. Wówczas to Watson i Crick ułożyli model molekuly DNA, czyli jak się to po naszymu mówi, kwasu dezoksyrybonukleinowego, słynny *double helix*. Jest on organiczną cząstką, służącą jako nośnik informacji. Jest esencją każdego życia. Tam, na najgłębszym poziomie, nie tylko nie ma żadnej różnicy między ludźmi, na przykład Żydami i antysemitami, ale nie ma jej nawet między ludźmi i myszami, pelargoniami i wirusami AIDS. W jądrze każdej komórki Twego organizmu, Auroro, zapisana jest informacja genetyczna potrzebna do budowy całego Twojego ciała, od koloru oczu i kształtu małżowiny usznej do anatomii Twojego małego serca: książka o milionie gęsto zapisanych stron – co równa się około pięciuset Bibliom, z których każda zawiera trzy i pół miliona liter. I to wszystko sto trylionów razy. Jeden z moich kolegów, David Suzuki, obliczył pewnego razu, że pełny komplet DNA w komórce ludzkiego ciała, poskręcany w nierozwiązywalny węzeł, tak zwany genom, byłby długi na dwa i pół metra, gdyby go rozciągnąć, i że całe DNA ze wszystkich komórek razem wziętych ma długość milion razy jak stąd na księżyc i z powrotem.

Tenże James Watson, który potem odegrał w moim życiu tak wielką rolę, mieszka zresztą tu, w Berkeley. Od czasu do czasu rozmawiam z nim i z życzliwością przyjmujemy wzajemne komplementy. On sam nie robi już wiele; w ogóle prawie nie ma badaczy, którzy mieliby na koncie więcej niż jedno ważne odkrycie, chociaż zdarzają się wyjątki, jak Frederick Sanger, też biochemik, który dostał drugiego Nobla w dziedzinie chemii. Sam się tego trzymam. W każdym razie moją pracę nad mumiami wykonuję tak, jakbym nigdy nic innego nie robił.

Poza tym w roku moich filozoficznych narodzin przeprowadzono sensacyjny eksperyment, z którym również mam wiele wspólnego. W latach czterdziestych odbyła się dyskusja, zainicjowana przez radzieckiego uczonego, Oparina, dotycząca powstania życia na ziemi. Jego celem było oczywiście, aby – po Darwinie – już definitywnie pozbyć się Boga. Wszyscy byli zgodni, że w powstaniu życia fundamentalną rolę odegrało około dwudziestu aminokwasów, elementów składowych białek, chodziło jednak o to, jak one z kolei powstały. Pewien zuchwały student, Stanley Miller, wpadł na genialny w swej prostocie pomysł, który nie pojawiłby się w głowie żadnego rozsądnego człowieka: no to powtórzmy to sami. I tak za pomocą chemicznego instrumentarium, które u każdego żadnego wiedzy nastolatka stoi na strychu, zrekonstruował hipotetyczny stan ziemskiej atmosfery, z azotem, metanem, amoniakiem, błyskawicami itp. Poprzepuszczał przez tę swoją mieszaninę iskry – i jak myślisz, co się stało? Już po tygodniu zaczęły się tworzyć różne ważne aminokwasy. Wprawdzie ja sam także nie mogę narzekać, jeśli chodzi o mój eobiont (w końcu sam papież przestrzegł ludzkość przede mną), ale nadzwyczajna prostota pomysłu Millera budzi we mnie respekt.

Tak zatem wygląda horoskop moich naukowych narodzin. Ja, by tak rzec, po prostu *jestem* współczesną mikrobiologią. A idąc dalej: w roku 1956, kiedy moja matka nauczyła mnie czytać i pisać – następne stadium po mówieniu – urodziła się Twoja mama.

*Wtorek, 4 stycznia.* – Już wieczór. Siedzę na balkonie mojego pokoju, położonego w pewnej odległości od kampusu. Po drugiej stronie ulicy jest pizzeria Panini, zarządza nią Jeffrey Moussajew Masson. To sanskrytolog, przystojny, szarmancki mężczyzna, skłócony z międzynarodowym ruchem psychoanalitycznym. Miał już nominację na bardzo wysokie stanowisko w tej socjocie, ale po tym, kiedy w Londynie, jak powiadają, włożył pod łóżko Anny Freud, żeby znaleźć tajemnicze listy jej ojca, a na dodatek napisał o nim dość demaskatorską książkę, rozpetęło się psychoanalityczne piekło. „Panini” oznacza zresztą nie, jak wszyscy sądzą, „bułeczki” – jest to, jak mi powiedziano, nazwisko znakomitego indyjskiego gramatyka z piątego wieku przed Chrystusem. Miejsce jest to ruchliwe, także ogródki na ulicach są pełne studentów i profesorów, towarzystwo przemieszane. Coś na kształt intelektualnego pepka świata, co dodatkowo podkreśla obecność niezliczonych obszarpanych wariatów, rozkrzyczanych fanatyków, katatonicznych zombi na rogach ulic: zupełnie jakby to z nich geniusze wyssali dodatkowe zdolności umysłowe. Kakofonia ulicznych grajków dopełnia obrazu tego parnego wieczoru. Mogłem zająć cichy dom w jednej z dzielnic na obrzeżach miasta albo wielki piękny pokój w Men’s Faculty Club, ale ja wolę jednak taki rozgardiasz. Przed drzwiami stoi mój kabriolet, biały Cadillac, którego przejąłem po Noamie Chomskim, lingwiście.



Będę tę moją luźną pisaninę kontynuować, podoba mi się. Może jestem zresztą jakimś niespełnionym pisarzem? Kiedy miałem ze trzynaście lat, chciałem zostać pisarzem, ale od samego początku było to chybione. Interesowała mnie nie tyle literatura, bo prawie w ogóle nie czytałem powieści czy wierszy, ale pismo. A dokładniej: odszyfrowywanie. Godzinami mogłem razem z dziadkiem układać i rozwiązywać rebusy: rysować łódkę i dopisywać przed nią *k*. Książka o odnalezieniu zwojów znad Morza Martwego wydawała mi się bardziej intrygująca niż książka dla młodzieży. Skądś wytrzasnąłem książeczkę o egipskich hieroglifach i przez kilka miesięcy ślęczałem nad nią, podczas gdy inni chłopcy robili w szkole i na ulicy rewolucję. Ten trud nie poszedł całkiem na marne, mam na myśli zgłębianie hieroglifów, bo nawet teraz, kiedy widzę egipski tekst, wiem mniej więcej, o co w nim chodzi; znam kilkaset znaków i aktualnie bardzo mi się to przydaje. Intrygowało mnie – i poniekąd nadal intryguje – samo zjawisko znaków pisma obrazkowego, które nie składa się z abstrakcyjno-geometrycznych znaków liter: nie rządzą nim żadne reguły ortograficzne, lecz jedynie strategie estetyczne. Z tym, że obecnie mam już wyłącznie do czynienia z literami – praktycznie z nieskończonymi ciągami kombinacji liter, na dodatek wciąż z tymi samymi literami: A, G, T oraz C, odsyłającymi do zasadniczego rdzenia DNA. Ale bez tych liter nie byłoby, że tak powiem, ani Egipcjan, ani Ciebie, ani mnie.

W owym czasie miałem laboratorium, gdzie przeprowadzałem chemiczne doświadczenia. Fascynowały mnie przede wszystkim dwa, a więc powtarzałem je bez końca. Jedno polegało na tym, że kubek wypełniałem roztworem szkła wodnego i wrzucałem do niego kryształek siarczanu miedzi. Widać wtedy, jak powstaje i powoli rośnie ruchoma niebieska larwa. To proste zjawisko osmotyczne; ale widzi się coś innego niż tylko proste zjawisko osmotyczne: żywą istotę. W rzeczywistości tak nie jest, a jednak jest, choć w zupełnie inny sposób. Jest jednocześnie żywe i nieżywe. Tobie też by się spodobało. Do drugiego eksperymentu, na który również nie mogłem się napatrzeć, potrzeba siarczanu sodowego – w fotografii nazywa się to „hypo” i związek ten używany jest do utrwalania. Jeśli w niemal wrzącej destylowanej wodzie zrobić z tego roztwór nienasycony i schłodzić, nic się nie zmieni, jeśli jednak po kilku godzinach wrzucić do niego jeden kryształek siarczanu sodowego, wówczas zaczyna rosnąć długa gałąź, a potem pęka na kawałki, które rosą każdy z osobna i pękają tak długo, dopóki cały kubek nie wypełni się matowobiałymi kryształami. Odkryłem (chyba nie jako pierwszy), że można zainicjować ten cudowny proces, pstrykając mocno w szkło.

Przypomina mi się teraz jeszcze mój model rzutu czwartego wymiaru. Na okrągłej kartce papieru narysowałem kąt prosty: dwa wymiary, wysokość i szerokość, które można uznać za rzut na płaszczyznę trzech wymiarów, przy czym trzeci jest rzutowany pionowo w punkcie kąta. Następnie dorysowałem trzecią linię w taki sposób, że powstał krzyż gąflowy: Y („litera Pitagorasa”). Po czym tak złożyłem papier, że linie przedstawiające wysokość i szerokość nałożyły się, tworząc jedną linię, wskutek czego kartka w punkcie kąta sterczała pionowo w górę: z trzecią linią jako trzecim wymiarem. Gdyby teraz, jak rozumowałem, trzecia linia wymiaru mogła zostać ułożona topologicznie na dwóch pozostałych, wówczas czwarta podniosłaby się w czwarty wymiar; ale wzięwszy pod uwagę, że nie było to możliwe bez pominięcia papieru, mój model rzutu czwartego wymiaru pozostał rzutem czwartego wymiaru w trójwymiarowej przestrzeni. Tak mniej więcej rzecz się przedstawia. W każdym razie ładnie to wyglądało: przekrój poprzeczny przez mój model tworzył tak zwany *limaçon*, nazywany też „ślimakiem Pascala” – bardzo ciekawa figura, spokrewniona ze wstęgą Möbiusa. No dobrze, dajmy temu pokój. Traktowałem to jako głęboką tajemnicę, o której nikt nie mógł się dowiedzieć.

Takim to chłopcem był Twój ojciec. Zresztą w tym czasie moje życie diametralnie się zmieniło. W 1960 roku, skończyłem wówczas osiem lat, rozeszli się moi rodzice. Nie wiedziałem, jak to z nimi było dokładnie, i szczerze mówiąc, nawet nie chcę wiedzieć. Mógłbym wprawdzie zapytać teraz matkę, ale tego nie uczynię; poza tym wątpliwe, czy dostałbym odpowiedź. Kiedyś powiedziała mi tylko: „Największym błędem mojego życia było to, że wyszłam za twojego ojca; drugim w kolejności, że się z nim rozwiodłam”. Bez względu na to, jak było, ja zostałem z ojcem, co nie jest znów tak powszechne, ale mieszkaliśmy w obszernym apartamencie z widokiem na Amstelę i stać go było na wzięcie gospodyni, Corry, uroczej Surinamki o potężnych pośladkach i czarnej jak noc; mówiła po niderlandzku tak, że chłodny holenderski wiatr przemieniał się w tropikalną bryzę karaibskiej wyspy. Ojciec dalej robił karierę w wojsku: wydaje mi się, że był wówczas już generałem brygady. Nidy nie oswoiłem się z tymi wszystkimi szarżami, chociaż wciąż mi je zapisywał na karteczkach. Kiedy poznałem staroegipski, był, jak sądzę, generałem dywizji, a kiedy w 1969 roku zrobiłem maturę, generałem broni i dowódcą pierwszego korpusu armii – cokolwiek by to miało znaczyć. W każdym razie do walki nie doszło, bo Ruskich odstraszone i wycofali się. „Mój zawód – mawiał ojciec – ma na celu zapobieganie temu, bym musiał go wykonywać”.

Matka natomiast, podówczas nie miała jeszcze czterdziestki, była rzeźbiarką i rzuciła się w świat artystyczny. Życie wśród wszystkich tych uniformów i plisowanych spódnic oficerskich małżonek w sznurach pereł było niczym dla niej, córki anarchisty, to jest Twojego dziadka; miała romans z autorem scenariuszy, niejakim Aldo Tasem, który też raczej przypominał anarchistę niż wyższego oficera. Według mnie był to wariat, chociaż lubiłem go. Na jego pooranej twarzy błąkał się niezrozumiały uśmiezek, cały czas nucił coś lub mówił do siebie. Sądzę, że dysponował jakimś seksualnym trikiem, od którego uzależniła się moja matka. Nigdy nie widziałem go bez kapelusza, kompletnie zdeformowanego czarnego łachmana, zatłuszczonego i podziurawionego; nie zdejmował go nawet w pomieszczeniach, również w atelier mojej matki, gdzie razem zamieszkali. Atelier położone było kilka przecznic dalej, na pierwszym piętrze starego magazynu, dostępne tylko po sforsowaniu stromej drabiny i kłapy w podłodze. Lubiłem tam chodzić. W ciągu dnia na ogół ktoś pozował; wieczorami czytali, przy butelce czerwonego wina i cichej klasycznej muzyce, on w swoim kapeluszu, matka z czarnymi paznokciami. Głowa, nad którą aktualnie pracowała, stała na postumencie zawinięta w plastik, żeby glina nie wysychała. Ma talent i jest wydajna, ale naprawdę twórcza nie jest, nie kreuje własnego świata; talentu używa tylko do dublowania świata istniejącego.

Jak mój ojciec tymczasem chędożył, nie mam pojęcia. Nic nie łączyło go z Corry, mimo wspaniałych pośladek. Może miał romans z jakąś sekretarką z ministerstwa obrony albo z jakąś damą gdzieś w Hadze, w wynajętym dla niej mieszkanku; a może i nie. Najprawdopodobniej jednak nic nigdy nie było. Kiedy wieczorem odwoził go granatowy służbowy samochód, ojciec nie zdradzał najmniejszego śladu rozpusty, nawet jego krawat nie był poluźniony.

Co miałem studiować? Egypтологиę? I spędzić życie jako konserwator w Muzeum Starożytności w Lejdzie, do którego regularnie jeździłem autostopem? W zakurczonym pomieszczeniu na tyłach magazynu kłaść pęsetą skrawki papirusu na szklanej płycie i próbować wiązać je nitką? A może brać udział w wykopaliskach w Oksyrynchos? Na ogół, jeśli ktoś nie wie, co studiować, idzie na prawo, ale tak źle jeszcze ze mną nie było – a rozwiązanie przyszło we właściwym momencie. W roku 1968, kiedy rewolty w Amsterdamie i Paryżu osiągnęły punkt kulminacyjny – miałem wówczas szesnaście lat – wpadła mi w ręce świeża książka Jamesa Watsona: *The Double Helix*, opis wspaniałego odkrycia, którego dokonał we współpracy z Crickiem.

Nagle znalazłem tam wszystko, czego chciałem. Mówiłem już o odszyfrowywaniu. Tu nie chodziło o zagadkowe antyczne palimpsesty, ale o istotę każdego życia, nie wyłączając mojego. Nigdy przedtem nie czytałem tak pasjonującej książki; zrozumiałem zaledwie połowę, ale i to wystarczyło. Tropienie przewyższające wszystko inne, fałszywy ślad, zaskoczenie, napięcie, euforia – wszystko to w atmosferze przyjaźni, chociaż też intryg. Najwidoczniej trzeba taką pracę wykonywać parami: oni też tworzyli coś takiego jak podwójny heliks. Niestety nie mogę tego powiedzieć o sobie i Brocku, z którym współpracowałem nad swoim wynalazkiem. Nie był moim przyjacielem (w zasadzie nie mam przyjaciół), był co najwyżej rodzajem technicznego pomagiera; ponieważ nie chciał tego uznać, nasza współpraca przekształciła się w końcu w nienawiść i wrogość.

Połączyłem swoje najpierwsze miłości: zacząłem studiować chemię. Choć jak mi się teraz zdaje, jeszcze coś odegrało rolę. Pewnego upalnego letniego dnia – miałem wówczas około dwunastu lat – przy użyciu szkła powiększającego spaliłem mrówkę. Skierowałem palącą wiązkę słonecznego światła na zwierzątko, które czarno się skręciło i z którego przez moment pionowo w górę uchodził cienki szary dymek, jak przy ofierze Abła; tylko że ja poczułem się raczej Kainem, brakowało mi powietrza i pamiętam, że myślałem: tej śmierci mogę zadośćuczynić tylko wówczas, jeśli pewnego dnia sfabrykuję mrówkę. Można niszczyć tylko to, co samemu jest się w stanie zrobić – zasada ta dotyczy więc również Twojego własnego dziecka.

Kiedy studiowałem, mój ojciec został generałem armii, najważniejszym żołnierzem w kraju: szefem sztabu generalnego. Przez swoje polityczne wypowiedzi był w nieustającym konflikcie z ministerstwem obrony, ale ze względu na jego popularność wśród żołnierzy nikt nie odważał się go ruszyć. Gdy czytałem o tym w gazetach, przepełniała mnie pewna duma; w domu nigdy nie mówił o interesach, jak się wyrażał. O politykach mawiał „politicos”; pewnie dobrze funkcjonowałby w wojskowej dyktaturze o niespecjalnie krwawym charakterze. Kiedy zrobiłem licencjat, wszystko nagle się zmieniło: generał Jednooki, ostatni weteran wojny, przeszedł na emeryturę, żegnany piękną paradą i głębokimi westchnieniami ulgi ze strony politicos.

Jego mundury na zawsze wylądowały w szafie, od bojowych moro po galowe z delikatnego sukna, w których zawsze było mu gorąco, odznaczenia zniknęły w pudełku po butach, Corry została zwolniona, a on zamieszkał skromniej, w okolicach bazyliki.

Wszystko wskazywało na to, że zdjął z siebie nie tylko mundury, ale także własną tożsamość. Podczas moich studiów stał się zupełnie innym człowiekiem: poszarzałym, niedbale ubranym, źle ogolonym, anonimowym i zapomnianym.

*Środa, 5 stycznia.* – Wczoraj nie zdołałem napisać więcej. W południe byłem wraz z kilkoma egiptologami zajęty w laboratorium, a wieczorem jadłem kolację u holenderskiego filozofa, specjalisty w dziedzinie indyjskich obrzędów, który mieszka w Oakland w okazałym domu z widokiem na zatokę. Ponieważ hołdował oryginalnym pomysłem, akademicki establishment w Holandii pozbył się go; teraz już od lat wykłada w Berkeley. Po kolacji zaproponował odwiedziny u swojego przyjaciela w San Francisco. Spodziewałem się, że wejdziemy do zapchanej książkami dziupli uczonego, tymczasem ujrzałem wielki, pusty i jasny pokój, gdzie jedynym sprzętem były dwa czarne głośniki wielkości człowieka, z których grzmiało Wagnerowskie *Götterdämmerung*. Przyjaciel, młody Tajlandczyk, słuchał go, siedząc na tatami w pozie Buddy, i wraz z głośnikami tworzył idealny trójkąt równoramienny. Geometrycznie rzecz ujmując, nie było tam właściwie dla nas miejsca. Powitał nas nieznacznym ruchem, zerknąwszy jedynie na vitiligo na moich dłoniach, poza tym nie padło ani jedno słowo. Po trzech kwadransach wstaliśmy i w milczeniu wróciliśmy przez Bay Bridge.

Jeśli chodzi o doświadczenia z moich młodych lat, to nigdy o nich Twojej mamie nie opowiadałem. W ogóle nie byłem rozmowny, ona zresztą też; każde miało swoją pracę, nawet wieczorami mieliśmy zwyczaj zasiadać do biurek, plecami do siebie. Teraz przypuszczalnie wcale jej te sprawy nie interesują, dla niej to zamknięty rozdział, podczas gdy ja mam uczucie, jakby się jeszcze na dobre nie zaczął. Wróć niebawem do tego, ale najpierw muszę napisać o kilku innych sprawach.



W 1976 roku babcia wyemigrowała do Ameryki ze swoim Aldo Tasem. Miał powyżej uszu holenderskiego filmu i chciał spróbować szczęścia w Hollywood. Nie bardzo mu się tam powiodło, ale udało im się utrzymać dzięki rzeźbom babci: dość szybko pozyskała grupkę zamożnych klientów z wyższych sfer, przede wszystkim producentów, tych samych, którzy Tasowi nie dawali żadnych szans, ale pragnęli mieć podobizny swoich dzieci. Widywałem ich oboje regularnie; przygotowując doktorat, pracowałem przez pół roku w Illinois w laboratorium Carla Woeseego (odkrywcy Archaei, o czym traktowała moja dysertacja), a następnie kilka miesięcy na Cal-Tech w Pasadenie, tuż pod Los Angeles. Ale dwa lata później Tas, nucający i mamroczący pod nosem i czerstwy, został napadnięty na ulicy przez kilku meksykańskich wyrostków, ograbiony i zamordowany. Może wszystko przez ten jego kapelusz. Matka w ogóle nie chciała słyszeć o powrocie do Europy, a że znienawidziła Los Angeles, spakowała przybory rzeźbiarskie i porzuciwszy milionerów z Beverly Hills, przeprowadziła się do San Francisco.

Chciała zostać w Kalifornii ze względu na klimat – ale może także ze względu na pogarszający się stan zdrowia Twojego dziadka. Nadal mieszkał sam, kiedy nagle do niego wróciła cała wojna: egzekucje, trwoga, obozy koncentracyjne, zupełnie jakby między 1945 rokiem a jego przejściem na emeryturę nic się nie wydarzyło. Od sąsiadów z dołu dowiedziałem się, że czasem całymi nocami przechadza się po pokojach wte i wewte i wykrzykuje coś niezrozumiałego, jakby przepędzał intruzów. Kiedy zapytałem, czy wszystko z nim w porządku, zachowywał się tak, jakby nie rozumiał pytania. Pisałem o wszystkim matce i może bała się, że jeśli wróci do Holandii, będzie musiała się nim opiekować.

Któregoś dnia ja także stałem się ofiarą jego traumy. Po raz pierwszy miałem stałą przyjaciółkę, Astrid Rost van Tonningen, studentkę niderlandystyki, prawdziwą holenderską blondynkę. Podaję to nazwisko, bo kiedy mój ojciec je usłyszał, wpadł w szal.

– Rost van Tonningen? Ten plugawy zdrajca! W czterdziestym piątym w więzieniu w Scheveningen zrzucili go z piętra. Czy to jej ojciec?

– Ależ tato, czy to możliwe? Mamy rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy, Astrid ma dwadzieścia lat, jej ojciec to kulturalny urolog z prowincji.

– No to pewnie był to jej dziadek!

– Kto wie, zapytam ją. Tylko jakie to ma znaczenie?

– Jakie znaczenie? No, kolosalne. Nie chcę, żeby mój syn zadawał się z taką rodziną. Wiesz równie dobrze jak ja, że wdowa po Roście van Tonningenie wciąż ma konszachty z neonazistami.

– Tak, tato, czytam gazety.

– Ta czarna wdowa jest więc jej babką!

– Albo i nie. A jeśli nawet, to nic z tego nie wynika. Astrid to ktoś inny niż jej babka.

– W każdym razie domagam się, aby ta sprawa została dogłębnie przebadana.

Doszło do tego, że chciał zatrudnić biuro detektywistyczne. Powiedziałem mu, że uważam to za idiotyczny pomysł, na dodatek niemoralny, i że tak czy owak pozostanie to bez wpływu na mnie, ale nie dało się z nim w ogóle rozmawiać. Nagle zrobiło mi się go żal; coś więcej kryło się za tym, może tego Rosta sam zrzucił z piętra, kiedy był we Władzach Wojskowych. A niech mu tam.

O wszystkim od razu powinienem był powiedzieć Astrid, ale czułem się zażenowany. Kilka tygodni później otrzymałem odpis meldunku, gdzie było napisane, że osławiony nazista faktycznie był jakimś skoligaconym z nią prastryjkiem, ale że jej bezpośrednich krewnych ta niesława nie dotyczy. No i zamiast podrzeć to, odłożyłem w moim pokoju, a ona potem znalazła tę kartkę. To był koniec naszego związku.

*Piątek, 7 stycznia.* – Dziś wieczorem miałem przekomiczny sen i chciałbym Ci o nim opowiedzieć. Nie pamiętałem go, kiedy się obudziłem, ale pod prysznicem znów sobie wszystko przypominałem. W czasie podróży po Włoszech jestem w Mediolanie i idę dokądś, chyba do katedry. Nigdy nie byłem w Mediolanie, recepcjonista w hotelu powiedział, że muszę skręcić w prawo w Via Cavour, potem w lewo w Corso Vittorio Emanuele, następnie pod kątem na drugą stronę w Via Garibaldi i tak dalej. Wyruszałem z planem miasta, ale nic się nie zgadza. Via Cavour nie jest w prawo, tylko w lewo, Corso Vittorio Emanuele znajduje się w zupełnie innej części miasta, a Via Garibaldi nie wychodzi na placyk z kredowobiałym pomnikiem Canovy, jak mi powiedziano, ale na olbrzymią, rzeźbioną kolumnę z rzymskim cesarzem. I nagle widzę, że mam w ręku nie plan Mediolanu, tylko Rzymu. Poczułem się wtedy jak człowiek, który bierze łyk herbaty, a to okazuje się kawą.

Nie mogę pozbyć się wrażenia, że w jakimś sensie to sen złowróżbny. Zresztą tu w USA taka sytuacja jest jeszcze bardziej prawdopodobna, te wszystkie ulice bez nazwisk, zaopatrzone tylko w numery. Pod tym względem San Francisco stanowi wyjątek, ale w Nowym Jorku nie można się zgubić. Poza Greenwich Village nie ma ulicy czy alei biegnącej łukiem. Weźmy dla przykładu wspaniałą łuk Regent Street w Londynie – czegoś takiego nie znajdziesz w całej Ameryce. Gdybym projektował miasto, nigdy nie narysowałbym prostej ulicy, gdyż tylko łuk obejmuje cię jak matka. W średniowieczu lepiej to czuli. A w amerykańskim mieście na każdym skrzyżowaniu patrzysz w cztery strony świata za miasto. Innymi słowy: na każdym skrzyżowaniu narzucają ci się niezmierzone przestrzenie tego kontynentu.

Piszę to, siedząc w samolocie. Dziś musiałem lecieć do Stanford University i z powrotem, bo miałem tam spotkanie z Cairns-Smithem, którego teorią posłużyłem się w mojej syntezie. Pytał, jak wygląda teraz sprawa Brocka. Jest to bolesne i będzie mnie prześladować do końca życia. Powiedziałem, że jeszcze się nie pogodził z rozczarowaniem i że pewnie nigdy to nie nastąpi, jestem więc szczęśliwy, mogąc być chociaż przez jakiś czas w Ameryce, z dala od niego. O jego pogroźkach i anonimowych telefonach nie wspominałem. Zresztą tu w Berkeley też muszą się mieć na baczności. Wszystkie te fundamentalistyczno-chrześcijańskie ruchy, przeciwne przerywaniu ciąży i mordowaniu poczętego życia, wyprasają sobie, by ktokolwiek inny poza Bogiem stwarzał życie.

*Sobota, 8 stycznia.* – A po Astrid przyszła Bea. Między nimi była jeszcze pewna liczba rozmaitych pań, ale tu ograniczam się do moich wielkich miłości, z których Twoja mama jest trzecią – lub była trzecią. Pewnie już wiesz, że niebawem i do niej dojdę. Bea miała trzydzieści lat, była więc o kilka lat starsza ode mnie. Jej włosy zaczęły już siwieć, ale zjawisko to miało podłoże genetyczne; jej matka już jako czterdziestolatka była tak siwa, jak rzadko kto. Bea wyszła za pilota KLM, który zginął w jakiejś katastrofie lotniczej. Od tego czasu nabrała przekonania, że każdemu przynosi nieszczęście. Lekko zezowała swoimi jasnyniebieskimi oczami, z czym jej zresztą było do twarzy; ostrzegła mnie przed sobą. Takie bzdury bawiły mnie, powiedziałem więc, że będę się mieć na baczności. Wdowia renta pozwalała jej na wynajęcie ładnego mieszkanka, gdzie niemal co wieczór gotowała mi i pod innymi względami rozpieszczała mnie z wielkim talentem. Miała duże piersi, może trochę za chude nogi i nieco szorstką skórę.

Ojciec poznał ją na mojej obronie – obroniłem się z wyróżnieniem, jeśli chcesz wiedzieć. Wymizerniały siedział obok niej w pierwszym rzędzie auli. Broniąc mojej dysertacji doktorskiej (*The Energy Pathway of Methaneproducing Archaea*), odziany jak należy w togę, dostrzegłem jego dziwny wzrok utkwiony we mnie, zupełnie jakby nie miał pojęcia, kim jest ten młody człowiek opowiadający tam o niedawno odkrytych jednokomórkowych istotach, zwanych ekstremofilami, które mogą żyć tylko w intensywnie gotującej się wodzie pod ciśnieniem trzystu atmosfer i żywią się dwutlenkiem węgla, azotem oraz wodorem, a giną od tlenu. Podczas przyjęcia oboje stali w kącie i cały czas rozmawiali ze sobą, na zakończenie ona powiedziała mi, że mój ojciec jest jednym z najbardziej interesujących ludzi, jakich kiedykolwiek poznała. Tak, wiesz, o co chodzi. Kilka dni później, kiedy odwiedziliśmy go w jego zaniedbanym mieszkaniu, oświadczyła, że powinno się wreszcie posprzątać u tego samotnego, dręczonego przeszłością mężczyzny, garnitury powinny wylądować w pralni, lodówkę trzeba odkazić i tak dalej. Jak to się dokładnie rozegrało, nie wiem, i nawet nie chcę wiedzieć, ale w końcu zamieniła mnie na niego. Ani z nią, ani z nim później o tym nie rozmawiałem; ale znając ją, wierzę, że postarała się o seksualny renesans w jego życiu. Wzięła go do siebie do domu, i tak zostało. Sądzę, że więcej jej o sobie opowiedział niż komukolwiek innemu. To, że byłem dostawcą seksu dla mojego ojca, nigdy mnie w zasadzie nie męczyło.

A potem zmarł. Było to 15 listopada 1982 roku, miał sześćdziesiąt pięć lat. Rak żołądka, tak jak Napoleon (może dlatego cesarz zawsze wsuwał dłoń w kamizelkę na wysokości żołądka). Ja miałem wówczas trzydzieści lat, a ponieważ dziecko poznałe swoich rodziców dopiero w wieku lat trzydziestu, nigdy go właściwie nie znałem. Bea zamknęła jego powieki. Jego usta wciąż się otwierały, sklepiła mu więc wargi dwuskładnikowym klejem. I tak nie mógł już nic więcej powiedzieć. Wiedziałem, że teraz – gdy zakończyła zadanie – mógłbym ją odzyskać, ale nie chciałem mieć z nią nic wspólnego. Potem spotkałem ją kiedyś na mieście, zdążyła już zupełnie posiwieć; była w towarzystwie nowego przyjaciela, skrzypka z orkiestry, smutnego mężczyzny żydowskiego pochodzenia. Od razu spostrzegłem, że nosił nowe buty mojego ojca. Po kilku latach także on umarł, na guza mózgu. Ostatnia wieść o niej mówiła, że mieszka w Atenach, w grocie pod Akropolem.

*Poniedziałek, 10 stycznia.* – Na tablicy ogłoszeń w Dwinelle Hall przeczytałem, że Instytut Sławistyki wystawia *RUR* Karela Čapka. Kiedyś coś obito mi się o uszy na temat tego utworu; zawsze chciałem go poznać. *RUR* jest skrótem od „Rossum’s Universal Robots” – to tutaj po raz pierwszy pojawia się słowo „robot”; w programie przeczytałem, że wymyślił to jego brat Josef, także pisarz. Nie chodzi o ludzi-automaty, ale o wytwarzanie sztucznych ludzi z ciała i kości, którzy posługując się pierwotną „protoplazmą”, nastają na życie ludzi; premiera odbyła się w Pradze w 1921 roku. Teraz sałę w olbrzymim, przypominającym labirynt budynku w połowie wypełniali studenci jedzący pizzę i popijający colę, żaden nie odsunął słuchawek walkmana dalej niż na jeden centymetr od uszu. Właśnie to najbardziej mnie uderzyło: kontrast między uprzywilejowanymi dziećmi w ich słonecznej Kalifornii a prastarą, zamgloną Pragą sprzed siedemdziesięciu pięciu lat. Czy w ogóle wiedzieli, o co w tym naprawdę chodzi? Nawet Japonia jest tu na różne sposoby bliższa niż Europa; poprzez Pacyfik promieniuje na całe Zachodnie Wybrzeże egzotyką japońskich miast i niezliczonych barów sushi. Z drugiej jednak strony *RUR* jest tu wystawiane, natomiast nigdy nie słyszałem, by grano to w Europie.

*Środa, 12 stycznia.* – Pół godziny temu, około piątej rano, nastąpiło lekkie trzęsienie ziemi. Obudziłem się, gdy z nocnej szafki zleciał budzik; odczułem kołysanie, jakby łóżko było na statku, chciałem się czegoś złapać, ale wszystko się przesuwalo; doświadczenie mrozące krew w żyłach. Po raz kolejny głęboko w ziemi kontynentalne płyty San Andreas Fault nasunęły się na siebie o kilka metrów. Jeśli pominąć kilka drobniejszych wstrząsów, po półminucie było po wszystkim. Tymczasem wszędzie na ulice wyszli milczący ludzie w szlafrokach i pantoflach. Dla pewności zadzwoniłem do Twojej babci, ale ona niczego nie zauważyła, tylko ją obudziłem.

– Nic mi się nie może stać – powiedziała – to drewniany dom. Wracaj do łóżka, dobrej nocy.

Ale ja nie mogłem zasnąć. Wziąłem prysznic, nastawiłem kawę, włożyłem T-shirt i dżinsy. Siedzę teraz przy otwartym oknie i piszę; ulica znów opustoszała, a niebo na wschodzie zaczęło nabierać wszystkich tych kiczowatych różowości, którymi przyroda bryluje jak niedzielny malarz. Wschodzące słońce przychodzi od Twojej mamy; u niej jest teraz trzecia po południu. Zupełnie jakbym ją widział nad deską kreślarską. Zajęta jest przebudową willi dla jakiegoś bogatego człowieka, który wydzwaniania co tydzień, ponieważ mimo wszystko woli mieć kuchnię po drugiej stronie albo z boku, albo do góry nogami, i tak za każdym razem może zaczynać od początku. Od czasu do czasu spogląda na zegarek: jeszcze dwie godziny i będzie mogła pójść do domu. Czy ktoś tam na nią czeka? Czy ma już nowego przyjaciela? Wiesz coś o tym?

Może jeszcze na dobre się nie obudziłem, ale traktuję to drobne trzęsienie ziemi jako uwagę pod moim adresem, że powinienem zakończyć tę relację i postawić kropkę. Doszedłem do mamy, Auroro. Po Astrid i Bei pojawiła się w moim życiu trzy lata temu, jako trzecia z moich trzech wielkich miłości. Po obronie w 1979 roku miałem przywilej prowadzenia przez dziesięć lat życia badacza w laboratoriach Waszyngtonu, Strasburga, Cambridge i Zurychu, gdzie rozwijałem moją teorię eobiontu. Jakimś cudem stało się pod względem finansowym możliwe, abym zasadniczą część badań przeprowadził w Holandii, a trzy potrzebne na to lata przypadły na nasz „związek”, jak się to dziś zwykło nazywać plastikowym słowem. Sposób, w jaki ją poznałem, był dla mnie zawsze znakiem, że nie była po prostu trzecią, po której przyjdzie czwarta i piąta, ale że jest właśnie tą. Wydaje się, że pod tym względem się pomyliłem. Czy mam ci opowiedzieć, jak doszło do naszego spotkania?



Wracalem z weekendu spędzanego u niemieckiego kolegi w Neustadt, niedaleko Hanoweru; rozmawialismy niewiele o biologii, a przede wszystkim o psiej farmie, prowadzonej przez jego zone. Dziesiatki, a moze setki psow. „Najpiekniejsza smierc – mowila jego zona, nakladajac knedle ze sliwkami – to udusic sie pod gora tysiecy szczeniaczkow”. Moze. W kazdym razie lepiej niz pod tysiacami knedli ze sliwkami. Byla tam prowincjonalna stacyjka z dwoma peronami na wolnym powietrzu; w malej poczekalni dziewczyna za kontuarem sprzedawala piwo i kielbaski kilkorgu podrozny, ktorzy znajdowali sie tam jeszcze oprócz mnie. Za nia na scianie zamocowano duze lustro, aby optycznie powiekszalo niewielkie pomieszczenie, podobne zreszta bylo na scianie po drugiej stronie, gdzie siedzialem na drewnianej lawce. Mój pociąg odchodzil pięć po dwunastej; miałem jeszcze czas i zacząłem czytać gazetę. Po jakichś dziesięciu minutach spojrzalem na zegar wmontowany w lustro nad barem. Było za pięć dwunasta: miałem jeszcze dziesięć minut, więc czytałem dalej, a pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały. Kiedy po jakimś czasie znów zerknąłem, zobaczyłem, że tymczasem zrobiło się za dziesięć dwunasta. Na kilka sekund straciłem zupełnie orientację, ale zacząłem się przyglądać dokładniej. To nie był zegar wmontowany w lustro, ale odbicie zegara, który w rzeczywistości wisiał nad moją głową. Spóźniłem się na pociąg. Traf chciał, że w następnym pociągu usiadłem naprzeciwko kobiety o intrygującej, asymetrycznej twarzy. Czytała książkę i rzuciła mi krótkie spojrzenie. Jak pracuje mózg? Jej spojrzenie przywołało w mojej pamięci wers z Calderona:

*Rany i oczy*

*Są ustami, które nigdy nie kłamią*

Tej transcendentalnej niemal pomyłce miałem do zawdzięczenia nie tylko Twoją mamę, a w rezultacie Ciebie, ale na dodatek mój apartament. Ten apartament mam nadal.

Słońce weszło i roztoczyło nad Berkeley swoje światło, jakby ktoś falującym ruchem rzucił na łóżko białe prześcieradło. Telegraph Street znów ożywa, sprzedawcy rozkładają kramy, pierwsi klienci wchodzią do Cody's Books. Nagle czuję się śmiertelnie zmęczony – i nie dlatego, że mało spałem.

Teraz przefaksuję to. Mam nadzieję, że Twoja mama czyta także i to zdanie, co będzie oznaczać, że przeczytała całość.

## Zeszyt szósty

### Pismo drugie

HOTEL DES BAINS  
LIDO DI VENEZIA

*24 czerwca 1994*

*Kochana Claro! Przesyłam Ci kolejny odpis.*

*Wiktor*

*Wtorek, 21 czerwca.* – A co powiesz na to: kiedy wczoraj z walizką schodziłem na dół, miałem pojechać na Schiphol, zajrzałem jeszcze do skrzynki na listy i znalazłem tam list z urzędu stanu cywilnego. Trojaczki zostały zidentyfikowane: nazywają się Albert, Marnix i Sjoerd Dodemont. Żeby znaleźć ich miejsce zamieszkania, mam się zwrócić do archiwum miejskiego. Zrobię to jeszcze dziś.

Jak widzisz w nagłówku mojego listu, nauka nie domaga się od swoich skromnych adeptów, aby gnali na kraniec świata. Kiedyś z Twoją mamą przyjeżdżaliśmy do Wenecji, do pewnego małego hoteliku w zaułku, i żeby uciec od upałów i popływać, jechaliśmy na Lido. Musieliśmy płynąć zatłoczonym vaporetto albo jedną z tych wielkich parowych łodzi, „Aquileą” lub „Marco Polo”, także pełnymi turystów, potem wędrowaliśmy ruchliwą handlową ulicą biegnącą w poprzek wyspy i docieraliśmy do zapchanej plaży, na którą wstęp był wolny. Wówczas zawsze spoglądaliśmy właśnie na ten hotel, wspornie biegnący nad morzem, z własną plażą, i myśleliśmy: żeby tak pomieszkać tam sobie kilka dni. No i teraz mieszkam tu, oczywiście przyjechałem na kongres: *The Origins of Life in the Universe*. Temat konferencji jest wariacją tytułu książki Stanleya Millera (który też tu jest) oraz Lesliego Orgela pt. *The Origins of Life on the Earth*. Zastępując ziemię wszechświatem, uniknięto w ten sposób groźby, że znów usłyszymy fantastyczne opowieści, jakoby życie na ziemi miało pochodzić z innej części kosmosu, tak jak to już w ubiegłym wieku utrzymywał Svante Arrhenius, a obecnie znów twierdzi Francis Crick. (Oto *jego* technika, by po wielkim odkryciu jednak powrócić na scenę.) Rzecz jasna jest to tylko przesunięcie problemu, bo i tak narzuca się pytanie, jak w takim razie *tam* powstało życie. Sam, i to z różnych względów, jestem przekonany, że tylko na ziemi występują poważne formy życia: nie zostało ono tu sprowadzone znikąd, ale stąd zostanie dokądś zawiezione.

Mieszkam w apartamencie nad głównym wejściem, z wielkim balkonem, na którym teraz siedzę i piszę. Wystawiłem na dwór stojącą lampę, obok mnie komputer i butelka pinot grigio. Ekran jest błękitny jak morze za dnia. Teraz jest ciemne, płynie na nim rozświetlony biały statek pasażerski ku bajkowemu celowi, może do Egiptu. Nad morzem widać księżyc w ostatniej kwadrze, nieopodal strzępki przezroczystych chmur oskrzydłone przez świecącego Jowisza, spodobałyby się Tiepolo. Skąd to wiem z taką pewnością? Merkury widoczny jest tylko zaraz po zachodzie słońca, Wenus, gwiazda wieczorna, nieco później, jak na Marsa światło jest zbyt jasne, a Saturna prawie nie widać gołym okiem. Zatem to Jowisz.

Z tarasu poniżej dochodzi mnie gwar wesołych głosów. Bogaty Amerykanin świętuje tam urodziny swojego psa, zacnego, poczwarnego mopsa. Wiem od recepcjonisty, że każdego roku zaprasza tylu przyjaciół, ile jego pies liczy lat, opłaca im przelot z Ameryki i pobyt w hotelu. Zdaje mi się, że kundel kończy dziś jakieś dziesięć lat oraz że właściciel ciągle zmuszony jest zawierać nowe przyjaźnie. Kryje się za tym naturalnie jakaś historia, ale jej nie znam (gdybym był pisarzem, pewnie bym wymyślił.) Tak, Auroro, bawię teraz w wielkim świecie. Od menedżera hotelu dowiedziałem się, że w tym apartamencie zwykł się zatrzymywać Tomasz Mann i że tu łytał na przystojnych kelnerów, którym dziś stuknęła pewnie dziewięćdziesiątka albo już dawno poumierali (jaki to wszystko ma sens?), oraz że tu napisał *Der Tod in Venedig*. Visconti zrobił z tego film, który kręcono właśnie w tym miejscu. Kongres odbywa się w Sali Viscontiego: wysokiej, nieopisanie pięknej, z weneckimi kandelabrami, korynckimi filarami i lustrami, wyłożonej od góry do dołu drewnem. Poza tym codziennie jest coś oficjalnego: wczoraj, pierwszego dnia, przyjęcie u burmistrza Wenecji i recepcja w olbrzymiej Sala del Magior Consiglio w Pałacu Dożów; dziś wieczorem w rajskim Teatro La Fenice dwie małe opery Menottiego *The Medium* oraz *The Telephone*. Szczególnie ten ostatni drobiazg był bardzo zabawny.

Fakt, iż przyznano mi ten piękny apartament, świadczy o pozycji, jaką zajmuję obecnie na arenie międzynarodowej. Referat na otwarcie wygłosił dziś po południu Manfred Eigen, niemiecki autorytet z Getyngi, jutro ja jestem *keynote speaker*. Sam muszę się dopiero do tego przyzwyczaić, bo we własnych oczach pozostaję nadal chłopcem, który na strychu marzy o wielkich odkryciach, choć tymczasem zdążył już ich dokonać. Może mi nie uwierzysz, pewnie Ty też uważasz, jak prawie każdy, że Twój ojciec jest arogancki, ale ja nie jestem zarozumiały. To, co na pierwszy rzut oka wydaje się arogancją, nie jest niczym innym, jak tylko panczerem chroniącym przed nachalnością. Bo czy to moja *zasługa*, że wpadam na pomysły, na które inni nie wpadają? Moją zasługą jest co najwyżej gotowość do poświęcenia czasu i trudu, aby je opracować – chociaż nawet nie o to chodzi, prawdopodobnie jest to tylko pozostałość po wojskowej dyscyplinie mojego ojca, który odziedziczył ją z kolei po kimś innym. Skłonny jestem twierdzić, że nic nie powinno być dla nas powodem do dumy – ale wtedy wpadam w sidła: w takim razie nikt nie musi też sobie niczego wyrzucać. Może jednak tylko *innym* wolno nas chwalić lub nagradzać, lub też czynić wyrzuty albo karać. Właśnie, skoro już mowa o nagrodach: tu nie rozmawia się o Noblu. Moja pozycja na progu superelity wywołuje naturalnie zazdrosne spojrzenia, bo w nauce nie jest inaczej niż w literaturze czy gdziekolwiek indziej, wyjątek stanowi Eigen, któremu jak zwykle dopisuje humor, on bowiem przebywa w szwedzkim stanie świętości. Jemu już nic nie może się przytrafić.

Na tarasie na dole zrobiło się cicho, dzisiejszy jubilat, amerykański mops, wpełzł już pewnie pod kołdrę do swojego pana, Jowisz przesunął się dość znacznie na prawo, pochłodziło i jestem sam na sam z cichym poszumem morza i niezawodnie rozgwieżdżonym niebem, którego nie przytłacza światło księżyca.

Chętnie bym się temu całkowicie oddał, ale męczy mnie myśl o Brocku, tej zakale. Na samo wspomnienie o nim robi mi się niedobrze, ciesz się, że go nigdy nie poznałeś. Kiedyś miał zapewne rude włosy, ale posiwiął, jak każdy rudy, w taki pieprzowo-solny sposób. Nie mam nic przeciwko temu, bo nawet on nie ponosi tu żadnej winy, ale w jego przypadku budzi to we mnie odrazę. Jego bladoniebieskie oczy, piegowata i skłonna do złuszczenia się skóra na szerokiej twarzy, wszystko to napełnia mnie obrzydzeniem. Nie bierz mi tego za złe, butelka wina jest niemal pusta, a ja dziś sobie odpuściłem. I na dodatek ta jego żona! Stuprocentowa profesorowa z tym swoim kokiem i długimi sukniami zasłaniającymi jej szczapowate kości.

Dobrze, powstrzymam się. Naturalnie, że jest niezwykle uzdolnionym chemikiem, profesorem na powszechnie poważanym uniwersytecie, problem jednak w tym, że to zdolny do wszystkiego wariat. W jakiś sposób jest to druga strona jego *Schöngeisterei*. Jest wyznawcą Stefana Georgego, euforycznego niemieckiego poety i proroka o dziwacznych poglądach na temat nowej arystokracji, która wyzwoli ludzkość. Swego syna nazwał Maximin, od imienia ukochanej Georgego, która młodo zmarła, a która swoją boską pięknnością i arystokracją ducha uosabiała promienną przyszłość. Nawet tych kilka razy, kiedy byli do nas zaproszeni, próbował narzucić mi swój dziwaczny światopogląd; rzecz jasna we własnych oczach jest reprezentantem owej wzniosłej elity, ale w rzeczywistości najchętniej zamordowałby mnie, gdyby to tylko od niego zależało. Anonimowe telefony, nawet w środku nocy, milczenie po drugiej stronie, kto to może być, jeśli nie on? Czy ktoś jeszcze czuje się tak przeze mnie urażony?

Uważa, że moja praca to właściwie jego dzieło. Twierdzi, że okradłem go, a całą chwałę przypisałem sobie. Ale tak wcale nie jest. Był moim współpracownikiem, bardzo dobrym, i jestem ostatnim, który by temu zaprzeczył. Ale zarówno sam pomysł, jak i projekt procedury i zasadnicza synteza idą na moje konto, a nie jego. Początkowo nawet trudno było go przekonać do mojego projektu, wydawało mu się to fantasmagorią, bał się blamażu i przekonanie go kosztowało mnie dużo trudu. Później wykonywał tylko moje dyspozycje; posadziłem go do tej pracy, a on z kolei posadził do niej swoich asystentów, którym tak samo brak tytułu do sławy. Kilka razy zdarzyło się nawet, że sam nie dostrzegł znaczenia eksperymentów, jakie przeprowadzał. Tamtamy nauki postarały się już o to, aby wszyscy wiedzieli, czym się zajmujemy; wszędzie spotykaliśmy się z trudnym do wyobrażenia sceptycyzmem; dochodziły mnie słuchy, że w końcu sam wobec kolegów zaczął pomniejszać znaczenie prac. W zakończeniu artykułu w „Science” podziękowałem mu, ale kiedy dzień później sprawa odbiła się niesamowitym echem i cały świat był poruszony, a informacje znalazły się na pierwszych stronach gazet i we wszystkich stacjach telewizyjnych, nagle zamarzyła mu się rola współautora. Przyszedł do laboratorium, robił obrzydlive sceny, pewnego dnia rzucił się na mnie, aż studenci musieli go odciągać. Że też dopiero wtedy wpadł na ten pomysł, że też w ogóle nie uświadamiał sobie doniosłości naszej pracy. Potem, kiedy wyniki moich badań zostały powtórzone i potwierdzone przez innych, a moja twarz ukazała się na okładkach pism, takich jak „Time” i „Der Spiegel”, czemu towarzyszyły spekulacje na temat Nagrody Nobla, puściły mu ostatnie hamulce. Przestał rozumować racjonalnie, rozmowa z nim przypominała czytanie gazety na wietrznej plaży. Perspektywa naukowego Olimpu stała się widać bardziej wyrazista niż miraż przyszłego królestwa miłości à la George. Zamiast tego wpadł w czarną dziurę nienawiści.

No i co mam teraz z tym począć? Minęły już dwa lata, zajmuję się aktualnie zupełnie innymi zagadnieniami, ale jestem przekonany, że zżera go własna zółć, w czym sekunduje mu ta jego okropna żona. I mogę to nawet zrozumieć. Przez moment otarł się o coś najwyższego i zaraz musiał wracać. Jest starszy ode mnie o dziesięć lat, w jego życiu taka okazja się już nie powtórzy.

Dobranoc, moje dziecko, idę spać. Gdybyś tu była! Właśnie podniosłem wzrok i ujrzałem nad morzem przelatującego satelitę: gwiazda w ciszy snu, majestatycznie przesuwająca się wśród innych gwiazd. Wyobraź sobie, gdyby zobaczono to sto lub pięćset lat temu – świat stanąłby na głowie!

*Środa, 22 czerwca.* – Dziś wieczorem mieliśmy wyśmienite party z muzyką na wielkim gazonie nad basenem, otoczonym kwitnącymi oleandrami i bugenwillami. Okrągłe, odświętnie nakryte stoły, kelnerzy biegający tam i z powrotem, kucharze w wysokich czapach za suto zastawionymi podłużnymi stołami. Podświetlona fontanna tryskała wodą zabarwioną na granatowo i rzucała cudowny cień na białe brzuszeki mew, które nisko pikując, chwytają od czasu do czasu kropelki, podobnie jak wiekowe damy pociągają swój likierek. Kiedy zapadł zmierzch, ich miejsce zajęły małe nietoperze. Unosiły się w powietrzu niczym czarne skrawki spalonego papieru, zupełnie jakby nadlatywały z jakiegoś wielkiego pożaru w oddali. Niebo się zaciągnęło, a potem wieczorem zaczął padać lekki deszczyk, wówczas byliśmy na szczęście już przy tiramisu. Schwyciwszy kieliszki i butelki wina, uczeni zmykali do hotelu, muzycy w pośpiechu pakowali instrumenty, a personel próbował ratować z jedzenia, co się dało. Ja natomiast poszedłem do swojego pokoju po laptopa i siedzę teraz w zadaszonym barze nad basenem i piszę, rzucając od czasu do czasu okiem na spustoszenie, jakiego dokonano w miejscu uroczystej kolacji. Właśnie w tej chwili strugi fontanny zamierają jak dusza konającego i choć jej już nie ma, jest tak, jakbym nadal oglądał jej powidok.

Mój referat został dziś rano dobrze przyjęty, ale dyskusja krążyła znów przede wszystkim wokół eobiontu. Przypuszczalnie muszę się pogodzić z tym, że tak już będzie przez resztę mojego życia. Pozostanę człowiekiem od eobiontu, tak jak Fleming od penicyliny, a Watson od cząsteczki DNA. Lepsze to niż los Brocka, który przez resztę swego życia *nie* będzie człowiekiem od eobiontu, chociaż świadomość, że moja przyszłość przeminęła wraz z czterdziestym rokiem życia i że dalej w zasadzie będę kręcić już tylko rundy honorowe, również nie jest porywająca. Postaram się jednak robić to w najlepszym stylu.



Zresztą jeśli się dobrze przyjrzeć, Watson jest nie tylko człowiekiem od podwójnego heliksu, za który otrzymał współautorskiego Nobla, ale także autorem jedynej w swoim rodzaju książki opisującej to odkrycie. Nie żeby zaraz miał za to dostać Nobla w dziedzinie literatury – ów podwójny zaszczyt przypadł w udziale jego wielkiemu rywalowi Linusowi Paulingowi, który nie tylko otrzymał Nobla w dziedzinie chemii, ale również pokojowego. Chociaż... gdyby Watson i Crick nie rozwikłali struktury DNA, w ciągu dwóch, trzech lat zrobiłby to ktoś inny, przypuszczalnie tenże Pauling, tylko że ten ktoś nie napisałby dodatkowo jeszcze książki. Podobnie jest z moim eobiontem; z tym tylko, że gdyby Kafka nie napisał *Der Prozess*, to powieść pozostałaby nienapisana na wieki wieków. Jednym słowem, nam uczonym wypada być skromniejszymi.

Zastanawiam się nad tym wszystkim, ponieważ dwa miesiące temu zwrócili się do mnie z Cambridge University Press z prośbą o napisanie przystępnej książki o eobioncie o objętości stu stron. Mój pierwotny artykuł w „Science” (*Creation of Life from Inorganic Building Blocks*), w sumie nie więcej niż pięć stron A4, był bardzo techniczny; a każdy wydawca wie, że już jeden wzór w książce odstrasza połowę potencjalnych czytelników, przy dwóch wzorach liczba ta powiększa się o jedną czwartą, a przy trzech dochodzi jeszcze jedna ósma – resztę można samemu obliczyć. Wyraziłem więc zgodę. Także z tego powodu, że jest to dobra okazja, aby – choć się przed tym wzdragam – raz jeszcze wyrazić Brockowi uznanie, które mu się słusznie należy, może nawet nieco więcej: to będzie opatrunek na jego ranę, co, miejmy nadzieję, zmniejszy trochę jego agresję. Wprawdzie pozostaje wątpliwość, jaką formę nadać planowanej książce, a także do jakiego czytelnika mam ją adresować. W przypadku powieściopisarza, przynajmniej dobrego, problem ten się nie pojawia; nie wiem dokładnie, ale wydaje mi się, że pisze on swoją książkę w taki sposób, w jaki ta książka chce być napisana. Coś jak maszyna, która się sama konstruuje, a czytelnik musi się sam z tym uporać. Co ciekawsze, występuje zadziwiająca zbieżność, gdyż mój eobiont w rzeczy samej jest taką właśnie maszyną, która się sama konstruuje, takim organizmem, ale ja nie jestem w stanie akurat w ten sposób napisać o tym książkę, bo poza beletrystyką to nie obowiązuje. Miałem dwa punkty odniesienia: książeczkę Cairns-Smitha, która mnie zainspirowała, *Seven Clues to the Origin of Life*, oraz *Stufen zum Leben* Eigena napisaną w latach osiemdziesiątych – po opublikowaniu ich zasadniczych artykułów w fachowych czasopismach i ich prac naukowo-technicznych. Poza tym oczywiście książkę *Double Helix* Jima Watsona, gdyż to ona ponad dwadzieścia pięć lat temu określiła moje naukowe życie. Z tym, że dwie pierwsze, choć adresowane do szerszej publiczności, są dość surowe, szczególnie praca Eigena, trzecia natomiast to przede wszystkim pasjonująca autobiografia, a ja do napisania czegoś podobnego nie mam talentu. Zresztą właśnie Watson już to uczynił. Poszukiwałem jakiejś formy pośredniej, ale nie mogłem jej znaleźć.

Teraz jednak wiem, jak mam się do tego zabrać. Mój poprzedni list, w którym pisałem Ci co nieco o DNA, nasunął mi pewien pomysł: tę książkę będę pisał do Ciebie. Dam Ci wiek Alicji w Krainie Czarów (jeśli o to chodzi, to jesteśmy już w dwudziestym pierwszym wieku), a książka będzie serią rozmów, na przykład podczas wakacji na Lido di Venezia, na skraju basenu, na plaży, w mieście. W Amsterdamie pokażę Ci w laboratorium długi rząd brzęczących robotów, które w ramach międzynarodowego Genoom Project dzień i noc nanoszą na papier kompletne ludzkie DNA; przedstawię Ci tam trzem moim asystentkom o płomiennych oczach i naturalnie mojemu współpracownikowi dr. Barendowi Brockowi, wyjątkowo sympatycznemu człowiekowi z uroczą żoną, bez których życzliwej pomocy i naukowego wsparcia może nigdy nie udałoby mi się osiągnąć takich wyników. Nie zamierzam teraz pod tym kapiącym zadaszeniem zaczynać mojej książki, ale może udałoby mi się naszkicować jej pierwszy surowy plan.

Sądzę, że powinna się składać z dwóch części. W pierwszej napiszemy coś o mechanizmach genetycznych, tak jak to dziś wygląda. Dalej powiemy o pięciuset bibliach DNA, które Ciebie całkowicie określają. Twoje DNA powstało, kiedy moja komórka plemnikowa wdarła się do komórki jajowej Twojej mamy, po czym moje DNA zlało się z DNA mamy. Z tym, że Biblia napisana jest w języku, który ma dwadzieścia dwie litery, tymczasem niderlandzki przekład korzysta z dwudziestu sześciu liter, ale jeśli sobie przypomnisz mój list z Berkeley, to będziesz wiedzieć, że DNA napisane jest w języku, którego alfabet ma nie więcej niż cztery litery: A, G, T, C. Są to początkowe litery nazw pewnych substancji chemicznych. W dwóch komplementarnych spiralach cząstka A łączy się zawsze z T, natomiast G z C. W dowolnym miejscu zwój wygląda zatem następująco:

...ACTAATTGGAAAGTTTACGGTGCA  
GCCAATCTGGGTCAACAAATTTCTTC  
CAATTATGTTGACAGGTGTAGGTCCT  
ACTAATACTGTACCTATAGCTTTCTG  
TCCACATATTTCTATGGGTATTTGAT  
CATACTGTCTTACTTTGATAAAACCT  
CCAATTCCCCUGA...

– Czy to się w ogóle da przeczytać? – każe Ci zapytać.

– Owszem, ale zaraz zrobi się to jeszcze bardziej skomplikowane. To znaczy, w rzeczywistości jest to niezwykle skomplikowane, dokładnie tak skomplikowane jak Ty sama, i można mówić o cudzie, że ten mechanizm został rozwikłany. Ale spróbuję to opowiedzieć prostymi słowami, tak jak nauczyciel w szkole w *Die Wahlverwandschaften*, skomplikowanej powieści Goethego zainspirowanej chemią.

– A kto to jest Goethe, tatusiu?

– Może jednak Goethem zajmiemy się innym razem.

Tekst DNA jest drobnym fragmentem informacji potrzebnej do budowy jednego z niezliczonych białek, z których składa się Twoje ciało, powiedzmy dla przykładu, soczewki Twoich oczu. Ale między informacją a samym białkiem jest jeszcze jedno stadium, a właściwie dwa, ale upraszczam. To stadium występuje wówczas, kiedy podwójny heliks otwiera się wzdłuż i informacja dla pojedynczego białka zostaje zapisana w nieco innym języku, w nieco innym kwasie nukleinowym, w którym T zastępowane jest przez U: U, C, A, G. To daje molekułę RNA – dopiero wówczas zaczyna się tłumaczenie na białko. To odbywa się poprzez rybosomy: malutkie żyłtka przypominające biedronki.

– Biedronki?

– Tak, jestem w nich zakochany. W każdej komórce twojego ciała są ich dziesiątki tysięcy.

– Czuję, jak łaskoczą.

W wielkiej księdze DNA taki rybosom czyta tylko jedno zdanie – gen. Ale żeby powstało zdanie, potrzeba słów, a one w tym zwięzłym języku składają się zawsze z trzech liter. Po zastąpieniu T przez U początek tekstu DNA będzie wyglądał tak:

*...ACU AAU UGG AAA GUU UAC GGU GCA GCC AAU  
CUG GGU...*

Musisz jeszcze wiedzieć, że białka składają się z połączonych ze sobą aminokwasów. Każde słowo odpowiada pewnemu określönemu aminokwasowi. Otóż rybosom swoją małą główką bada słowo, a jego wielki korpus oddziela dany aminokwas, potem błyskawicznie przeskakuje do następnego słowa i przykleja tam następną aminokwas – i tak dopóki białko nie będzie gotowe.

Skąd wiadomo, jaki aminokwas jest oznaczany przez jakie słowo? Uważaj. W języku z czterema literami można utworzyć sześćdziesiąt cztery trzyliterowe słowa – możesz sama sprawdzić.

– Ależ to wielkie puzzle.

– Dobrze, więc pomińmy to. Jest to cztery do trzeciej potęgi, a więc cztery razy cztery razy cztery.

Wiemy też, że w grę wchodzi tylko dwadzieścia aminokwasów. Jeśli ten „język czterech słów” przełożyć na „język dwudziestu słów”, oznaczać to będzie, że danemu aminokwasowi odpowiada więcej niż jedno słowo. Jaki jest ten podział, widać w tak zwanym kodzie genetycznym. Pewnie mój wydawca będzie twierdzić, że ten wspaniały schemat odstraszy szerszą publiczność, ale nie sądzę, abym się dał przekonać. Ja oczywiście znam już ten słownik na pamięć.

		Druga litera				
		U	C	A	G	
Pierwsza litera	U	UUU } <i>Phe</i>	UCU } <i>Ser</i>	UAU } <i>Tyr</i>	UGU } <i>Cys</i>	U C A G
		UUC } <i>Ser</i>	UCC } <i>Ser</i>	UAC } <i>Tyr</i>	UGC } <i>Cys</i>	
		UUA } <i>Leu</i>	UCA } <i>Ser</i>	UAA } <i>stop</i>	UGA } <i>stop</i>	
		UUG } <i>Leu</i>	UCG } <i>Ser</i>	UAG } <i>stop</i>	UGG } <i>Tyr</i>	
	C	CUU } <i>Phe</i>	CCU } <i>Pro</i>	CAU } <i>His</i>	CGU } <i>Arg</i>	U C A G
		CUC } <i>Ser</i>	CCC } <i>Pro</i>	CAC } <i>His</i>	CGC } <i>Arg</i>	
		CUA } <i>Leu</i>	CCA } <i>Pro</i>	CAA } <i>Glu</i>	CGA } <i>Arg</i>	
		CUG } <i>Leu</i>	CCG } <i>Pro</i>	CAG } <i>Glu</i>	CGG } <i>Arg</i>	
	A	AUU } <i>Ileu</i>	ACU } <i>Thr</i>	AAU } <i>Asn</i>	AGU } <i>Ser</i>	U C A G
		AUC } <i>Ileu</i>	ACC } <i>Thr</i>	AAC } <i>Asn</i>	AGC } <i>Ser</i>	
		AUA } <i>Ileu</i>	ACA } <i>Thr</i>	AAA } <i>Lys</i>	AGA } <i>Arg</i>	
		AUG } <i>Met</i>	ACG } <i>Thr</i>	AAG } <i>Lys</i>	AGG } <i>Arg</i>	
	G	GUU } <i>Val</i>	GCU } <i>Ala</i>	GAU } <i>Asp</i>	GGU } <i>Gly</i>	U C A G
		GUC } <i>Val</i>	GCC } <i>Ala</i>	GAC } <i>Asp</i>	GGC } <i>Gly</i>	
		GUA } <i>Val</i>	GCA } <i>Ala</i>	GAA } <i>Glu</i>	GGA } <i>Gly</i>	
		GUG } <i>Val</i>	GCG } <i>Ala</i>	GAG } <i>Glu</i>	GGG } <i>Gly</i>	

Trzecia litera

„Phe”, „Leu” itd. to skróty nazw aminokwasów. Potrójny *stop* to znak przestankowy: kropka na końcu zdania. Ale stosunek nie jest już jeden do jednego, bo kod się „wyrodził”. Ma to dwie zalety. Po pierwsze, nie każdy błąd rybosomu musi być od razu fatalny: jeśli zamiast UUU zostanie przeczytane UUC, wciąż jeszcze powstanie fenyloalanina. Drugą zaletą jest to, że w ten sposób dochodzi do powstawania małych mutacji, dzięki czemu możliwa jest ewolucja. Ale niewielki błąd może się też okazać fatalny. Szereg ...ACU AAU..., który ci przed chwilą pokazałem, powinien według schematu prowadzić do powstania białka:

...*Thr-Asn-Try-Lys-Val-Tyr-Gly-Ala-Ala-Asn-Val-Gly...*

Jeśli jednak rybosom przeoczy na początku A, wówczas powstaną słowa:

...*CUA AUU GGA AAG UUU ACG GUG CAG CCA AUC  
UGG U...*

A temu odpowiada zupełnie inne białko:

...*Leu-Ileu-Gly-Lys-Phe-Thr-Val-Glu-Pro-Ileu-Try...*

W rezultacie człowiek może się urodzić z rozszczepionym podniebieniem albo dostać kiedyś raka żołądka, jak jego dziadek. Rozumiesz teraz, że wycinając i wklejając te litery, można stwarzać najbardziej dziwaczne rzeczy. Niebawem będziemy mogli na przykład sprawić, że ktoś będzie miał tak dobry węch jak pies myśliwski lub miał równie ostry wzrok jak sokół. Albo że dziecko zamiast małżowin usznych będzie miało po obu stronach głowy kurze skrzydła. Jeśli nam się zechce, będziemy mogli wyprodukować panoptikum zmaterializowanych baśniowych istot, dawniej zastrzeżonych dla fantazji: chimery, bazyliuszki, jednorożce, smoki, gryfy, centaury, sfinksy, wszystko, co ludzkość sobie kiedyś zamarzyła.

– Albo kobietę, która zamiast włosów ma na głowie węże!

– Tak jest.

– Albo mysz z ludzkim uchem na grzbiecie!

– Jutro zrobię ci taką.

No właśnie, o wszystkich tych sprawach, o których również gdzie indziej możesz sobie poczytać, będzie traktować pierwsza część mojej książki. W drugiej pojawię się ja we własnej osobie. Niesamowicie skomplikowany mechanizm genetyczny nie zawsze jednak występował w obecnej postaci: tym, czym jest obecnie, stał się wskutek ewolucji, a jeszcze dawniej w ogóle nie występował. Sam początek musiał być czymś zupełnie prostym, czymś, co jakieś cztery miliardy lat temu powstało z materii nieorganicznej – ale jak? Dla tego procesu obmyślono najrozmaitsze drogi, robili to Eigen i Cairns-Smith oraz inni goście Hotel des Bains; co do mnie, to jednak tak całkiem nie należę do tego klubu. Ja przy użyciu nowoczesnych środków sfabrykowałem prymitywny organizm z materii nieorganicznej, a to, rzecz jasna, już całkiem co innego. (Nie ma też nic wspólnego z klonowaniem, bo ono także wychodzi przecież od czegoś żyjącego.) Czy akurat tak się to kiedyś dokonało, jak to przeprowadziłem, nie wiem; mnie w każdym razie przy tym nie było, żebym mógł się przekonać. Być może pierwsze życie zostało stworzone przez Boga w pierwszy wtorek, ale ja pokazałem, że równie dobrze może się to obyć bez Boga. Wierzący poczuli się naturalnie zmuszeni nie dać temu wiary, a moje perwersyjne dzieło zaliczyć do „hybryd”.

Szczerze mówiąc, sam stoję przed zagadką, czy można wyjaśnić tak techniczne przedsięwzięcie w sposób nietechniczny. Przede wszystkim chodziło o zsyntetyzowanie prymitywnego nośnika informacji, z którego ewentualnie pochodzi DNA – a raczej RNA, gdyż ono jest starsze. Na trop naprowadził mnie Alexander Cairns. Według niego życie powstało z gliny. Gлина, choć tego na pierwszy rzut oka nie widać, składa się z małych kryształków. Słyszając „kryształ”, myślisz pewnie o fioletowym ametyście w pierścionku mamy, który otrzymała ode mnie na urodziny, albo o kryształkach cukru, których kilkadziesiąt zsuwa się za każdym razem do filiżanki, gdy słodzimy herbatę; ale też o kryształach o średnicy tysięcznej milimetra, małych jak mikroby, bo one również są kryształami. Zasadniczy pomysł Cairnsa polegał na tym, że kryształy mogą rosnąć w roztworach nienasyconych, wtedy pękają i ich fragmenty rosną dalej, powielając tym samym swoje specyficzne nieregularności. (Nawet dwa ziarenka piasku nie są identyczne.) Wymieniał też mój ulubiony eksperyment z hypo, o którym pisałem Ci w styczniu; może właśnie ten przykład doprowadził do wykrystalizowania się nienasyconego roztworu moich własnych idei. A może jest tak, że korzenie każdego ważnego osiągnięcia sięgają poziomu wód gruntowych. Tak czy inaczej, ten niezwykle prymitywny nieorganiczny mechanizm przekazywania informacji był najpierwszym początkiem DNA. To znaczy, że Ty i ja, i mama pochodzimy od mikroskopijnych kryształków gliny. Cairns był poniekąd konsekwentny, kiedy nazwał swego syna Adam.

– Ty właściwie mogłeś mnie nazwać Ewa.

– Nie, Ewa nie pochodziła z gliny, tylko z żebra Adama. Można powiedzieć, że Adam był jej matką. Właściwszym imieniem byłoby Lilith, to jednak wydawało mi się dość przerażające. Wymyśliłem więc coś innego. Nazwa „eobiont” jest wywiedziona z greckiego *heos*, „jutrzeńka”, od którego pochodzi też grecka bogini Eos. U Rzymian przyjęła ona imię Aurora.



Jak Alex dokładnie wyobrażał sobie to wszystko, możesz sama przeczytać, a pisze o tym dość szczegółowo: zaczynając od genezy w nieustannie nienasyconych zagłębieniach porowatego piaskowca, a kończąc na rozwoju prymitywnej syntezy białka, od którego dopiero rozpoczyna się organiczne życie. Cały proces jest przypadkiem, jak to się mówi, *generatio spontanea*. Niegdyś sądzono, że muchy i myszy powstają z rozkładających się śmieci, a żaby z gnijących kałuż; to nieprawda, chociaż pogląd, że coś żywego może powstać tylko z czegoś żywego, jest tak samo błędny. Również według Alexa powstanie życia nie było jednorazowym wydarzeniem sprzed czterech miliardów lat, możliwe, że w niezliczonych miejscach na ziemi nieustannie wydarza się to samo, z tym że rezultat zostaje od razu pożarty przez bakterie, albo, jeśli jest to coś większego, przez insekty.

Tak czy inaczej, ja wbiłem sobie do głowy, że robię z martwej materii żywą reprodukcją się istotę. Wszyscy oczywiście ogłosili mnie szaleńcem, ale się tym nie przejmowałem. Za wzór wzięłem Friedricha Wöhlera, niemieckiego chemika i mineraloga, który w 1828 roku jako pierwszy dokonał syntezy związku organicznego z materiałów nieorganicznych: ureum, które występuje w naszym moczu. Do tamtego czasu wszyscy byli przekonani, że związki organiczne mogą powstawać jedynie z pomocą specjalnej „siły życiowej”. Pisał o tym: „Potrafię przygotować ureum bez nerki. Jestem świadkiem wielkiej tragedii nauki: piękna teoria została zamordowana przez brzydki fakt”. Także Brock do samego końca nie widział w moim programie właściwie niczego, ale o tym nie wspomnę; położę jedynie nacisk na jego uzdolnienia i anielską cierpliwość.

Eobiont, o który mi chodziło, musiał być najprostszą z możliwych niezależną formą życia. Małe żyjątka, które znamy w tej chwili, należą do ekstremofili Archaea – wiem coś o tym, bo jak ci już opowiadałem, wydoktoryzowałem się na tych wariatach. Ich DNA składa się z około sześciuset tysięcy liter, podzielonych na jakieś pięćset genów kodujących białka. Nadal jest to jednak powieść o trzystu stronach, a ja miałem na myśli nowelkę, coś wielkości wirusa, tylko że wirusy są pasożytami, potrzebującymi innych komórek, aby się rozmnażać: są więc późniejsze.

Aby uzmysłwić Ci naszą procedurę, sięgnę po przykład z typografii. Niech ABC będzie martwą gliną, natomiast ABC żywą. Jak zrobić ABC z ABC? Weź szkło powiększające i dobrze się przyjrzyj różnicy między ABC i ABC:

ABC

ABC

ABC składa się z gołych bezszeryfowych liter, które w każdym miejscu mają tę samą niezróżnicowaną grubość i nadają się do rozkładów jazdy, książek telefonicznych oraz tabliczek z nazwami ulic, ale nie do literatury. Bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej, kiedy wszystko, co miało ornament, było wyklęte jako zbrodnicze, również modernistyczne powieści i wiersze składano z takich liter, ale nie jest to przyjemne dla czytającego oka. Bezszeryfowe litery są jak nieeleganckie trampy służące do wspinaczki po stromiznach; takie litery są statyczne, martwe, co najwyżej nadają się do tego, żeby nas informować, ale nie do czytania żywego, dynamicznego opowiadania. Do tego jest potrzebny szeryf. Te małe zakrętasy przy literach, ale również zmienna grubość, wzbierające i opadające linie, to nie ornamenty, jak esy-floresy gotyckich liter; wszystko to jest konieczne, jeśli oko ma się z przyjemnością prześlizgiwać wzdłuż linijki – to są narty i kijki, dzięki którym czytelnik gładko sunie po śnieżnobiałym papierze.

Stało przed nami zadanie, żeby to nieorganiczne ABC metodą chemicznego cięcia i wklejania, łączenia i mieszania oraz stworzenia infernalnych warunków przemienić w organiczne ABC. Musieliśmy rozwiązywać szalenie skomplikowane problemy semantyczne, kreować paradoksalne koła, gdzie nie tylko początek był potrzebny dla końca, ale i koniec dla początku. Jednym słowem (nie pozostaje mi nic innego jak skrót), wykonawszy tytaniczną pracę, dzięki łutowi szczęścia i dostępowi do najnowocześniejszej aparatury, po niekończących się poszukiwaniach odpowiedniego rodzaju gliny (mullitu), błędzeniu i ponownym odnajdywaniu drogi, pewnego dnia wystrzeliły w laboratorium korki od szampanów. Mój mały eobiont ujrzał światło dzienne: wyjątkowo kompleksowy, chemicznie wysokowartościowy organiczny kryształ gliny o charakterze proto-RNA, rodzaj prarybosomu, produkującego kilka krótkich białek, tak że moje stworzonko, zaopatrywane przez słoneczne światło w energię, rozmnażało się i miało przemianę materii. *We are the champions!*, śpiewaliśmy wszyscy, nasi asystenci, laboranci – tylko Brock nie śpiewał. Wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że coś takiego jak kwadratura koła nam się udało. Ale stało się. Urodziliśmy żywą istotę ze śmierci.

– Coś w rodzaju Łazarza.

– Z tą różnicą, że to przedtem nie żyło.

– Mimo wszystko cud!

– Nie, kochana Auroro, o to chodzi, że akurat *nie* cud. Właśnie tym moim „brzydkim faktem” zniszczyłem cud, że posłużę się sformułowaniem Wöhlera.

On zniesieniem granicy między chemią nieorganiczną a organiczną unicestwił piękną teorię o życiowej sile, ja zaś, znosząc różnicę między chemią i biologią, wymazałem pewną granicę metafizyczną. Potem musiano oczywiście w różny sposób to zanegować lub zbagatelizować. Jeśli moje demoniczne ambicje są prawdziwe, pisano w papieskim piśmie „Osservatore Romano”, to zlikwidowana została podstawa świętego poszanowania życia; jeszcze bardziej radykalnie niż w przypadku bluźnierczych praktyk usuwania ciąży i eutanazji człowiek wkroczył do tunelu obłądu. Teraz zwykle morderstwo nie miało już zasługiwać na absolutne potępienie. Wszystko to jednak wcale nie była prawda. Mikroskopijna jednostka, tak zwany eobiont, bynajmniej nie była dowodem na *generatio spontanea*: moje majsterkowanie nie przedstawiało w istocie nic więcej niż słynna próba ze szkłem wodnym i siarczanem miedzi. Księża w Watykanie nie zdawali sobie sprawy, jaką radość sprawiali mi takim porównaniem. W innych czasach nieuchronnie wylądowałbym na stosie, choć również teraz reakcje były groźne. Jakiś religijny fanatyk usiłował podłożyć ogień w laboratorium, gdzie eobiont namnażał się nieustannie w inkubatorze. Jeszcze dziś dostaję listy z pogroźkami: jeśli nie ma różnicy między życiem a śmiercią, to powinienem się sam o tym przekonać! Dziwne milczące telefony w środku nocy. Ze wszystkich stron, czy to w imieniu Boga, czy Allacha (Bóg jest bogiem, który nazywa się Bóg), nastawano na mnie.

– A więc w ogóle nie ma żadnego cudu, tato?

– Owszem: jeden. Że ty i ja jesteśmy. Że coś jest. Powstanie przestrzeni i czasu z niczego. Nie wiem, czy kiedykolwiek udałoby się to powtórzyć w laboratorium, bo przecież samo laboratorium jako takie istnieje już w określonym czasie.

Jest późna noc, położę się spać. Dwukrotnie ochrona hotelu zaglądała, czy wciąż tu przesiaduję. Poprosiłem o pokazanie mi wyłącznika światła i powiedziałem, że sam zatrę po sobie ślady.

Jeśli coś wyjdzie z tej książki, choć wcale nie jestem o tym przekonany, dam jej tytuł: *Aurora's Key to Life*.

*Czwartek, 23 czerwca.* – Ostatni dzień. Jutro wszyscy rozjedziemy się do swoich domów i oddamy ten hotel we władanie interniccie z Turynu i notariuszowi z Monachium wraz z ich rodzinami. Nie mają szczęścia, bo pogoda w typowo wenecki sposób zupełnie się odmieniła. Znad Dolomitów nieustannie nadciągają kolosalne chmury burzowe, zupełnie jakby nawarstwiały się tu górotwór, aby w spektakularny sposób wyładować się na granicy łądu i wody. Ten hałas w końcu mnie obudził, grzmiało jak pod Verdun; padał grad błyskawic, trzeszczące uderzenia piorunów waliły na Lido, a zamocowana na moim balkonie wenecka flaga z uskrzydłym lwem, który trzyma łapę na książce, podarła się na strzępy. Morze, na ogół nieruchawa niebieska sadzawka, zmieniło się w szarego, toczącego pianę potwora; na opustoszałym molo, zaludnionym zazwyczaj dziesiątkami plażowiczów, widać jedynie czerwoną flagę. Niektórzy ludzie boją się burzy, ale we mnie budzi ona zawsze rodzaj anarchistycznej radości, przy każdym grzmocie chciałbym krzyknąć „Dokładnie tak!”, „Brawo!” Może mam to po moim pradziadku. Postanowiłem urwać się z konferencji i ruszyłem do miasta, bo miałem coś sprawdzić w bibliotece. W recepcji wręczono mi wielki zielony parasol z nazwą hotelu i małą paczuszkę z przezroczystym plastikowym płaszczem przeciwdeszczowym. Przypominałem w tym jakiegoś koszmarnego stułbiopława.

Taksówkę wodną przed hotelem na ogół wypełniają przewiewnie i gustownie ubrani wczasowicze z gatunku cywilizowanego, teraz była tam tylko angielska grupa rockowa, którą znałem z hotelowej restauracji: pięciu posepnych chłopców, od stóp do głów w czerni, wytatuowane i obnażone aż po barki ramiona, długie włosy spięte w końskie ogony. Nawet w taką pogodę nie mieli na sobie kurtek, więc ja, z czterdziestką na karku, w tym asekuranckim ekwipunku poczułem się jak stary człowiek. Kiedy przeprawiliśmy się przez wąskie poprzeczne kanały, przyjęła nas laguna. Olbrzymia płyta matowego szkła, na której w dali niczym fatamorgana unosi się zazwyczaj Wenecja, przybrała wygląd garnka z wygotowującą się szarą zupą; zasłony deszczu przesłaniały miasto. W pomieszczeniu pod pokładem musiałem się trzymać, żeby nie zlecieć z ławki; dwóch marynarzy w solidnych białych sztormiakach, pod rozłożoną budą, w zasadzie przewidzianą jako osłona przed słońcem, wreszcie miało autentyczną przyjemność ze swojej pracy. Przez moment wydawało się, że burza przejdzie bokiem, ale kiedy zszedłem na ląd pod mostem Westchnień, rozpętało się piekło.

Gondole zacumowane przy Piazzetta stawały dęba, woda przelewała się przez nabrzeże, a pod arkadami Pałacu Dożów schroniły się setki turystów odzianych w okropne ubrania, zaprojektowane w piekle, ponieważ w mieście Diabła piękno jest solą w oku; wcisnęli się tam również ze swymi wózkami handlujący karmą dla gołębi, widokówkami i bezgustownymi kapeluszami. Poszedłem do okazałej Libreria Marciana Sansovino po drugiej stronie, zwanej też Biblioteką Petrarcki, gdyż jest tam komputer z łączem internetowym. Miało to związek z moją książką, o której pisałem Ci wczoraj. Zarówno Cairns-Smith, jak też Manfred Eigen nadali kolejnym rozdziałom swoich książek literackie motta, zupełnie jakby literatura poprzedzała naukę. Kto wie, może to racja; historycznie rzecz biorąc, tak właśnie jest: filozofowie przedsokratejscy, jak Parmenides i Heraklit, byli bardziej literatami niż ludźmi nauki. Cairns sięgnął do historii Sherlocka Holmesa Conan Doylea, Eigen natomiast posłużył się *Der Zauberberg* Tomasza Manna. Jeszcze zanim obmyśliłem, jak powinienem się zabrać do mojej książki, zastanawiałem się, czy w podobny sposób nie wykorzystać powieści *Frankenstein* Mary Shelley. Ona sama dała na tytułową stronę cytaty z *Paradise Lost* Milтона:

*Did I request thee, Maker, front my clay  
To mould me man? Did I solicit thee  
From darkness to promote me?*

Właśnie jej powieść grozy zabrałem ze sobą w podróż i od czasu do czasu podczytywałem – także w Sali Viscontiego, jeśli jakiś referat był zbyt nudny – i zaznaczyłem kilka stosownych fragmentów. Oczywiście zaciekało mnie też, *jak* Frankenstein zrobił swojego stwora. Zrekapitułuję Ci pokrótce, jak ten niesamowity hrabia opisał to w sfigowanej autobiografii (lepiej nie będę się porywać na Milтона):

*Widzę po twojej łapczywości, zdumieniu i nadziei w twoich oczach, drogi przyjacielu, że oczekujesz, iż poinformuję cię o znanej mi tajemnicy, lecz o tym nie może być mowy: cierpliwie wysłuchaj do końca mojego opowiadania, a wówczas z łatwością pojmiesz, dlaczego jestem w tej materii tak wstrzemięźliwy. Dawniej bywałem nieostrożny i zapalony i dlatego nie wskażę ci drogi, która prowadzi do zagłady i nieuniknionej udreki.*

Wątpię, aby redakcja „Science” zadowolili się czymś takim. Po zastanowieniu zarzuciłem ten plan. Uczony, który z resztek ciał fabrykuje potwora o morderczych instynktach... cytat z tej powieści grozy pewnie wywołałby niewłaściwe skojarzenia. Ale ponieważ z jednego zawsze wynika coś drugiego, zacząłem się w tym samym czasie interesować Mary Wollstonecraft Shelley. Miała dziewiętnaście lat, kiedy w roku 1816 napisała swoją pierwszą powieść, której tytuł ukuł pewne pojęcie i nawet ponad półtora wieku później nadal inspiruje kolejne powieści, filmy i sztuki: tak powstał nowy gatunek. Dziewiętnaście lat! Co to była za dziewczyna? Chciałem się o niej czegoś więcej dowiedzieć i dlatego siedziałem teraz w równie czcigodnej, co zakurzonej czytelni, robiąc notatki, a tymczasem na dworze burza rozszalała się na dobre. Na szczęście nikt nie wiedział, jak idealną kryjówką była biblioteka.



Kilka dni po urodzeniu Mary jej matka zmarła. W roku 1814, w wieku siedemnastu lat, przyszła pisarka poznała Percy'ego Bysshe Shelleya, poetę, który wówczas miał dwadzieścia dwa lata i był żonaty. Rok później urodziła mu córkę, ale dziecko zmarło po jedenastu dniach. W 1816 roku urodziła syna i wyszła za Shelleya, kiedy jego żona popełniła samobójstwo. W roku 1817 znów urodziła córkę, ale kiedy byli w podróży do Wenecji, dziewczynka zmarła. W 1819 roku zmarł również jej trzyletni syn, ale urodziła drugiego. W roku 1822 poroniła, potem Shelley utonął w morzu. Klątwa jakaś czy co... Kiedy to się działo, napisała w roku 1816 powieść *Frankenstein, or The Modern Prometheus*. Ona i Shelley spędzali wtedy wakacje w Szwajcarii wraz z lordem Byronem. Lato było deszczowe, wspólnie czytali więc niemieckie opowiadania o duchach, a Byron rzucił: „Niech każde z nas napisze opowiadanie o duchach”. Tylko ona ukończyła swoje, fabuła przyszła do niej we śnie. Zupełnie jakbym ich przed sobą widział, troje genialnych ludzi na szwajcarskim Zauberbergu.

Dlaczego opisuję to wszystko tu, na moim balkonie (podobnie jak w *Pastoralnej* Beethovena pod wieczór burza ustąpiła chłodnej, jasnej nocy z mnóstwem gwiazd)? Otóż w Internecie dokonałem dodatkowego odkrycia. W tym samym 1816 roku, wkrótce po narodzinach córki Ady, lord Byron rozwiódł się z żoną. Po kazirodczym skandalu nie mógł wrócić do Anglii i osiem lat później zmarł w Grecji podczas powstania przeciw Turkom; nigdy już nie zobaczył córki. Podobnie jak Mary Wollstonecraft Shelley dziewczynka wyrosła na zdumiewające stworzenie: była pierwszą programistką wszech czasów.

Język komputerowy amerykańskiego ministerstwa obrony, „Ada”, nazwano od jej imienia. W wieku czternastu lat doznała paraliżu i przez trzy lata nie mogła chodzić; w tym czasie studiowała matematykę. Miała osiemnaście lat, kiedy poznała Charlesa Babbage’a, który wynalazł prototyp komputera; jej wkład teoretyczny w tę maszynę był wizjonerski i przełomowy, była nawet prekursorem sztucznej inteligencji. Ale w wieku dwudziestu dziewięciu lat – nazywała się już wówczas lady Lovelace – przeżyła fizyczne i psychiczne załamanie. Lata całe nieprawidłowo leczono ją brandy, opium i morfiną, wydawało się jej, że jest prorokinią Boga na ziemi, która zgłębia wszystkie tajemnice uniwersum, przepuściła swój majątek i umarła na raka, mając trzydzieści sześć lat – rok po Mary Shelley, którą niewątpliwie znała, gdyż w establishmencie zazwyczaj wszyscy się znają.

Przerwałem połączenie z Internetem, skrzyżowałem ramiona i zacząłem rozmyślać. Jakże doskonała pajęczna sieć! Wszystko się tu łączyło: hrabia Frankenstein, Alan Turing, komputery, roboty – i nawet ja sam, ja też tkwiłem pochwycony w tę fatalną sieć. Kto lub co było pająkiem w samym jej centrum? Może bóg Ady, prorokini? Przypomniałem sobie, że jako chłopak widziałem kiedyś w lesie ogromną pajęczynę, a w środku srebrzystego matematycznego pentagonu siedział wielki, ciemnobrązowy pajak. Kiedy się zbliżyłem, aby go obejrzeć, nagle zaczął tak szybko potrząsać pajęczyną, że stał się niewidoczny dla oka. Wszystko, rzecz jasna, miało na celu zmylenie drapieżnych ptaków – ale może rzuca to dodatkowe światło na niewidzialność stwarzającego boga, ponieważ wszystko jest zawsze jednocześnie czymś innym, niż się wydaje.

Z zaciśniętymi pięściami wyciągnąłem ramiona w górę i przeciągnąłem się. Zbliżało się południe i zrobiłem się głodny. Schowałem notatki i wydruki do kieszeni i wyszedłem na miasto. Przepychałem się przez tłum pod arkadami w stronę Floriana, a ulewny deszcz tłukł o marmurowe płyty opustoszałej Piazza; powietrze nadal rozdzierały grzmoty. W małych salkach kawiarni było tak tłoczno, że trudno byłoby wcisnąć igłę; oparłszy się o filar, popijałem bellini i patrzyłem na ociężałą kampanilę otoczoną rusztowaniami, w Wenecji zawsze wszystko jest w rusztowaniach. W roku 1902 tysiącletnia wieża zawałiła się i teraz, porównując ją ze smukłą budowlą na obrazach Canaletta, Turnera i innych, nabrałem przekonania, że ze względów bezpieczeństwa w trakcie odbudowy poszerzono ją co najmniej o jakieś półtora metra; wprawdzie wszyscy twierdzą, że to dokładna replika, ale moje stolarskie oko nigdy mnie nie zawodzi. Pod osłoną płaszcza i parasola udałem się następnie za róg do Harry's Bar nad Canal Grande. W pałacu położonym kilkaset metrów dalej przez wiele lat mieszkał Byron, prowadząc chaotyczny dom, organizując najdziksze zabawy, a pomiędzy tym wszystkim znajdując jeszcze czas na pisanie arcydzieł.

*The Beings of the Mind are not of clay...*

Ten wers z *Childe Harolda* wypisał na moim ciele, więc rozumiesz, dlaczego go zapamiętałem.

W głębi małej salki był jeszcze wolny stolik. Jak zwykle roiło się tu od bogatych Amerykanów i Japończyków, którzy rozkoszowali się odbiciem blasku dawnych bywalców, Hemingwaya i innych sław. Zamówiłem *risotto di pesce* i pół butelki orvieto, odchyliłem się do tyłu, skrzyżowałem nogi – i wtedy przydarzyło mi się coś dziwnego. Trwało to krótko. Zupełnie jakbym został wyrwany z mojego własnego życia i umieszczony w innej przestrzeni, gdzie oddzieliło się ode mnie wszystko, wszystko, cokolwiek zrobiłem, i wszystko, cokolwiek mi się przytrafiło, wszystko, co mogło być zupełnie inne; pozostało jedynie to, co nie mogło być inaczej: i oto jestem tym, kim jestem. Moje czyste Ja, bez przeszłości, bez przyszłości. Zagadkowa chwila. Wprawdzie moje osobiste życie było ruiną, a jednak nagle wydało się, że nie dotyka to istoty mnie.

Drzwi naprzeciw otworzyły się i ukazał się w nich dystygowany mężczyzna, przemoknięty na wylot, jakby przybył tu z laguny spacerkiem po dnie Canal Grande. Był wysoki i szczupły, z falującymi, gęstymi, niemal białymi włosami; przemoczoną marynarkę miał przerzuconą przez ramię; jego biała koszula i krawat w kolorze intensywnej czerwieni także były zupełnie mokre. Wypomadowani kelnerzy pozdrawiali go jak dobrego znajomego. Taki ociekający usiadł przy sąsiednim stoliku, na którym stała tabliczka *Riservato*; odniosłem wrażenie, że zwykł tu każdego dnia jadać lunch, bo choć nie złożył zamówienia, postawiono przed nim kieliszek prosecco.

Uśmiechając się, spojrział na mnie.

– Właściwie – zaczął po angielsku, wycierając serwetką ogorzałą twarz – wolałbym raczej gorący grog, ale lepiej nie zmieniać przyzwyczajeń. Kto w moim wieku zmienia przyzwyczajenia, szybko umiera, a to – jeśli mam być szczerzy – nie dla mnie. Takie rzeczy zostawiam innym ludziom.

Zrozumiałem, że nie mam do czynienia z pierwszym lepszym. Mówił z akcentem, którego nie potrafiłem rozszyfrować, w każdym razie nie był ani rodowitym Anglikiem, ani Amerykaninem.

– Wygląda na to – odparłem także z uśmiechem – że jest pan nieśmiertelny.

Przez kilka sekund badawczo przyglądał mi się chłodnymi, szaroniebieskimi oczami.

– Najlepiej – odrzekł – od razu ze wszystkiego wyciągać najdalej idące wnioski. Dotyczy to wszystkiego, sztuki równie dobrze jak polityki czy nauki. Od Picassa do Lenina i Einsteina wszyscy posunęli się za daleko. Świat należy do radykałów.

Komu to mówił? Po ojcowsku skinął do mnie głową, jakby dodawał mi odwagi. Nie mogłem wykluczyć, że był o jakieś dziesięć lat starszy, niż się wydawał, może dobiegał siedemdziesiątki, choć jednocześnie miał spojrzenie siedemnastolatka. Zresztą mój ojciec też miałby teraz siedemdziesiąt siedem lat; przypuszczalnie był więc w wieku mojej matki.

– To co zwykle? – zapytał go kelner, kiedy mężczyzna ni stąd, ni zowąd położył dłoń na zestawie z solą i pieprzem i przesunął go z jakieś dziesięć centymetrów.

– Zaczekam jeszcze chwilę.

Od kiedy Twoja matka odeszła, ja także kilka razy w tygodniu jadam po restauracjach; zazwyczaj jestem jedynym jedzącym w pojedynkę. Nie uchodzi mojej uwagi fakt, że ludzie kierują ku mnie współczujące spojrzenia, co jest oczywiście typowo holenderskie: jeść poza domem to strata pieniędzy, chyba że z jakiejś wyjątkowej okazji. W Belgii jest już zupełnie inaczej, nie mówiąc o Francji. Jeśli mam być szczerzy, to jedna z niewielu przyjemnych stron samotniczego życia; w świecie białego płótna i hotelowych sreber otacza cię bezszelestna opieka i można spokojnie zebrać myśli. Nie, „zebrać myśli” nie jest właściwym wyrażeniem, bo akcentuje aktywność, człowiek tymczasem daje się ponieść swoim myślom jak tratwa rzece i czasami napotykasz wtedy na coś nieoczekiwanego, niczym rozległa, bajkowo porośnięta wyspa, jakie znajdują się na Renie lub Rodanie. Najlepsze pomysły miewam nie za własnym biurkiem czy w laboratorium, ale wsiadając do tramwaju, budząc się albo w restauracji przy kawie. Pomysł eobiontu przyszedł mi do głowy pod prysznicem. Plan, żeby zgłosić swój akces do projektu badań nad mumiami, o którym się dowiedziałem, powziąłem, kiedy chciałem zadzwonić do Twojej mamy z hotelu w Sydney, ale słuchawkę podniósł mężczyzna, którego nie rozumiałem. *You got Egypt now*, powiedziała telefonistka. Dlatego nie jest miłe, gdy ktoś lituje się nade mną i zaczyna pogawędkę; staram się wówczas zawsze jak najszybciej uciąć ją, czy to zagłębiając się w przyniesionej gazecie, czy też wyciągając z kieszeni notatnik. Teraz jednak w Harry's Bar miałem nadzieję, że mój przemoknięty sąsiad nie odwróci się ode mnie. Zrobiłem więc coś, czego nie czyniłem nigdy przedtem: z własnej inicjatywy zwróciłem się do niego.

– To, że w taki dzień jak dzisiejszy jest pan bez płaszcza lub parasola – powiedziałem – świadczy według mnie, że już wczoraj wyszedł pan z domu.

– Ma pan zadatki na detektywa, ale przecież może to świadczyć o czymś innym, że na przykład ukradziono mi parasol. Byłem w Palazzo Grassi, potem piłem kawę u Paulin, a tam ktoś najwidoczniej uznał, że jemu bardziej się przyda niż mnie. Bóg jeden wie, może faktycznie tak było. Może ten ktoś był z cukru. Więc zanim pan spyta jak rasowy śledczy, dlaczego nie poszedłem zjeść czegoś do Campo San Stefano: tu jestem umówiony na spotkanie.

Spoglądał na mnie nieruchomo, jakby umówił się ze mną. Opowiadał o mieście w sposób typowy dla jego mieszkańców, zakładając przy tym, że znam je równie dobrze. Spytałem, jaką wystawę oglądał.

– Jeszcze niczego nie ma, ale wkrótce będzie. Problem każdego komisarza wystawy stanowi w Wenecji to, że na dworze jest piękniej niż w muzeum. W Palazzo Grassi staram się podjąć próbę dialektycznego rozwiązania tego dylematu.

– Dialektycznego? Nie brzmi to zbyt nowocześnie.

Zastukał palcami w stół, co chyba było oznaką niejakiego zniecierpliwienia.

– Niech pan uważa, żeby nie wylać dialektycznego dziecka z komunistyczną kąpielą.

Zostałem zrugany. Bawiło mnie to, więc spytałem:

– A jak pan się do tego zabrał?

– Pokazuję wyłącznie brzydkie rzeczy. Przez to Palazzo Grassi staje się jeszcze piękniejsze, a kiedy człowiek wychodzi na dwór, wrażenie rozszerza się na całe miasto. Właściwie wystawiam więc Wenecję. Pozostaje nadzieja, że ktoś, opuszczając muzeum, pojmie, że jego westchnienie ulgi w tym momencie było właściwym celem.

Koncepcja wydawała mi się ryzykowna, ale po raz pierwszy w życiu miałem wrażenie, że rozumiem, na czym polega dialektyka.

– Może – odparłem – zasadniczym celem dialektyków w typie Lenina i Stalina było również to, aby lud odetchnął, gdy system sowiecki się rozpadnie.

Skinął głową.

– Bez wątplenia. Ale wiemy o tym tylko pan i ja.

Zadawałem sobie pytanie, czy mam mu się teraz przedstawić, aby poznał moje nazwisko, ale z jakiegoś powodu wydawało mi się to nie na miejscu. W każdym razie musiał być międzynarodowym koryfeuszem, skoro organizował wystawy w Palazzo Grassi. Nagle wydało mi się, że przygasł.

– W ostatecznym rozrachunku wszystko jest oczywiście pozbawione sensu – powiedział bardziej do siebie niż do mnie. – Nawet jeśli życie ma sens, można dalej utrzymywać, że jest bezsensowne, bo co to za sens, że coś ma sens? – Ujął kieliszek za nóżkę. – Ale wewnątrz bezsensownego istnienia jest sens picia tego kieliszka, sens mówienia, jak teraz, aby być przez pana wysłuchanym. Sensem mojego życia jest teraz pan – powiedział i spojrzął na mnie – a ja pańskiego. Wszystko ma sens, z wyjątkiem „wszystkiego”.

Pewnie powoli zaczynasz sobie zadawać pytanie, po co Ci to opowiadam – otóż dlatego, że wówczas Ty także byłeś tematem rozmowy. Kiedy po jego ataku melancholii przez chwilę pomilczeliśmy, znów otworzyły się drzwi i stanęła w nich kobieta trzymająca za rękę dziewczynkę, około czteroletnią, w drugiej ręce miała na smyczy czarnego jamnika. Wówczas stało się coś cudownego. Suczka zerwała się, a w mojej pamięci pozostał obraz, jak *leci* ponad głowami gości do mojego sąsiada, strzygąc uszami i ciągnąc za sobą czerwoną smycz, ląduje mu na piersi i zaczyna lizać, wsparłszy się przednimi łapami z rozczapierzonymi pazurkami na jego policzkach, uszy kładąc po sobie, a w jej oczach błyskają białka gałek. Mój sąsiad nie starał się unikać pieszczot; położywszy dłonie na czarnym tułowiu, poddał się im; chwilę potem jego twarz była równie mokra jak poprzednio. Amerykanie wokół niego przypatrywali się tej scenie z obrzydzeniem, podczas gdy para z jakiegoś orientalnego kraju sprawiała wrażenie, jakby miała wielką ochotę ukamienować suczkę.

Skończyło się to po jakichś dwóch minutach. Pies zagnieździł się na jego kolanach, on wytarł serwetką twarz i zwrócił się do mnie:

– To Catharina. Moja żona jest jej matką, moja córka jest jej siostrą, ale ja jestem jej synem. Tak, to też istnieje, totalna, czysta, doskonała miłość. Jeszcze świat nie zginął. Nie tylko kocham to zwierzę, takie, jakie je pan tu widzi, ale kocham też wszystko w niej – jej płuca, jej wątrobę, jej nerki, jej mózg i małe serduszko. Dlatego przeklinam myśliwych. Bo czyż można strzelać do zwierzęcia, które nie ma niczego poza tą małą przestrzenią, jaką zajmuje na świecie? Czy oni mają pojęcie, jak wielki jest wszechświat? Ależ skąd, dlatego odbierają nawet tę małą świętą przestrzeń będącą w posiadaniu kaczki czy jelenia. Trzeba im ją odebrać, używając przemocy, co staje się źródłem przyjemności. Za największą porażkę w życiu uważam to, że nadal jadam mięso.

Oto człowiek, który mi odpowiada. Kobieta tymczasem się dosiadła, ale pocałowała go dopiero wtedy, gdy wytarł twarz. Była wysoka, smukła, miała profil greckiej amazonki i była dobre trzydzieści lat młodsza od niego, czyli mniej więcej w wieku mamy. Dziewczynka zapytała ją o coś w języku, którego nie rozumiałem, może był to łotewski albo estoński, albo coś innego z Ultima Thule. Oboje zaczęli się śmiać, a mój sąsiad spytał:

– To nasza Elsa. Pan też ma dzieci?

To pytanie upadło na mój stolik jak kamień. Oczywiście pojmujesz, Auroro, że jest mi stawiane dość często i moja odpowiedź brzmiała zawsze „nie”, po czym szybko zmieniałem temat konwersacji. Teraz jednak przy tym mężczyźnie, tym sympatycznym *advocatus diaboli*, ogarnęło mnie poczucie, że nie mogę poprzestać na czymś tak zdawkowym. Patrzył na mnie dziwnym wzrokiem, jakby wiedział, co odpowiem.

– Ja także miałbym córkę – odparłem, odłożyłem widelec i spojrzałem na niego – ale umarła.

Od razu zrozumiałem, że muszę teraz odejść. Choć mój talerz nie był jeszcze pusty, otarłem usta i próbowałem zwrócić na siebie uwagę kelnera. Kiedy mój sąsiad to zobaczył, powiedział:

– Nie, nie, był pan moim gościem.

– Ależ...



– Nalegam. Pan zapłaci następnym razem. Do widzenia. Świat jest mały.  
Jego dłoń była zimna jak u zmarłego.

Trochę zeszywniałem, nie spostrzegłem, że zrobiła się chłodna noc. Nadal czuję się skonsternowany tym spotkaniem. Co to za człowiek, który mówi, że nasze życia nadają sobie wzajemnie sens? Dlaczego więc temu całkowicie obcemu człowiekowi, dialektycznemu Łotyszowi czy Estończykowi, nagle mówiłem o Tobie?

## Zeszyt siódmy

### Pismo trzecie

MENAHOUSE  
CAIRO

*Kochana Claro!*

*Nadal żadnego znaku życia. Głos wołającego na pustyni, która zaczyna się kilka metrów stąd.*

*Wiktor*

*Wtorek, 6 września.* – Już na sam widok czerpanego papieru będziesz przypuszczalnie sądzić, że znów mieszkam w luksusowym hotelu z czterema gwiazdkami, ale tak nie jest. Zostałem ulokowany w czymś w rodzaju pensjonatu w centrum Kairu, niedaleko muzeum i uniwersytetu. W ramach międzynarodowego zespołu od kilku dni ponownie zajmuję się badaniami DNA u mumii. Kto wie, czy nie są bliskie zmartwychwstania, trudno to wykluczyć na sto procent: raj, dla którego zostały spreparowane, znajduje się, być może, w nie tak odległej przyszłości. Ale nie to jest obiektem naszych badań. Oszczędzę Ci szczegółów naszej pracy, ma to w każdym razie związek z AIDS. Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy pięć tysięcy lat temu występowały u małp wirusy podobne do HIV, który dziś stał się tak zgubny dla ludzi – ten pomysł wpadł Jaap, kierownik naszego zespołu. Pobieramy szpik kostny ze zmumifikowanych pawianów i makaków, ale DNA okazuje się bardzo zdegenerowane; jako molekularno-biologiczny hydraulik mam za zadanie naprawić je tak, aby kolejność liter znów była czytelna. Wydaje mi się, że znalazłem już rozwiązanie tego problemu. Właściwie moje kwalifikacje przekraczają wymagania stawiane tej pracy, ale chciałem zostawić kraj, wyjechać na pustynię. Tu pełno jest mumii małp, w Sakkarze sami je wykopujemy, wszystko to jest bardzo pasjonującą przygodą. Zwierzęta te czczono jako święte, ponieważ były poświęcone pisarzowi-bogowi Totowi, który przywrócił Ozyrysa ze śmierci do życia. Wyobraź sobie – jeśli uda się nam znaleźć w ten sposób coś przeciw współczesnej dżumie, będzie to zasługą religii staroegipskiej, a *wbrew* chrześcijańskiej, bo katolicycy misjonarze robili, co mogli, aby zniszczyć zwierzęce nekropolie pogan, co im się dzięki Bogu nie udało.

Kairskiego jazgotu i żaru, smrodu spalin i smażonego mięsa nie opisze żadne pióro, w każdym razie nie moje. Po ulicach chodzi tu jakieś piętnaście milionów ludzi, tyle samo, ile w sumie jest Holendrów, dzisiaj odczułem więc potrzebę spędzenia nieco czasu w samotności. Przyjąłem radę egipskiego kolegi, włożyłem krawat i wsiadłem do kopącego, zapchanego, trzeszczącego w szwach i nieustannie trąbiącego autobusu, który zawiózł mnie do tego superhotelu. Na przedmieściach doświadczyłem niesamowitej chwili: widziane stąd piramidy w Gizie niczym fatamorgana strzelają ponad dachy domów, jak gdzie indziej rafinerie czy piece hutnicze. Człowiek oczekuje, że miasto będzie trzymane w rozsądnej odległości od tych cudów, ale tak nie jest; nie można wykluczyć, że pewnego dnia znajdą się w centrum Kairu, tak jak nasze średniowieczne mury, chociaż miejmy nadzieję, że ministrowi turystyki uda się temu zapobiec.

Jest to jeden z tych hotelowych pałaców, w których mogę sobie pozwolić jedynie na filiżankę kawy: słodkiej, przepysznej mikstury, nalewanej z niewielkiego miedzianego tygielka i podawanej z arabskim ciasteczkiem słodkim jak ulepek. Wszystko jest tu wysokie, przestronne, jednym słowem orientalny luksus z drewnianymi rzeźbieniami, zwierciadłami i kobiercami, Tysiąc i jedna noc, *Alf lajla wa lajla*. W narożniku klimatyzowanego holu moją uwagę zwróciło towarzystwo przesiadujące w fotelach – około dwudziestu, trzydziestu osób wyglądających na zmęczonych. Rozpoznałem jedną z dam, chociaż głowę miała dość ciasno owiniętą jedwabnym szalem, odsłaniającym jedynie twarz: Jacqueline Kennedy Onassis. Wyglądała źle. Zapytałem kelnera, co to za grupa. Niewątpliwie wbrew otrzymanym instrukcjom opowiedział mi, że to goście jakiegoś magnata przemysłowego, zaproszeni z okazji jego urodzin na prywatne przedstawienie *Aidy* w świątyni Amona w Karnaku; przybyli dziś całą flotyllą helikopterów. Tak, Auroro, dokładnie, jak słyszysz, z dystansu mogę się przez chwilę przyjrzeć właścicielom ziemi.

Ale kiedy wyglądam przez okno z mauretańskim łukiem w kształcie podkowy, widzę jeszcze większe bogactwo: piramidę Cheopsa. Nie uwierzysz, ona naprawdę istnieje. Nie miałem do tej pory dość czasu, aby tu przyjechać, i oto w końcu widzę ją, ten cud świata. Obok hotelu w jej kierunku biegnie łukiem asfaltowa droga. Po tej stronie ulicy widać ogród hotelowy z gazonami, fontannami, palmami i najróżnorodniejszymi egzotycznymi drzewami, których podlewaniem zajmuje się kilku ogrodników – po drugiej stronie rozpościera się pustynia. Tam nie rośnie już nic. Beduini rozłożyli swoje namioty przypominające kokony olbrzymich owadów; snuje się też kilka wielbłądów. Droga ma nie więcej niż dwieście metrów długości i prowadzi do góry na płaskowyż, gdzie wzniesiono trzy piramidy: Cheopsa, Chefrena i Mykerinosa. Mówią, że tam nigdy jeszcze nie padało. I jak *ja* mam opisać tę druzgocącą scenę, która mnie w przedziwny sposób całkowicie wybija z rytmu? Jak powiedzieć coś, czego by już nikt inny nie powiedział? Kiedy Herodot opisywał je po raz pierwszy, w piątym wieku przed Chrystusem, miały już wówczas ponad dwa tysiące lat. Może jednak uda mi się coś wymyślić. Są jak logo naszej planety. Jest gwiazda Dawida, swastyka, gwiazda sowiecka, gwiazda Mercedesa-Benz, ale te regularne wielościany są znakiem ziemi jako całości. Gdyby ktoś w *outer space* zapytał: „Jak rozpoznać planetę numer 3 w Systemie Słonecznym?”, to odpowiedź winna brzmieć: „Przyjrzyj się, czy gdzieś na Drodze Mlecznej nie widać piramid”.

*Sobota, 10 września.* – W autobusie poznaje się ludzi, tym razem jednak wziąłem taksówkę. Postanowiłem popracować tu tylko nad tymi notatkami. Nieprzeniknione milczenie, które promieniuje od tamtych trzech sarkofagów na skraju pustyni, przypomina mi Twoje milczenie, moje dziecko.

W moim pensjonacie zepsuła się klimatyzacja, co wcale nie przeszkodziło mi ostatnio w intensywnych rozmyślaniach – nie tylko o antycznych retrowirusach, ale także o Twojej mamie. Czas leczy wszelkie rany, powiadają, we mnie jednak coś się widać uodporniło na ten czas. Nie widziałem jej już prawie od roku, ale nie ma żadnej poprawy. Nie, nie chodzę nieszczęśliwy cały boży dzień i nie płaczę po nocach, bijąc pięściami w poduszkę, nawet na samym początku tak nie było, ale odczuwam to niby jakiś węzeł gdzieś na wysokości mostka. Moje problemy, jak się to mówi, są nierozwiązywalne. Może wyda Ci się to dziwne (nie wydałoby Ci się, gdybyś mnie znała), ale kiedy pojawił się ten obraz węzła, zjrzałem do encyklopedii pod hasło „Żegluga na Nilu” i znalazłem paragraf o węzłach. Skoro tak to odczuwam i skoro funkcjonuje to w języku, może węzłoznawstwo podsunie mi rozwiązanie. Pominąwszy krawat i muszkę, znałem właściwie tylko dwa węzły: babski (lewo na prawo i jeszcze raz lewo na prawo) oraz płaski (lewo na prawo, prawo na lewo); ale są ich dziesiątki, na przykład cumowy, marynarski, kotwiczny i potrójny. Wszystkie to niezwykle zajmujące, lecz mało pomocne. A w końcu istnieją jeszcze najróżniejsze genialne węzły iluzjonistów, dające się rozwiązać jednym pociągnięciem. Byłoby wspaniale, gdyby mój węzeł był z tego rodzaju, niestety, tak nie jest. Ale wszystkie one naprowadziły mnie na trop swego przeciwieństwa, mianowicie węzła węzłów: gordyjskiego.

Znalazłem go w encyklopedii. Kto potrafi rozwiązać węzeł, którym przymocowano dyszel do jarzma w bojowym wozie króla Gordiosa, zostanie według przepowiedni władcą świata. Podano dwie wersje sposobu, w jaki Aleksander Wielki miał tego dokonać. Oczywiście najbardziej rozpowszechniona mówi, że przeciął go swoim mieczem, ale nie spodobała mi się jako zbyt prostacka. Według drugiej wyciągnął drzewce przechodzące przez jarzmo i dyszel sam wysunął się z węzła. To eleganckie rozwiązanie, godne władcy świata; dlatego od jego imienia nazwano tu portowe miasto położone nieco dalej. Odłączył dyszel od jarzma, nie dotykając węzła, a ten w rezultacie po prostu się rozpadł. Miało to więc charakter triku iluzjonistycznego. Ale czy ja mogłem się czegoś nauczyć od Wielkiego Króla, który jak mag wyswabza się z pęt? O dyszlu i jarzmie miałem bardzo niejasne wyobrażenie, więc najpierw musiałem znaleźć coś o tym. Dyszel to drzewce znajdujące się pomiędzy końmi dwukonnego zaprzęgu; jarzmo jest drewnianym blokiem z wycięciami na kark, zakładanym parze zwierząt pociągowych idących w zaprzęgu.

Do diabła, kiedy to czytam, ogarnia mnie absurdalne uczucie, że wiem, co należy zrobić. Porównanie oczywiście kuleje na wszystkie strony, ale nie ma konieczności siłą go dopasowywać. Jarzmo łączące mnie z dyszlem wozu to paradoksalne jarzmo, ponieważ łączy mnie też z mamą, ale mamy już ze mną nie łączy. Co powinienem zrobić, żeby ją na powrót sprowadzić do jarzma albo samemu się z niego wyzwolić? Czy ma to jakiś związek z drzewcem w gordyjskim węźle? Muszę je wyciągnąć, a węzeł zostawić samemu sobie, bo on rozpadnie się samoistnie. Ale co jest tym drzewcem w naszym przypadku? Co mam wyciągnąć?

Naturalnie wiem, pozwalam się teraz wieść własnym pomysłem i intuicji, jak surfer falom i wiatrowi, ale nie mam w tym względzie złych doświadczeń. Trzeba mieć odwagę, by także tę swoją stronę brać poważnie – w każdym razie, jeśli się ją ma. Od dłuższego czasu zajmuję się sprawami wymagającymi mikroprecyzji, ale także tu zawsze wszystko poprzedza wyobraźnia. Posunę się zatem jeszcze trochę dalej, bo zdaje mi się, że widzę przed sobą coś, co może mi pomóc. Cały czas w mojej głowie kołacze się słowo *kłamstwo*. Ja –

*Piątek, 16 września.* – W poprzednim tygodniu mój wywód przerwał telefon egipskiego kolegi z laboratorium. Powiedział tylko to: „GGT ACC CAG CTT CCC CAA AGG TTC AAG”. Wiadomość była tak dobra – udało mi się załatać dziurę w DNA! – że od razu wróciłem do miasta.

Dziś jest mużułmański dzień odpoczynku, przesiaduję więc znowu w moim stałym miejscu w Mena House, z telefonem komórkowym na stole. Kiedy mówię, gdzie można mnie znaleźć, koledzy zaczynają chrząkać w rękaw; wydaje mi się, że podejrzewają, iż spotykam się z międzynarodowym towarzystwem piramidiotów, dla których piramida Cheopsa jest materializacją najgłębszych ezoterycznych tajemnic i wzniesiona została przez matematyczno-astronomiczno-religijny supermózg. Oczywiście bzdura, ale ich podejrzenie też nie wzięło się tak *całkowicie* z powietrza. Na najniższych półkach mojej biblioteczki – mama wie, gdzie je od czasu do czasu odkurzała, uderzając jedną o drugą przy otwartym oknie – stoi kilka tuzinów zaczytanych książek z moich młodych lat, nigdy nie chciałem się ich pozbyć. Najstarsze pochodzą z okresu, kiedy miałem trzynaście lat; już wówczas dysponowałem datownikiem, którym stemplowałem każdą nową książkę. Stare podręczniki chemii, biologii i geologii, biografie wielkich badaczy, na których się wzorowałem, stara książka o egipskich hieroglifach i Bóg jeden wie, co jeszcze. Także pewna liczba dzieł owych rozgorączkowanych piramidologów. Co mnie w tych ludziach pociągało, i w zasadzie nadal pociąga, to doprowadzona do apogeum furia odszyfrowywania. Ich fantastyczne odkrycia, minipomiary, ich uduchowione schematy i skomplikowane obliczenia, ich manipulacje danymi, ich genialne interpretowanie anomalii jako dowodów – to wszystko poważna nauka w lustrze śmiechu. Niezwykle pokrzepiająca. Czytam książki tego typu dla rozrywki, tak jak inni sięgają po kryminały.

Kiedy tak wyglądam przez okno, potrafię się wczuć w ich obsesję. Budząca zgrozę książka w rodzaju publikacji Davidsona otrzymała w niderlandzkim przekładzie tytuł *Kamienie mówią*, i ten właśnie tytuł wyraża to precyzyjnie: masywne, trwające tysiące lat milczenie ma być zmuszone siłą do mówienia, przy czym dozwolona jest każda metoda, niekończące się przesłuchania, kłamstwa, groźby, tortury; dozwolone jest wszystko, co prowadzi do zeznań. Przyczyna jest następująca: oto stoi tam śmierć zrobiona ludzką ręką. Nikt nie napisze książki o „tajemnicy Skały Gibraltaru”, chociaż jest o wiele większa i znacznie starsza: nikomu nie przyjdzie do głowy zmierzyć ją, określić pozycję względem Gwiazdy Polarnej i Syriusza, policzyć długość jej cienia 21 czerwca o godzinie dwunastej, stwierdzić, że pokazuje wówczas dokładnie w kierunku Stonehenge itp. Skała Gibraltaru nie jest tajemnicza, ponieważ nie jest dziełem człowieka – ale czy tak naprawdę stanowi to jakąś zasadniczą różnicę? Mój własny eobiont w zasadzie przewycięża to rozróżnienie. W tym sensie mój żyjący kryształ jest w rzeczywistości samą istotą.

Czy wiesz, kto według mnie najlepiej scharakteryzował piramidy? Po wielokroć wyszydzony Hegel. *Kolosalne kryształy*, powiedział o nich, niczym górne części oktaedrów, regularnych ośmiościanów, których dolne połowy można sobie wyobrazić ukryte w piaskach pustyni i zwrócone do środka ziemi. Coś powstrzymywało mnie przed pójściem tam i obejrzeniem ich z bliska, ale wkrótce sam znajduję się w tym kolosalnym kryształcie.

Poprosiłem taksówkarza, aby mnie wysadził na rozpalonym płaskowyżu, gdzie stał już rząd autobusów. Było mnóstwo turystów, ciągnących w grupach pod rozłożonymi parasolami; wszędzie Beduini na przyozdobionych wielbłądach, usiłujący sprzedać przejażdżkę. Jeden z nich sięgnął do swojego burnusa i zaproponował mi kupno małej staroegipskiej statuetki z czwartej dynastii, niewątpliwie sporządzonej przez niego tej nocy. Kiedy odmówiłem, rzucił:

– *Go to hell!*



Im bliżej byłem piramidy Cheopsa, tym wyraźniej jej pochyłe, gładkie powierzchnie zmieniały się w dzikie nagromadzenie brył o poziomych i pionowych bokach – jednak także to, pomyślałem sobie, było zgodne z jej kształtem: punkty narożne oktaedrów są punktami środkowymi bocznych powierzchni sześcianu. Każdy z bloków jest zwietrzały i chropowaty. Człowiek obawia się czasu, mówi arabskie przysłowie, ale czas obawia się piramid; widać wyraźnie, jak czas zjadł zęby na tym jedynym pozostałym cudzie świata. Patrząc tak na piramidę, naprawdę miałem wrażenie, że gołym okiem jestem w stanie dostrzec atomy kryształu. Z głębokim westchnieniem – jakbym wreszcie osiągnął coś bardzo ważnego w moim życiu – położyłem obie ręce na takim bloku o objętości jednego metra sześciennego, gorącym od słońca świecącego dzień w dzień od tysięcy lat. Podniosłem wzrok. Na tle błękitnego nieba niesamowita masa kamieni zarysowywała się brązowozłoto, sprawiała wrażenie tak straszliwie ciężkiej, że zdumiałem się, iż jeszcze nie przebiła skorupy ziemskiej i nie zapadła się w magmę.

Na ogół przyjemnie jest z perspektywy czasu opowiadać o czymś nieprzyjemnym. Nie może to być, rzecz jasna, zbyt nieprzyjemne, ale ktoś, pod kim kiedyś zapadł się lód, będzie o tym później opowiadać ze śmiechem. Ten lód znajduje się teraz w szklaneczce whisky stojącej mniej lub bardziej nielegalnie przede mną w tej zbawiennie klimatyzowanej sali, gdzie teraz z satysfakcją wspominam piekielną wyprawę do sali królewskiej sprzed paru godzin. Ludziom z niedomaganiem serca należy odradzić tę wyprawę. Do piramidy wchodzi się przez otwór wykuty przed tysiącem lat przez chciwego złota kalifa, syna Haruna ar-Raszida, bohatera *Tysiąca i jednej nocy*. Ale nie wchodzi się samemu. Wchodzi się razem z mnóstwem Japończyków, Amerykanów, Anglików, Niemców, Francuzów, Włochów i wszystkich, których Ra powołał do życia na świecie; wśród spoconych ciał w półmroku człowiek przepycha się na zakrętach, posuwając się wąskim korytarzem ku górze, podczas gdy inne grupy schodzą w przeciwną stronę. Następnie idzie się przez wielką wiodącą do góry galerię nadnaturalnych rozmiarów, która stanowiła szalę czasu stworzenia nieba i ziemi aż do roku 1953 (kiedy to Watson i Crick zaprezentowali swoją podwójną spiralę DNA). W tym piecu podgrzewanym od czterdziestu sześciu wieków robi się tymczasem coraz goręcej i duszniej, czujesz ciśnienie otaczających cię milionów kamiennych bloków; ścisk, nieustanny ogień zaporowy fleszy, brak tlenu, świadomość miejsca, w którym się znajdujesz, wszystko to razem wzięte podkopuje twoją świadomość i robi z tego Tysiąc i Jeden Koszmarów. W końcu po przejściu ostatnich kilku metrów stajesz w sali królewskiej. Nagie, stosunkowo niewielkie pomieszczenie z pustym sarkofagiem z czarnego granitu o jednym odrąbanym rogu. Tłok jak w przepelnionej windzie i już nie wiesz, gdzie się znajdujesz: wysoko w powietrzu czy na innym świecie? Może nawet bardziej to drugie? Ale muszę wyznać, że żadne tajemnicze objawienia nie stały się moim udziałem, moje myśli były przy mamie.

Jej zleceniodawca, megalomański wielkolud ze swoim jaguarem, na pewno miałyby wizję co do sposobu, w jaki dałoby się przerobić piramidę na hotel z aneksem mieszkalnym, World Trade Center i międzynarodowe multikulturalne centrum pod auspicjami UNESCO. Są ludzie, którzy się przed niczym nie cofną, a on jest jednym z nich. Ale przestanę się na niego uskarżać, bo to w końcu jemu zawdzięczam moje własne mieszkanie w dawnym domu bożym.

*Wtorek, 20 września.* – Nowiny! Dziś rano mój dozorca przysłał mi pocztę z domu: trojaczki zostały odnalezione. Z powodu braków kadrowych w miejskim archiwum musiałem się zwrócić do genealoga i właśnie otrzymałem odpowiedź. Albert Dodemont mieszka obecnie w Haarlemie, mam jego adres, numer faksu i telefonu. Wygląda na to, że jest znanym typografem. Jego dwaj bracia, Marnix i Sjoerd, wyemigrowali dawno temu, jeden do Australii, drugi do Kanady; pani genealog nie była w stanie stwierdzić, czy jeszcze żyją. Zaraz wyślę faks do Twojego haarlemskiego mlecznego wuja i umówię się z nim. Choć nie mam pojęcia, co sobie po tym obiecuję.

*Piątek, 23 września.* – Klimatyzacja w moim pokoju została w końcu naprawiona, ale teraz znów się popsowała. Najlepiej więc na upał i jazgot otworzyć na oścież okno, zdjąć z siebie wszystko aż do majtek; w tym nagim stanie chcę Ci teraz opowiedzieć o trzech dniach z mojego życia, których nigdy nie zapomnę. Dziś znów jest tu dzień odpoczynku, mam więc dużo czasu.

Kiedy mama powiedziała, że jej biuro otrzymało zlecenie na projekt przebudowy bazyliki, myślałem początkowo, że bezlitosny developer całkowicie oszalał. Ale wszystko odbyło się tak, jak mówił ów człowiek w Harry's Bar: najradykalniejszy wygrywa. Z jej rekomendacji mogłem wówczas wynająć wspaniałe mieszkanie, w którym spędziliśmy kilka szczęśliwych miesięcy, w którym zostałeś spłodzona i zmarłaś, nie rodząc się, i w którym w końcu cała reszta została zniszczona.

Teraz jesteś w niebie, Auroro, i masz prawo wiedzieć, jak się to wszystko wydarzyło. Czytałem kiedyś, że średniowieczni teologowie zmagali się z problemem, jak to jest w niebie. Bo skoro jeden człowiek umarł jako leciwy starzec w wieku dziewięćdziesięciu lat, drugi jako niemowlę podczas porodu, to w jakiej postaci będą przebywać w niebie? Jeden jako zgrzybiały wrak, drugi jako płaczące niemowlę? Tak oczywiście być nie mogło, bo jak mieliby oglądać oblicze Boga? Wówczas ktoś rozwiązał tę kwestię, nie pamiętam tylko, kto to był, może święty Tomasz z Akwinu, poddając myśl, że w niebie wszystkie dusze mają trzydzieści trzy lata. Genialne! Mówię więc teraz do Ciebie jak do kobiety w wieku Chrystusowym – chociaż nigdy nie byłaś starsza niż minus trzy tygodnie.

To, że byłaś dziewczynką, mama i ja wiedzieliśmy dzięki ultrasonograficznemu badaniu, które przeprowadził ginekolog, kiedy miałaś minus kilka miesięcy; zrobiliśmy to na wszelki wypadek, mama miała przecież prawie czterdzieści lat. Dlatego mogliśmy Ci już wtedy dać imię. Tamto zdjęcie to jedyne, co mamy po Tobie: rodzaj odwróconej piramidy, jak delta Nilu, z obrazem ekstragalaktycznego gwiazdozbioru. Wszystko było gotowe na Twoje narodziny, kołyska, ubranka, pieluszki, i wówczas pewnego wieczoru w brzuchu mamy zapanowała wielka cisza. Tydzień wcześniej także stało się coś podobnego i wówczas zrobiono KTG, kardiokografię, ale wszystko było w porządku. Teraz mama ponownie się zaniepokoiła i następnego ranka raz jeszcze poszła do szpitala. Pytała, czy pójdę z nią, ale miałem umówione spotkanie: miał mnie odwiedzić Woese z Illinois; był przejazdem w drodze do Strasburga i zatrzymywał się tylko na jeden dzień. Zresztą byłem przekonany, że i tym razem chodzi o fałszywy alarm.

Byłaś nieżywa. Zaplątałaś się w pępowinę. Powstała pętla, która owinęła Ci się wokół szyi; nie udusiłaś się w ten sposób, bo jeszcze nie oddychałaś, ale sznur, i tak poskręcany, zacisnął się i zablokował dopływ krwi. Lekarz powiedział mi później, że mama, dowiedziawszy się o tym, zaczęła krzyczeć: „Wiedziałam! Wiedziałam!” I: „Oszaleję!” Potem niespodziewanie zrobiła się dziwnie spokojna.

W tym czasie siedziałem przy schłodzonej butelce sancerre i jadłem z Woeseem wędzonego łososia; nawet wówczas nie zadzwoniła do mnie. Pod wieczór wróciłem do domu i zastałem ją siedzącą na podłodze z rękoma złożonymi na grubym brzuchu i patrzącą w okno. Nie odwróciła się, kiedy wszedłem. Od razu zauważyłem, że sytuacja jest krytyczna; dopiero gdy przy niej kucnąłem, spojrzała na mnie. Takiego wzroku jeszcze nigdy u nikogo nie widziałem. Zupełnie jakbym patrzył w bezdenną czelusć, głęboką studnię na weneckim podwórku, do której wrzuca się kamyk i dopiero po sekundach dochodzi z czarnego podziemnego świata oziębły plusk. Zapytałem, co się stało, ale tylko pokręciła głową, nie potrafiła o tym mówić. Ale też i nie potrzebowała. Zrozumiałem, że zamieniła się w milczący grób.

Usiadłem obok niej, objąłem ramieniem jej szerokie barki i położyłem dłoń na brzuchu. Zupełnie jakbym czuł tamtą ciszę w środku. Jak opisać, co się wówczas we mnie działo? To nie był „smutek”, nie chodziło też o Ciebie, bo istniałaś i nie istniałaś, nie wiedziałem, kim byłaś lub kim zostałabyś; była to raczej nieobecność emocji, rodzaj skamienienia, który miał związek tylko z mamą. Dla niej byłaś czymś innym niż dla mnie, częścią niej samej, nie tylko częścią jej ciała, lecz także duszy, jej tożsamości jako kobiety. Naturalnie byłaś również moim dzieckiem, w to nie wątpiłem, ale mimo wszystko nie ma tak absolutnej pewności jak w jej przypadku: byłaś jej dzieckiem. To, że dziecko ma także ojca, jest późniejszym odkryciem. Kiedy okazało się, że mama jest z Tobą w ciąży, zaczęliśmy się zastanawiać, czy się nie pobrać, ale ona miała na to równie niewielką ochotę jak ja, może nawet mniejszą. Rzuciłem wówczas, poniekąd jako dowcip: „Pobierzemy się, kiedy się urodzi dziecko. Najpierw zobaczymy, potem uwierzemy”.

Siedzieliśmy tak z kwadrans w milczeniu obok siebie, słońce zaczęło zachodzić w wielkiej kreacji kolorów pomarańczowego i fioletowego – natura, choć na ogół śmiertelnie się nudzi, jest zawsze gotowa wystąpić jako ilustrator ludzkiego losu. Kiedy nieco później wrzawa cichła w szarym zmierzchu, powiedziałem:

– Pobierzemy się, Claro?

Nie zareagowała. Dopiero po półminucie wolniutko pokręciła przecząco głową.

Przestraszyłem się. W tamtej chwili po raz pierwszy ogarnął mnie strach, że być może także nasz związek obumarł. Czułem się winny, ponieważ nie pojechałem z nią do szpitala, ale czy to był jedyny powód? Powinna była skinąć głową, a potem ewentualnie odwołać; powinniśmy się byli jeszcze bardziej zbliżyć do siebie, wtedy, w tamtej sytuacji na podłodze obok tapczanu, a tymczasem było tak, jakby otworzyła się między nami przepaść. Zdjąłem ramię z jej barków i usiadłem na wprost niej, abym mógł na nią patrzeć.

– Co powiedzieli, co teraz trzeba zrobić?

– Nic. Od razu chciałam cesarskie, ale położna mi to wyperswadowała. Wspaniała człowiek. Powiedziała, że musi się urodzić siłami natury. Będzie to dla mnie pod każdym względem lepsze, nie tylko fizycznie.

– Jak długo to jeszcze potrwa?

– Jeśli nic się nie stanie w ciągu trzech dni, sami pobudzą akcję porodową.

Przez trzy następne dni Twoja matka była żywym sarkofagiem. Minął już rok, ale kiedy o tym pomyślę, nadal wydaje mi się, że otwieram drzwi, a za progiem rozciąga się bezkresny kanion, jak w Rocky Mountains; przewraca mi się w żołądku, muszę się czegoś przytrzymać. Zasadziłem w niej śmierć – patrząc z perspektywy czasu, wciąż się zastanawiam, jak przetrwaliśmy tamte dni. Było oczywiście nie do pomyślenia, abym ją zostawił samą i poszedł do pracy. Chodziła po mieszkaniu z tym grubym brzuchem, siedziała naprzeciw mnie przy stole, leżała obok mnie w łóżku. Mało mówiliśmy. Byliśmy w troje, a jednak we dwójkę; ale świadomość tego, zamiast nas połączyć, rozdzielała nas. Nie miałem odwagi, aby ją zapytać, jak się czuje. Zerkając na nią kątem oka, próbowałem to sobie wyobrazić, ale jak mężczyzna ma sobie to wyobrazić? Nigdy przedtem nie doświadczyłem takiego dystansu między mężczyzną a kobietą. Mogłem to sobie wyobrazić tylko w przybliżeniu, załóżmy, że mam w brzuchu wielki guz, ale taka sytuacja jest akurat przeciwieństwem maminej – taki nowotwór jest niejako z zasady samą śmiercią, przygotowaną dla kogoś, i w jej następstwie sam obumiera, jak kamikadze; Ty zaś byłaś przeznaczona do życia, nie miałaś zabić swojej matki. A teraz Ty jesteś martwa, a mama żyje, chociaż nie wiem, jak jej się wiedzie.

– Pojedziemy za miasto? – spytała drugiego dnia.

Nieświadomie wyraziła dokładnie to, o czym i ja myślałem.

– Dokąd chciałybyś pojechać? Nad morze? Do lasu?

W innej sytuacji dodałbym, że jest to różnica między horyzontalnym a wertykalnym, i że pewnie wybierze morze, ale to nie był czas na takie dywagacje.

Był łagodny dzień północnoeuropejskiego babiego lata, o którym z tęsknotą myślę w tutejszym lepkiem upale. Nad wydymami unosiła się wyjątkowo delikatna mgiełka, jak chuchnięcie na szybie; słabe słońce oświetlało trawy i biały piasek – przejście między zielonym lądem a szarym morzem. Spodziewałem się zastać tu ciszę, co najwyżej pojedynczych ludzi z psami biegającymi wzdłuż linii wody, może jakiegoś jeźdźca, tymczasem promenada była pełna zaparkowanych samochodów. Na plaży również było mnóstwo ludzi. Właśnie odbywały się zawody latawców; z głośników dobiegał agresywny głos, mający oddawać odczucia tłumu. Zapytałem mamę, czy nie wolałaby pojechać raczej w odludniejsze miejsce, ale odparła, że się jej tu podoba. Zaproponowałem jej ramię i zeszliśmy na plażę stromymi schodami po szerokich zapiaszczonych stopniach zakończonych drewnianymi belkami, podniszczonymi i uszkodzonymi morską wodą i słońcem. Usiedliśmy na piasku przy jakimś podupadłym pawilonie plażowym.

Za moich czasów latawce miały kształt, jeśli wolno mi tak powiedzieć, zdjęć USG bądź też przedłużonych sześciątów. Teraz w powietrzu unosiły się olbrzymie stwory, barwne chińskie smoki, długie, srebrzyste węże morskie, które ni stąd, ni zowąd widowiskowo dawały nura w dół, tuż nad plażą podrywały się, aby chwilę potem, wolne, ponownie zawisnąć na dużych wysokościach. Najbardziej podobało mi się kilka czarnych latawców, które na tle bładoniebieskiego nieba wiły się jak pijawki albo plemniki, jakby szukały dokądś drogi.

– Więc ona czegoś takiego nigdy nie zobaczy – odezwała się Clara, wspierając brodę na dłoniach.

Ale też nie *nie* zobaczy, chciałem dopowiedzieć, powstrzymałem się jednak. Siedzieliśmy tak na granicy lądu i wody, mama ze zwłokami w swoim brzuchu. Słowo „zwłoki” brzmi teraz bardzo mocno, lecz wtedy tak pomyślałem; dla mamy to byłaś Ty, jej dziecko. Następne wybrzeże w kierunku wschodnim znajdowało się koło Władywostoku, dziesięć tysięcy kilometrów dalej. Cóż za dziwna myśl nawiedziła mnie w tej chwili? Może to instykt samozachowawczy, jakbym chciał nasze nieszczęście umieścić w większym kontekście, w przestrzeni i czasie, aby się zmniejszyło do drobnego incydentu, który pewnego dnia, kiedy mamy i mnie już nie będzie, zostanie zapomniany. Niewątpliwie tak się stanie, ale czy tym samym zniknie? Oczywiście, że nie. Cierpienia nie można unieważnić. Na wzór innych praw dotyczących zachowania, postuluję teraz Prawo do Zachowania Bólu. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak teologowie mogą twierdzić, że w niebie dusze radują się, szczęśliwe z oglądania Boga. Jak można, na miłość boską, być szczęśliwym po wszystkim, co wydarzyło się w czasie? Niebo byłoby do pomyślenia tylko jako Królestwo Amnezji, to znaczy jako zakład psychiatryczny. Tak, Auroro, dotyczy to nawet Ciebie. Jeśli ktoś jest bez grzechu, a więc uprawniony do oglądania Boga, to na pewno Ty. Ale czy On na Twoje trzydzieste trzecie niebieskie urodziny powiedział Ci, co dzieje się podczas życia na ziemi, którego nigdy nie zaznałaś? Czy też jego matka zlepiła mu wargi klejem dwuskładnikowym?

Nie wiem, chyba upał uderza mi do głowy. Nagle zapadł wieczór, ale wcale nie zrobiło się chłodniej. Spaliny, kłęby dymu z przypalanego mięsa, trąbienie, krzyki, wszystko to niczym parujące orientalne danie wylatuje z miejskiego pieca i wpada do mnie przez okno. Na szczęście piszę na małym komputerze, bo gdybym używał wiecznego pióra i papieru, rękopis dawno przypominałby zatłuszczone bazgroły przedszkolaka.

Z głośników na plaży zaczęła rozbrzmiewać ostra, dudniąca muzyka, podobna do tej, która dobiega z niektórych aut, kiedy z otwartymi oknami zatrzymują się na światłach.

– O czym myślisz? – spytałem.

– O jutrze.



- Czujesz coś?
- W ogóle niczego nie czuję. Chyba pójdziesz ze mną do szpitala?
- Oczywiście.
- Nie masz ważnych spotkań?
- Nawet gdybym miał.
- Dasz mi papierosa?

Przez wszystkie te miesiące nie paliła, nigdy nie wypiła ani kieliszka wina, była na diecie bezsolnej i pilnie wykonywała swoje ćwiczenia gimnastyczne dla ciężarnych. Kiedy podałem jej papierosa, zaciągnęła się głęboko. Zaraz potem zaczęła płakać.

- Co mamy teraz robić, Wiktorze?

Jej cierpienie trafiło mnie w samo serce, może też dlatego, że powiedziała do mnie po imieniu, co zdarzało się rzadko. Kiedy położyła mi głowę na ramieniu, ogarnęło mnie wyzwalające uczucie szczęścia. Czyżbym się co do niej pomylił? Więc może jednak ta katastrofa nie rozdzieliła nas, tylko połączyła, tak jak uczyniłoby to żyjące dziecko? A może do tej chwili nie rozumiałem, kim tak naprawdę była Twoja matka?

– Razem to rozwiążemy – odparłem z policzkiem przytulonym do czubka jej głowy. – Kiedy będziemy mieli to już za sobą, wyjedziemy na kilka dni gdzieś, gdzie jest pięknie. Dokąd będziesz chciała.

Czułem, że skinęła głową. Nadlatując z południa, nisko nad drugą mielizną zbliżały się z hukiem trzy myśliwce, jakby chciały pokazać papierowemu ludkowi, kto tu w powietrzu jest panem. Od morza nadciągała chłodna mgiełka.

Tak nagi jak w tej chwili jeszcze nigdy się nie czułem. Dobranoc, moje dziecko. Spróbuję teraz zasnąć.

*Sobota, 24 września.* – Cały dzień strawiony na posiedzeniu w biurze Wysokiej Rady do spraw Zabytków. Na stronie tytułowej „Al Ahram”, największej tutejszej gazety, miała się ukazać informacja od korespondenta z Beneluksu, który twierdzi, że nasze badania mumii mają wykazać, iż AIDS pochodzi z Egiptu. Hańba! Według korespondenta utrzymujemy ponoć, że już niektórzy faraonowie mieli na to umrzeć. Kalamy heroiczną przeszłość narodu, choć każdy wie, że AIDS do dzisiaj nie występuje w Egipcie. Na domiar złego gazeta odkryła, że ja też odgrywam w badaniach pewną rolę, ja, człowiek, który swoim bluźnierczym eobiontem zamierzał konkurować z Allachem. Nie jesteśmy teamem badaczy, lecz raczej bandą zbrodniarzy na służbie Szatana. A więc panika. Groziło nam cofnięcie licencji; jeśli nie uda się nic załatwić, będziemy musieli porzucić naszą pracę i może nawet zostaniemy wydaleny z kraju. Niekończące się narady, dzwonienie tu i tam, czekanie na urzędników, którzy mają być za godzinę, a potem w ogóle nie przychodzą, nieporozumienia, nieufność. Na szczęście także w Egipcie nie wszyscy jeszcze zwariowali i Jaapowi udało się na jakiś czas zażegnać niebezpieczeństwo. Ale pozostaje nadal pytanie: skąd ów dziennikarz wzięł swoją idiotyczną historię? Od Brocka? Myślę, że on jest zdolny do wszystkiego.

Pozostali siedzą jeszcze w grupie i dyskutują o całej sprawie, ja poszedłem do mojego małego pokoiku w instytucie, usiadłem tu i piszę. Przyłapałem się na tym, że w czasie całego tego zamieszania nadal krążyłem myślami wokół mamy i Ciebie. To za sprawą moich wczorajszych notatek; teraz chciałbym Ci dopowiedzieć ciąg dalszy. Dłuższy czas nie byłem w stanie nawet o tym myśleć, nie popadając w depresję, ale najwidoczniej nadszedł teraz moment, żeby o tym mówić. Robię to nie tylko dla Ciebie, ale również dla siebie.

Dokładnie następnego dnia wystąpiły skurcze i o dziesiątej byliśmy w szpitalu. Zupełnie jakby fale bólu napływały gdzieś z morza bólu w dali i rozlewały się w mamie. Podczas ośmiu godzin żaden nie był identyczny z poprzednim, choć nie potrafię Ci powiedzieć, na czym polegała różnica. Kiedy spróbujesz opisać fale na plaży, nie uda ci się, można je tylko pokazać na filmie. Andy Warhol robił takie rzeczy. Od miliardów lat nie było dwóch takich samych fal. Tak jak tylko potrafiłem, starałem się mamie pomóc, ale ów chorobliwy proces także mnie zżerał od środka.

Od czasu do czasu uciekałem z sali, zostawiając ją pod opieką położnej, którą polubiła, kobiety o indyjskich rysach, w jakiś sposób sprawiającej wrażenie, że ma kontakt z zupełnie inną ginekologią, tą z Indii, gdzie kobiety rodziły dzieci w kucki, trzymając się oburącz wystającej gałęzi. Atrium tej supernowoczesnej kliniki było potężną, niebotycznie wysoką, białą przestrzenią z kwaciarniami, kioskami, restauracjami, wszystko bardzo wesołe, nigdzie ani śladu śmierci, nie martw się, nie ma sprawy, wszystko dobrze się skończy. Ale kiedy trzymając w drżących dłoniach kubek, zacząłem popijać kawę z ekspresu i pogryzać letniego hot doga, musiałem szybko wracać do mamy, przy której zbierało się coraz więcej specjalistów w białych kitlach: tam przychodziła na świat śmierć.

To potworność. Człowiek tak często, inaczej niż zwierzęta, musi rodzić swoje dzieci w bólu; kiedy dziecko się urodzi, ból przemienia się w radość. Ale mamy nie czekała taka neutralizacja. Po skoncentrowanym kwasie solnym nie pojawi się zasada, jako neutralizator, ale skoncentrowany kwas saletrowy: alchemicy nazywali tę mieszanek wodą królewską, *aqua regia*, bo rozpuszcza nawet złoto. Traciłem głowę. Siedziałem obok jej łóżka i ścierałem z jej czoła pot, aż usłyszałem położną:

– Widzę główkę.

Mama też to usłyszała i krzyknęła:

– Mam ją jeszcze! Mam ją jeszcze!

W tej chwili stało się ze mną coś niezrozumiałego. Nagle zacząłem się pocić i drzeć na całym ciele, co mi się przytrafiło zaledwie kilka razy w życiu. Czy to był strach, że zaraz zobaczę potwora – powstałego w efekcie różnych błędów przy przepisywaniu i tłumaczeniu na poziomie DNA? Taką możliwość mama i ja rozważaliśmy z lekarzem. Kiedy powiedziałem, iż powinniśmy się liczyć z tym, że coś jest z Tobą nie w porządku, dla Ciebie jest więc lepiej, że nie żyjesz, powiedział: „Nie, panie Werker, proszę nie mieć takiej nadziei”. Ale gdyby teraz okazało się, że nie tylko byłeś martwa, ale przypominasz monstrum, wówczas wszyscy ci wytrenowani funkcjonariusze wiedzieliby, jak ukryć to przed mamą, zawinęliby Cię szybko w prześcieradło i wywieźli stąd. Ale ja widziałbym wszystko. Prześladowałoby mnie to przez resztę życia. Nagle, ni stąd, ni zowąd, straciłem panowanie nad sobą i wybiegłem z sali.

Dysząc, stanąłem w korytarzu, niewątpliwie powinienem był natychmiast wrócić, ale nie mogłem. Nieco dalej zauważyłem drzwi z napisem *Palarnia*. I chociaż sam jestem zaprzysięgłym palaczem, wchodząc tam, miałem wrażenie, że wkraczam do przedsionka piekła. Niewielkie pomieszczenie wypełniały dziesiątki pacjentów i odwiedzających, którzy w kłębach gęstego dymu w milczeniu zaciągali się jak palacze w palarni opium. Najlepszym ratunkiem na te okropieństwa było samemu zapalić papierosa, ale coś buntowało się we mnie przed dołączeniem do tych nieszczęśników, gromadzących się w owej nowotworowej speluncie, która swe istnienie w sterylnej przestrzeni szpitala zawdzięczała szatańskiej dialektyce. Jedynie na parapecie było wolne miejsce. Nie wiem, jak długo tam siedziałem, może kwadrans, może pół godziny.

Kiedy otworzyłem drzwi, głowy zwróciły się w moją stronę. Jeszcze nigdy się tak nie wstydziłem. Lekarze, rzecz jasna, wiedzieli, kim jestem: wytwórcą eobiontu, światowej sławy twórcą życia, który, gdy w grę wchodzi śmierć, rzuca się do ucieczki. Tylko mama i położna nie spojrzały na mnie. Mama siedziała wyprostowana na łóżku, ponownie przykryta prześcieradłami, a położna podawała jej Ciebie gestem, którym koronuje się królowe. Usunięto Ci już Twoją pętlę, krew i śluz zmyto, a moim oczom ukazało się wzniosłe zjawisko z innego świata. Trzymając Cię na rękach, mama spoglądała na Ciebie jak w scenie piety. Byłaś blada i cicha jak marmur Michała Anioła w bazylice Świętego Piotra. Byłaś wiotka, długa, rozciągnięta, oczy miałaś zamknięte. Także mama była jakby zamieniona w posąg, nie mówiła, nie płakała, miałem wrażenie, że nawet nie oddycha. Podeszedłem do łóżka, ukląknęłam obok niej i położyłem dłoń na Twojej wążutkiej piersi. Byłaś ciepła! Byłaś martwa, a mimo to ciepła! Ale to nie było Twoje ciepło, tylko mamy. Od tej chwili z minuty na minutę stygłaś, aż w końcu osiągnęłaś temperaturę pokojową swojej śmierci. Ledwo otarłaś się o ten świat, Twój tamten świat; teraz przepadniesz w ziemi, której nigdy nie ujrzałaś. Cisza, która od Ciebie emanowała, była cichsza od ciszy: to była wieczna cisza, jaka panuje wśród gwiazd. Popatrzyłem na mamę, ale nie odpowiedziała na moje spojrzenie. Wówczas zauważyłem na jej koszuli, na wysokości piersi, mokrą plamę pochodzącą z kropli jej mleka; powiększała się.

Myślę, że ta kropla mnie zniszczyła. Chociaż nie mogłaś zmarznąć, położna ubrała Cię, a w łóžeczku przykryła kołderką. Dopiero wówczas zrozumiałem, że mama zabrała ze sobą nawet ubranka. Lekarze wychodzili jeden po drugim, mama wzięła prysznic, pocałowała Cię w główkę i w milczeniu poszliśmy we dwoje do domu.

Wkładając klucz do zamka, zdobyłem się na to, by powiedzieć:

– Proszę, nie gniewaj się... ale nie mogłem.

Pokręciła głową, nadal nie patrząc na mnie.

– Rozumiem.

Czy jest do pomyślenia, że od tamtej pory nigdy na mnie nie spojrzała, i to w dosłownym znaczeniu tego słowa? Tego nie wiem na pewno, ale powoli nabieram takiego przekonania. Miałem nieodparte pragnienie posłuchania rekwiem i nastawiłem *Czwartą* Mahlera; zanim usiadłem, przekręciłem jeszcze klucz w drzwiach do pokoju dziecięcego. Mama o tym nie wie, ale od tamtej pory drzwi nie były otwierane. Z jakiegoś powodu nie miałem odwagi tego zrobić. Od czasu do czasu przeprowadzam badania DNA ze skamielin i pewnej nocy śniłem, że w Twoim pokoju siedzi potwór – nie dinozaur, ale olbrzymi ubraniowy mól, żywiący się Twoimi sukieneczkami i lalkami.

Trzy dni później pogrzebaliśmy Cię w małej trumience w tej części cmentarza, która nosi nazwę „Ogródek”. Na nagrobkach tu i ówdzie kwiaty, pluszowe misie i inne zabawki; większość pusta. Pogrzebaliśmy Cię jak człowieka, który nigdy nie oddał ostatniego tchnienia, bo nigdy nie zaczerpnął pierwszego. Umarłaś, nie rodząc się. To jest niemożliwe i tym samym, według wszelkich prawideł logiki, cały świat jest niemożliwy. Ty osiągnęłaś niemożliwe, Auroro.

*Niedziela, 25 września.* – Zamiast poświęcać wolny czas pracy nad *Aurora's Key to Life*, pisuję teraz do Ciebie codziennie. Dzisiaj – znów siedzę przy moim stoliku w Mena House – opowiem Ci o dwóch listach, jakie otrzymałem.

Kilka dni po Twoim pogrzebie poleciliśmy do Marsylii i wsiedliśmy do pociągu do Arles. Ponieważ mama nie mogła lub nie chciała podjąć decyzji i wybrać celu naszej podróży, sam wybrałem to bajkowe małe miasto nad Rodanem; byłem tu kiedyś jeszcze w czasach studenckich. Miałem złudną nadzieję, że piękno może się zmierzyć z naszym nieszczęściem; teraz myślę o tym inaczej. Piękno rządzi nie tylko sztuką, lecz także nauką, techniką, sportem, niemal wszystkim, o czym sobie pomyślisz; według niektórych nawet wojną. Ale na osobisty ból nie ma estetycznego leku, tak samo jak guz nowotworowy nie znika od patrzenia na autoportret van Gogha czy od słuchania *Czwartej* Mahlera. Wydaje się, że tylko wiara jest w stanie, może nie tyle znieść amorficzny smutek, ale przynajmniej nadać mu jakąś formę. Jednak mamie i mnie brakowało chyba talentów religijnych.

W Arles nie trzeba długo szukać kościołów, tych maszyn do przerabiania smutku. Najpiękniejsza jest oczywiście średniowieczna katedra Saint Trophime, którą zwiedzaliśmy na Place de la Republique z obeliskiem. Tylko że jej celem nie było być piękną, funkcjonowała raczej jako przedsiębiorstwo przeładunkowe emocji, gdzie cierpienie jednostki jak mała rzeczka rozplywa się w niezmiernym oceanie Chrystusowego cierpienia i konania. Kto podziwia świątynię tylko ze względu na jej piękno, jak prawie każdy, kto był tam w środku, z wyjątkiem kilku starych kobiet, daje tym samym świadectwo, że utracił Boga.

Chciałem to wszystko powiedzieć mamie, ale tak zamknęła się w sobie, że nie miałem szans. W milczeniu chodziliśmy przez pierwsze dni po kościołach, klasztornych dziedzińcach i kolosalnych rzymskich ruinach, arenie, amfiteatrze, w milczeniu siedzieliśmy wieczorem w restauracji naprzeciwko siebie – a moje myśli wracały do tamtego popołudnia na plaży, kiedy położyła głowę na moim ramieniu. Wydawało się, że nic nie pozostało z tamtej chwili, ale o tym też nie mogłem mówić. Następnego dnia przy śniadaniu powiedziała, że chciałaby to przedpołudnie spędzić sama, że powinienem sobie znaleźć zajęcie, a spotkamy się znów w hotelu w porze lunchu. Zrobiło mi się przykro, ale oczywiście miała do tego prawo. Było ciepłe babie lato, więc włączyłem się po mieście, zaszedłem do muzeum, wypilem na tarasie kawę i na ławce na nabrzeżu patrzyłem na Rodan, rzekę pomiędzy gęsto zarośniętymi, zwisającymi, uroczymi brzegami, na jej lśniący prąd i wiry. Od czasu do czasu widać było dryfujące suche gałęzie – przypominały poroża jeleni spacerujących po dnie. Czy to nie piękno, ponadczasowe piękno natury, niestworzone ludzkimi rękami, w którym można odnaleźć pocieszenie?

Kiedy wróciłem do hotelu, mama już wyjechała. Jej część szafy była opróżniona, nie było walizki, paszport i bilet zniknęły. List od niej leżał na małym stoliku pod oknem, które wychodziło na kameralny prostokątny Place du Forum. Nie mam tego listu przy sobie, ale znam go na pamięć:

*Kochany Wiktorze*

*Przykro mi, ale nie potrafię inaczej. Próbowałam, lecz mi się nie udaje. Odchodzę od Ciebie i już nigdy nie wrócę. Powodem jest Twoja nieobecność przy narodzinach Aurory, to, że zostawiłeś mnie samą. Powiedziałam, że to rozumiem, i tak faktycznie jest, nie mogę sobie jednak z tym dać rady. Ja nie mogłam uciec. Gdybyś został, moglibyśmy to wspólnie rozwiązać jak powiedziałeś, ale teraz się już nie da. Coś zostało doszczętnie popsute. Nie miej do mnie żalu, nie potrafię dobrze wyrazić co czuję. Przeżyliśmy razem piękny czas, ale to na zawsze minęło. Przyrzeknij mi że nie będziesz do mnie dzwonić abym wróciła, bo to nie ma sensu. Poproszę mojego brata, aby skontaktował się z Tobą i uzgodnił datę zabrania moich rzeczy. Uważaj na siebie.*

*Clara*

Zupełnie jakby mi ktoś dał w twarz. Tam, w pokoju w Arles, zrozumiałem, że popełniłem kardynalny błąd mojego życia. Odeszła. Najpierw Ty, teraz ona. Nie byłem w stanie pohamować szloch. Rzuciłem się na łóżko i przez dziesięć minut żal miotał mną jak burza koroną drzewa. Potem zadawałem sobie pytanie, czy miało to związek z odejściem mojej matki, kiedy miałem osiem lat. Wówczas, o ile mogę sobie przypomnieć, nie miało to dla mnie takiego znaczenia; może więc tamta żalność dopiero przy tej okazji znalazła ujście. No dobrze, wystrzegam się takich psychoanalitycznych rozrząsań, bo wtedy nic nie będzie już tym, czym jest.



Co teraz? Też natychmiast wyjechać? Czego miałem szukać we Francji? Aby przepędzić krew z głowy do żołądka, poszedłem do restauracji naprzeciwko i zjadłem obfity posiłek składający się z najróżniejszych potraw *à la provençale*, wypilem przy tym butelkę gigondas, a do kawy jeszcze dwa armaniaki. Przypominam sobie, że przy sąsiednim stoliku siedziała tleniona Amerykanka po faceliftingu: wyglądała na pięćdziesiąt lat, lecz mimo wszystko można było dostrzec, że ma osiemdziesiąt. Nieco podпиты poszedłem na miasto i wróciłem. Jak to się stało, nie wiem, ale w pewnym momencie znalazłem się na Les Alycamps. Byłem tu już podczas poprzedniego pobytu w Arles, dwadzieścia lat temu; ale teraz postanowiłem, że nie pójdę tam razem z mamą, żeby się tym nie przejęła. Jest to jedno z najbardziej tajemniczych miejsc na ziemi, podobnie jak to, gdzie teraz siedzę i piszę. Okazała, prostą aleję po obu stronach okalają sarkofagi, jeden za drugim niczym statki oczekujące przed śluzą, tu i ówdzie szereg przerywają nagrobne pomniki i kapliczki, całość oceniają filigranowe drzewka. Nekropolia pochodzi z czasów rzymskich, wówczas nazywała się Elysii Campi, Pola Elizejskie, na których bawią błogosławieni; potem zniekształcono nazwę na Alycamps. Dante wspomina o nich w Dziewiątej Pieśni swojego *Inferno*, pisząc, że groby są tu piekielnie gorące od płonących pomiędzy nimi ogni, a w *Orlando furioso* Ariosto każe swojemu Szalonemu Rolandowi właśnie na tych Champs Élysées wyrzynać Saracenów, co się w przyszłości, miejmy nadzieję, powtórzy, gdyż nic nigdy nie mija. (Ci sami Saraceni, według ich własnej rachuby, żyją teraz na początku piątego wieku, więc to by się zgadzało.) Miejsce jest tak święte, że w średniowieczu biedacy z północy spławiali zwłoki swoich drogich zmarłych w sosnowych trumnach, aby wodami Rodanu dotarły do Les Alycamps.

Jak widzisz, piszę o tym bez oporów, minął rok i moje informacje byłyby na miejscu nawet w przewodniku turystycznym, wtedy jednak czułem się całkowicie zagubiony. Niedaleko od pomnika ku czci van Gogha, który często tu przychodził malować, oparłem się o sarkofag pozbawiony wierzchniej płyty, leżały tam niedopałki i puszki po coca-coli, wokół mojej głowy krążyła mucha, przyciągnięta panującą w niej furią. Co miałem, na Boga, począć? Nie była to tylko bezradność, bo opuściła mnie kobieta; ważniejsze, że Ty zostałeś wymazana gruntownie, a ja miałem w tym swój udział. Z kim mogłem jeszcze o tym teraz porozmawiać? Jak miałem naprawić to, co jej wyrządziłem? Pisała, że coś zostało doszczętnie popsute, i miałem przyrzec, że nie będę już do niej dzwonić. Więc tego też nie będę robić – a w takim razie co? Musiało być przecież jakieś wyjście, droga okrężna, tylne drzwi!

Kiedy następnego dnia przyjechałem do domu, jej brat, Twój wuj Karel nie przystąpił jeszcze do działania. Wszystkie jej rzeczy były w dalszym ciągu na miejscu, ale inaczej niż zazwyczaj: zupełnie jakby i one umarły. Jej piękna sekretera w stylu empire, z czworokątnymi kolumnkami po obu stronach kłapy, zwieńczona brązowymi główkami kobiet, u dołu zakończona nóżkami z brązu; rysownica ze szkicami, przy której często jeszcze wieczorami pracowała, i wszystkie inne przedmioty porozkładane po pokojach. W płaszczu, mając na kolanach mnóstwo poczty wyjętej właśnie ze skrzynki, usiadłem na tapczanie i patrzyłem na to wszystko. Mój wzrok padł na drzwi do Twojego pokoju i przekreślony klucz w zamku. Więc teraz sam będę musiał żyć z tym zakazanym miejscem. A może powinienem je natychmiast opróżnić? Zatrzeć wszelki ślad?

Wrzuciwszy do kosza różnokolorowe bzdury na błyszczącym papierze, posortowałem gazety, czasopisma i listy. Jedna z kopert od razu mi się nie spodobała: najtańszy asortyment, bez nadawcy, adres nabazgrany długopisem *Wielce Szanowny Pan W. Werker*. Także tego drugiego listu nie mam przy sobie, ale również znam go na pamięć. Na kartce papieru krzywo wyrwanej z zeszytu w linie ktoś napisał wielkimi literami:

*Gratulacje! Czy teraz jesteś zadowolony? Zapłaciłeś za eobiont własnym dzieckiem. Oko za oko, ząb za ząb! Wkrótce przyjdzie kolej na ciebie, gnoju!*

I tyle. A ja nie mogłem oderwać wzroku od tych kilku zdań. Kto mógł być tak podły? Naturalnie najpierw pomyślałem o Brocku: czyżby rzeczywiście upadł aż tak nisko? Charakter pisma nie był jego, ale nieporadność była tu najwidoczniej celowa; jest leworęczny, może napisał to prawą ręką. Czy miałem pójść z tym na policję? Grożono mi, co samo w sobie jest przestępstwem, a kto wie coś o przestępstwie, jest zobowiązany to zgłosić, inaczej staje się współodpowiedzialny. Współodpowiedzialny własnej śmierci! Tylko że musiałbym powiedzieć, kogo podejrzewam – a gdyby okazało się, że to nie on? Dopiero wówczas miałby motyw, by mnie zamordować.

*Poniedziałek, 26 września.* – Dziś rano przyszedł faks od Twojego mlecznego wuja Alberta Dodemonta. Historia o nadmiarze mleka babci kompletnie go zaskoczyła; ich matka nigdy im o tym nie mówiła. Każdej jesieni on, jego australijski brat Marnix i jego kanadyjski brat Sjoerd spotykają się u jednego z nich. Tym razem w Haarlemie; zaproponował więc, abyśmy się zobaczyli w przyszłym miesiącu. Zaproszę ich do siebie do Amsterdamu. Jestem strasznie ciekaw!

Siedzę tu już ponad trzy tygodnie, ważność naszych koncesji wygasa, dlatego w ostatnich dniach trzeba będzie bardzo intensywnie pracować, nie będę więc miał czasu na moje notatki. Ale Ty dowiedziałas się właściwie wszystkiego. Chętnie pojeździłbym jeszcze po tym fantasmagorycznym kraju i zdał Ci relację, tym razem jednak już nic z tego nie będzie.

Dopiero dziś w południe zobaczyłem po raz pierwszy Sfinksa. Wyobraź sobie: trzy tygodnie w Egipcie i nie widzieć Sfinksa! To tak jakby ktoś wrócił z nieba i powiedział, że nie widział Boga. Za dużo zajęć. Za mało czasu. Ale dziś w południe, zanim udałem się do Mena House, wygospodarowałem parę chwil i poszedłem tam; dziesięćminutowy spacer.

Jak człowiek ma mówić o milczeniu? Niczym olbrzymi złocistobrazowy jamnik z wyciągniętymi przednimi łapami, długi na pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów, wysoki na dwadzieścia, rozciągnął się w słońcu przed piramidą Chefrena. Za nim już tylko pustynia. W odróżnieniu od greckich sfinksów jest rodzaju męskiego i ma twarz faraona. Nos zniknął, odstrzelony, o ile sobie przypominam, zrobili to swawolni artylerzyści Napoleona, wygląda więc teraz jak bokser. Przykro mi, ale znów będzie Hegel, który moim zdaniem wypowiedział o tej istocie ostatnie słowo: *Symbol symbolicznego*. W Grecji sfinks daje zagadki („Jaka istota chodzi rano na czterech nogach, w południe na dwóch, a pod wieczór na trzech?”). Tutaj sam jest zagadką. Stałem, przyglądając mu się przez dobre pół godziny, zapadał krwawy zmierzch, konie i wielbłądy wzbijały różowy piasek pustyni w powietrze, które drżało od upału, gdzieś w dali wzmocniony elektronicznie żałosny głos muezina wzywał do wieczornej modlitwy. „Człowiek”, brzmi klasyczna odpowiedź Edypa, ale tu nie usłyszałem żadnego podobnego uogólnienia. „Poznaj siebie samego”, głosi grecki napis w świątyni delfickiej wyroczni („Zaprzec samemu sobie”, mówią kawałek dalej, po drugiej stronie Indusu, gdzie Aleksander zakończył swój marsz), tutaj naszła mnie jeszcze bardziej niepokojąca zagadka. Załóżmy, że w końcu zna się siebie, że jesteś taki a taki, potem jednak pojawia się finalne pytanie: dlaczego? Dlaczego jesteś tym a tym? Ponieważ twoje DNA wygląda tak, a nie inaczej? Ale dlaczego wygląda tak, a nie inaczej? Oto pytanie, którym jest sam Sfinks, i nie ma odpowiedzi. W ten sposób definitywnie wylądowałeś na pustyni. W ten sposób możesz umrzeć z pragnienia.

KING DAVID HOTEL  
JERUSALEM

*Sobota, 1 października 1994*

Jeszcze szybko postscriptum o zemście faraona! Dopiero co tu przyjechałem, moja walizka leży na łóżku nierozpakowana. Jutro mam spotkanie z kolegą z Uniwersytetu Hebrajskiego, dzisiaj jest szabas i spoglądam na Stare Miasto: piaskowozółta fatamorgana kopuł i kościołów nieruchomo rozpostarta na wzgórzach w złotym świetle wieczoru.

Dziś rano na lotnisku w Kairze przez dziesięć minut ostro przepytawał mnie izraelski agent bezpieczeństwa. Leciałem maszyną El Al, to znaczy obiektem budzącym szczególnie zainteresowanie niektórych palestyńskich ugrupowań. Kiedy po ładnym skręcie w prawo znaleźliśmy się nad Morzem Śródziemnym, puszczono jakiś film; w samolocie nie było tłoczno, większość pasażerów spuściła zasłonki na swoich oknach, ale ja patrzyłem na zewnątrz, gdzie można było obejrzeć ładniejszy film. Na moich kolanach leżała *Alice's Adventures in Wonderland*, bo szukałem cytatów do *Aurora's Key to Life*. Nagle z silnika wystrzelił długi na dwa metry płomień. Cały zdrętwiałem, choć nie daję się łatwo przestraszyć, Auroro. Pomarańczowy ogień łopotał niczym infernalna flaga szarpana orkanem, a ja byłem jedynym, który to dostrzegł! Ponieważ wiedziałem, że nie wolno mi wywoływać paniki, naciśnąłem guzik, by przywołać stewarda. W milczeniu pokazałem na zewnątrz. Pochylił się, patrzył przez chwilę i pośpiesznie poszedł do przodu maszyny w kierunku kokpitu. Nie minęła minuta, a już był z powrotem i nie zwracając na mnie uwagi, usiadł na pustym miejscu przede mną; najwidoczniej wypełniał rozkazy dowódcy, żeby nie spuszczać oka z pożaru. W silniku coś trzasnęło i wybuchło, i płomień zgasł, ja jednak nie miałem czasu ochłonać, gdyż nieco później na tle spokojnego morza ponownie pojawił się płomień. Zacząłem się pocić ze strachu. Palestyńczycy! Nigdy przedtem nie czułem śmierci tak blisko, każdej sekundy mogła się pojawić w postaci kuli płonącej benzyny lotniczej, wielkiej jak samolot. Podczas gdy wszyscy spokojnie oglądali film, ja drżącymi rękoma wrywałem ostatnią niezadrukowaną kartkę z książki Carolla i pośpiesznie kreśliłem ołówkiem krótki liścik pożegnalny do mamy, potem złożyłem go i wsunąłem do kieszeni na piersiach, aby można go było znaleźć, jeśli coś ze mnie zostanie wyrzucone na jakiś brzeg.

Nad ogniem udało się jednak zapanować, nikt nic nie zauważył, ale gdybym i ja był amatorem filmów, najprawdopodobniej bym tego nie przeżył. List spoczywa jeszcze w mojej kieszeni na piersiach, ale teraz wyjmę go i z uczuciem zażenowania przepiszę dla Ciebie:

*Kochana Claro!*

*Silnik pali się. Moje ostatnie myśli są przy Tobie. Proszę Cię o przebaczenie.*

---

## AKTA C ROZMOWA

---

*Ktoś musiał [...] go przeżyć.*

Franz Kafka, PROCES

# Zeszyt ósmy

## Wieczór

Clara spogląda na niego z nieprzeniknionym uśmiechem. Ma na sobie białą szatę i siedzi w rozkroku przed Grotą Edypa w cieniu skały u stóp Akropolu; w dłoni trzyma jabłko. Podczas wakacji w Grecji poszedł z nią tam z ciekawości, żeby zobaczyć, czy znajdzie Beę, swoją poprzednią przyjaciółkę, którą niegdyś przekazał swemu cyklopowemu ojcu, ale wszystkie grotły były opuszczone.

Dzwonek u drzwi wejściowych na dole przestraszył go. Idąc do domofonu w korytarzu, wyciera oczy i spogląda na zegarek: siódma. Punktualnie.

– Tak?

– Pan Werker? Tu Dinner Service.

– Proszę wjechać windą na piąte piętro, wyjdę panu naprzeciw.

Nikt nie jest w stanie odnaleźć drogi w przebudowanej neogotyckiej bazylice, gdzie mieszka. Olbrzymią przestrzeń, w ostatniej chwili ocaloną przed rozbiórką, wypełniają w bocznych nawach na parterze sklepy, kawiarnie, galerie, kino, kręgielnia, świetlica, w dawnej sali parafialnej jest mały teatr, w zakrystii winiarnia, w krypcie dyskoteka; jest jeszcze Mirafiori, włoska restauracja, gdzie jada kilka razy w tygodniu. Wyższe piętra z okazałym systemem podpór, filarów i kolumn pomalowanych na różne kolory zostały podzielone na dziesiątki mieszkań, zasiedlonych przez zamożnych lokatorów, ale wynajmowanych również na biura małych wydawnictw i agencji reklamowych, zespoły adwokatów-idealistów, biura konsultingowe, redakcje marginalnych czasopism i tajemnicze przedsiębiorstwa o nazwach takich, jak „Interhabitus b.v.”, potocznie zwane „grabieżcami”; wszystkie one skupiły się głównie w masywnej wieży, nad skrzyżowaniem nawy głównej i transeptów, gdzie podwieszono srebrzysty plafon.

Wyłącza Mahlera, bierze telefon i idzie w stronę wind, stąpając po lustrzanej posadzce holu, na który wychodzą jasnoczerwone drzwi osadzone w portalach ze skrzyżowanych aluminiowych oźbrowań, przez efektownie zagmatwane schody, wewnętrzne podesty i kładki, wszystko zrobione z metalowych elementów jakby żywcem wziętych z układanki „Mały inżynier”. Windy suną niczym jaskrawo niebieskie chrabąszcze wte i wewte po ścianie wielkiego szybu, który niczym dusza całej budowli rozciąga się od absydy do przeszklonego sklepienia – jego wsporniki pomalowano krzykliwą żółcią, w czym można rozpoznać rękę Clary. Tu i ówdzie z półkolistych występów pomiędzy witrażami strzelają smukłe drzewa, w paradoksalny sposób nadające tej sztucznej aranżacji pozory świata zewnętrznego.

Wysoki, subtelny kelner ubrany jest we frak z czarną muszką, jak przystoi służącemu. W każdej dłoni dzierży stos błyszczących garnków, na powitanie grzecznie się skłania i przedstawia jako „Frank”. Wiktor już się trochę przyzwyczał, że nazwiska nie są dopowiadane, choć miał z tym niejakie kłopoty; dawniej zwyczaj ten panował tylko w świecie przestępczym. Widać cały świat zmienia się w świat przestępczy. Jego uwagę zwracają błyszczące, rozbiegane oczy Franka: jak czarne kałuże w parku, pozostałe tam po oberwaniu chmury; jego gęste, ciemne włosy przepołowione są równym przedziałkiem, ukazującym białą skórę głowy – zupełnie, przychodzi Wiktorowi na myśl, jakby pedantyczny kat wyznaczył sobie miejsce na topór, którym ma rozplątać tę czaszkę. Kelnerowi towarzyszy kobieta o surowej, pustej twarzy, jawnie obnosząca swą pustkę. Z jej plecionego koszyka wystają bagietki. „Felia”, przedstawia się, podając wiotką, wilgotną dłoń.

– Pokażę wam kuchnię.

Kładą swe pakunki na kuchennym blacie; pokazuje im drogę do swojego apartamentu, położonego w najpiękniejszej części transeptu. Od dnia kiedy brat Clary zabrał jej rzeczy, jasny salon sprawia wrażenie podupadłego. Białe półki na książki zapełnione są tylko w połowie, a po jaśniejszych plamach na ścianie widać, gdzie co wisiało. Została jeszcze tylko sekretera Clary. Ogląda tutaj właściwie jedynie telewizję, wieczorami, przy kieliszku wina.

– Czy tu mamy podawać? – pyta Frank, pokazując okrągły stół.



– Nie, to raczej coś dla domowników. A dziś wieczorem na kolacji będzie czterech mężczyzn.

Nie uchodzi jego uwagi, że Frank przystaje na progu wielkiej pracowni, gdzie on spędza większość czasu. Jako kelner wysyłany do prywatnych mieszkań widział już niejedno umeblowanie, ale czegoś podobnego pewnie jeszcze nie spotkał, jest przy tym zarazem na tyle wrażliwy, aby to spostrzec. Wystrój tego pomieszczenia różni się diametralnie od poprzedniego, do którego rękę przyłożyła Clara. Całą powierzchnię podłogi pokrywa ciemnoczerwona wykładzina, na której nawet kałuża krwi nie zwróciłaby uwagi; kilka perskich kobierców przełamuje tę czerwoną powódź, ściany są obite ciemnym drewnem. Wysokie regały na książki zajmują całą ścianę i są wypełnione tylko książkami, które mają związek z jego pracą; papierowe obwoluty zdjęto, dzięki czemu widać ciemnoniebieskie i zielone tomy Oxfordu i Harvardu oraz innych uniwersyteckich wydawnictw. Na niektórych półkach i na kilku długich stołach leżą manuskrypty, zeszyty z notatkami i fotokopie w przejrzysty sposób pogrupowane w sterty. Tu pracowała dłoń, która albo nie zna chaosu, albo potrafi mu się przeciwstawić. „Udało mi się – powiada – przedłużyć życie o dobrych kilka lat, ponieważ nigdy nie muszę niczego szukać”. Wiszą tu tylko czarno-białe szkice i grafiki, jakby w tym wykwintnym pomieszczeniu wystrzegano się najmniejszych śladów frywolności. Na biurku z małym czarnym komputerem panuje porządek, choć bez przesady; stoi tam też małe marmurowe popiersie Hermesa, na którego lewym barku spoczywa dziecięca dłoń zaginionego małego Dionizosa, pewnie niósł go na własnych odłamanych rękach. Obok starożytny „jad” z kości słoniowej, oprawny w srebro, w kształcie dłoni z wyciągniętym palcem wskazującym, służący przy lekturze Tory do pokazywania słów, których nie można dotknąć, co w stechnicyzowanym świecie powróciło pod postacią kursora na ekranie z ciekłych kryształów. Na krawędzi biurka leży podłużna, makabryczna paczuszka z szarobrązowego płótna, które niegdyś pewnie było śnieżnobiałe: jest to, jak wykazały zdjęcia rentgenowskie, mumia małego niemowlęcia.

Taki pokój wymarzył sobie już jako uczeń gimnazjum – miał wtedy szesnaście lat i żywił głębokie przekonanie, że pewnego dnia otrzyma Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury. Na kartkach notatnika w linie rysował wówczas plan pracowni pisarza, jaką pragnął mieć w przyszłości. Urządzając pomieszczenie, chciał stworzyć właśnie taką atmosferę, jaka tu teraz panuje, choć pokój nie powstał jako rekonstrukcja planów, o których tymczasem i tak zapomniał. Ale kiedy kilka lat temu dzięki Clarze zamieszkał tu i urządził sobie pokój, spostrzegł pewnego dnia, że zrobiła się z tego jego dawna idealna pracownia: wszystko było na swoim miejscu i wydawało się, że on sam ma wszystkie te rzeczy, które były potrzebne, aby uczynić z tej przestrzeni odbicie własnej duszy.

Wskazuje kwadratowy stół z teczkami i faksem.

– Tam będziemy jeść. Odpowiednie krzesła przyniesiemy z salonu.

Sprzątnąwszy ze stołu, przystaje z rękoma w kieszeniach przed okazałym oknem, utworzonym przez górną część wielkiego gotyckiego łuku, którego dolne partie znikają w podłodze i dostarczają światła niższym piętróm. Niebo jest zachmurzone, nad dachami unosi się chłodna jesienna mgła; pada. Bracia Dodemont przyjdą o wpół do ósmej, tak jak, będąc jeszcze w Egipcie, uzgodnił to z haarlemskim Albertem; potem wprawdzie okazało się, że nie całkiem mu to pasuje, ale i tak dzisiaj była jedyna możliwość spotkania. Nie może wykluczyć, że zadzwonią do niego ze Sztokholmu, a po tym telefonie może mieć inne rzeczy w głowie. Pojutrze ogłaszają laureatów Nagrody Nobla; dziś i jutro fizycy, chemicy, biologowie i pisarze na całym świecie będą siedzieć w domu i zerkając jednym okiem na milczący aparat, będą się starali uspokoić nerwy lekturą gazety. Przed domami pisarzy, którzy są niekwestionowanymi faworytami, już teraz koczują ekipy telewizyjne, pragnące jako pierwsze dopaść laureata, jeśli to na niego przyjdzie teraz kolej, albo – gdy radio poda, że kto inny zgarnął kasę – westchnąć, spakować manatki, zostawiając biednego kandydata w roli tego, kto po raz kolejny *nie* otrzymał Nobla. Zostanie mu na pociechę to, że należy do wyjątkowo doborowego towarzystwa, od Tołstoja, Prousta i Valéry’ego, do Joyce’a i Borgesa. Ale załóżmy, że on sam okaże się wybrańcem losu – co wówczas zrobi Brock?

Kiedy za jego plecami odziana w biały fartuch Felia nakrywa stół, zaczyna zadawać sobie pytanie, o czym właściwie ma rozmawiać z tymi trzema mężczyznami. Nagle przychodzi mu do głowy pomysł. Posłuży się nimi jako rodzajem sądu, który wyda orzeczenie w sprawie jego stosunków z Clarą – ona zresztą mimo jego trzech listów nadal milczy. Zna wprawdzie kilka osób, z którymi też mógłby o tym porozmawiać, ale zna je tak dobrze, iż z góry wie, co powiedzą. Może z większą pomocą przyjdzie mu kilkusobowy trybunał niezależnych sędziów.

Kiedy tuż po wpół do ósmej dzwoni dzwonek, a grobowy głos mówi mu wprost do ucha „Dodemont”, raz jeszcze zabiera ze sobą telefon i idzie do windy. Skrzyżowawszy ramiona, czeka. Kiedy drzwi się otwierają, musi się powstrzymać, by nie wybuchnąć śmiechem. To, co tam widzi, nie może być prawdą! Trzech mężczyzn, z których jeśli opisze się jednego, to opisało się wszystkich: krępi, niemal o głowę niżsi od niego, surowo wymodelowane, w pewnym sensie proletariackie twarze, niebieskie oczy, cienkie, proste i płowe włosy zaczesane znad skroni ku górze w celu zamaskowania łysego placka na czubku głowy. Mają na sobie ciemnoszare garnitury, brązowe buty i tylko ich klubowe krawaty różnią się nieco wzorem. Aby ułatwić sprawę reszcie ludzkości, noszą w klapach srebrne szpilki, jeden z literą *A*, drugi z literą *M*, trzeci z literą *S*.

- Bracia! – mówi Wiktor i rozwiera ramiona. – Witajcie! Jestem Wiktor Werker.
- Albert.
- Marnix.
- Sjoerd.

Potrząsają dłońmi na powitanie i przyglądają się sobie z zaciekawieniem. Nawet ich głosy mają podobny tembr, jak gdyby w ten sposób miało zostać wzmocnione znaczenie ich nazwiska. Australijski Marnix i kanadyjski Sjoerd mają akcent angielski, choć nieznaczny, więc nie snobują się. Wiktor zauważył już dawniej, że ludzie mieszkający pięć lat w Ameryce wracają niekiedy z ciężkim amerykańskim akcentem, tymczasem ludzie, którzy byli pięć lat w Niemczech, nigdy nie wracają z akcentem niemieckim. Na przykład w niderlandzkim jego matki, która od wielu lat mieszka w Ameryce, nie słyhać nic amerykańskiego. Może oprócz snobizmu rolę odgrywa tu również muzykalność.

Każdy z nich wręcza mu jako prezent karton mleka; bierze je, aprobująco szczerząc zęby. W pracowni rozlokowują się na kanapie i fotelach, a gdy Frank nalewa szampana, Wiktor czuje się w obowiązku złożyć wyjaśnienie. Nie ma pojęcia, jak to powie, ale z doświadczenia wie, że trzeba zacząć mówić, a treść przyjdzie sama. Podnosi kieliszek i odzywa się:

– Tak, moi panowie, więc zebraliśmy się tu. Myślę, że żaden z nas nie wie, kto z naszej czwórki jest najstarszy, proponuję zatem, abyśmy wszyscy mówili sobie po imieniu. Znamy się, że się tak wyrażę, wystarczająco długo. Kiedy na początku tego roku moja matka powiedziała mi o waszym istnieniu, otworzyłem usta ze zdziwienia.

– Tak jak i my wtrąca – Albert – kiedy usłyszeliśmy o tobie. Nasza matka nigdy nam o tym nie wspominała. Umarła kilka miesięcy temu.

– A wasz ojciec?

– Właściwie go nie znaliśmy. Matka wyjechała z nami, kiedy mieliśmy około sześciu lat. Zdaje się, że kilka lat później zginął w tragicznych okolicznościach, ale pewnie nigdy nie poznamy szczegółów.

– A twoja matka jeszcze żyje?

Wiktor orientuje się po szpilce, że głos zabiera Marnix.

– Tak, tak. Ma teraz sześćdziesiąt siedem lat.

– Czy przyjdzie dziś wieczór? Moglibyśmy wówczas podziękować jej za hojne dary.

– To będzie trudne, mieszka w San Francisco.

– Masz może jej zdjęcie?

– Oczywiście.

Wiktor wstaje i wyjmuje z regału album, odziedziczony po ojcu. Otwiera tam, gdzie jest zdjęcie ich trojga. *W ogrodzie zoologicznym Artis, 1956*, dopisał obok ojciec. Rok urodzenia Clary. Przychodzi mu na myśl, że może jej pepowinę przecięto dokładnie w tym samym momencie, kiedy to zdjęcie robił im jakiś uczynny przechodzień. W tle za kratami skrada się pantera.

– Piękna kobieta – kiwa głową Marnix. – Czy twój ojciec jeszcze żyje?

– Umarł dwanaście lat temu.

Spogląda na ascetyczną postać z czarną przepaską na oku. Kiedy się ogląda zdjęcie kogoś, kto umarł, człowiek się zastanawia, czy widzi żywego, czy umarłego.

– Kim był z zawodu?

– Żołnierzem. A wasz?

– Przedsiębiorcą.

Wiktor chce zapytać, czy też mają przy sobie zdjęcie rodziców, ale coś go powstrzymuje. Od patrzenia na te trzy krople wody kręci mu się trochę w głowie, jak w gabinecie luster. Nie ma znaczenia, który z nich i co mówi, równie dobrze mógłby powiedzieć to każdy inny. W nie tak znów dalekiej przyszłości, myśli, będzie się robić w laboratorium tysiące klonów albo setki tysięcy, albo miliony. Próbuje sobie wyobrazić, że sam jest jednym z jednojajowych trojaczków wyglądających dokładnie tak jak on, ale nie jest w stanie nawet wyobrazić sobie, że mógłby być jeszcze ktoś inny z tych samych rodziców co on.

– Znamy to spojrzenie, którym teraz na nas patrzysz – mówi Marnix.

– Nie wątpię – odpowiada Wiktor z uśmiechem. – Nie bierzcie mi tego za złe, ale to niewiarygodne. Zresztą to poniekąd nawet mój fach, a na tę okoliczność dodatkowo się przygotowałem. Statystycznie na osiemdziesiąt pięć porodów zdarza się jeden bliźniaczy, prawdopodobieństwo urodzenia się trojaczków wynosi osiemdziesiąt pięć do drugiej potęgi, czworaczków osiemdziesiąt pięć do trzeciej potęgi i tak dalej. Jeśli pominąć zagadkową liczbę osiemdziesiąt pięć, to raz na ponad siedem tysięcy porodów mamy trojaczki, ale powstają one na ogół z dwóch lub trzech zapłodnionych jajeczek. Kiedy tak na was patrzę, mam wrażenie, że jesteście jednojajowymi trojaczkami.

– Prawda – mówi Sjoerd.

– A to się niemal nie zdarza.

– Wiemy. Ale dla nas to nie był powód, żeby tego nie zrobić.

Ci faceci są weseli. Wiktor zaczyna odczuwać jakieś pokrewieństwo z nimi, nawet jeśli przypisuje je tylko wspólnemu mleku matki.

– A ty czym się zajmujesz? – pyta Albert. – Twój faks z Kairu był na niezwykle interesującym papierze listowym.

Najwidoczniej nie śledzą w mediach wieści ze świata nauki. Opowiada im więc w skrócie, co robi, ale pomija eobiont, na co Sjoerd albo Marnix, albo Albert mówi, że oni wszyscy zajmują się książkami. Albert jest typografem w Haarlemie, o czym już wiedział, Marnix drukarzem w Sydney, Sjoerd grafikiem w pewnym wydawnictwie w Toronto.

– Książki tkwią najwyraźniej w genach – kiwa głową Wiktor. – Co mnie dziwi, gdyż geny były przed książkami. Chociaż – dodaje, wykonując ręką nieokreślony gest – geny to też rodzaj książek.

Bierze ze stołu ksero i podczas gdy Frank uzupełnia kieliszki, mówi:

– Zresztą w literaturze fachowej spotkałem się z czymś szczególnym, może was to zainteresuje, chodzi o mężczyznę, który z dwóch małżeństw miał osiemdziesięcioro siedmioro dzieci. Z pierwszą żoną cztery razy czworaczki, siedem razy trojaczki i sześć razy bliźniaki; z drugą żoną dwa razy trojaczki i szesnaście razy bliźniaki. Wyobraźcie to sobie – mówi, podnosząc wzrok znad kartki. – Osiemdziesięcioro siedmioro dzieci! Osiemdziesiąt siedem razy wymyślanie imienia!

– Ty masz dzieci? – pyta Sjoerd.

Wiktor odkłada ksero, krzyżuje ramiona i patrzy na wielki kieliszek do koniaku, stojący na samym środku okrągłego, niskiego stolika i wypełniony po brzegi bezużytecznymi kluczami. To był pomysł Clary; gdyby włożył tam klucz od pokoju dziecięcego, miałby teraz kłopot ze znalezieniem go.

– Nie – odpowiada. I po kilku sekundach dodaje: – Z punktu widzenia ewolucjonistycznego nie zrobiłem więc furory.

Bracia Dodemont czują, że poruszyli czułą strunę, i milkną. Aby przerwać ciszę, Wiktor pyta:

– A ile ważyliście przy urodzeniu?

– Około trzech funtów.

– Więc ja w pojedynkę byłem tak samo ciężki jak cała wasza trójka razem wzięta.

To oznacza, że właściwie teraz... ile teraz ważycie?

– Osiemdziesiąt dwa kilogramy.

– Zatem musiałbym ważyć teraz dwieście czterdzieści sześć.

– A ile ważysz?

– Sześćdziesiąt siedem. To jakieś cztery piąte każdego z was.

– W każdym razie potrafisz szybciej liczyć niż my trzej razem wzięci.

Wiktor uśmiecha się.

– Niewykluczone, że nie ma grubych matematyków. Ja w każdym razie nie mogę sobie żadnego przypomnieć.

Zachowując należytą odległość, Frank lekko się skłania i zapowiada:

– Podano do stołu.

Wiktor podnosi się i wykonując dłonią gest, wypowiada uprzednio przygotowane zdanie:

– Panowie, zapraszam do stołu i pamiętajcie, że beze mnie już dawniej umarlibyście z głodu.

Właśnie kiedy zasuwa zasłonę, dzwoni telefon. Serce zaczyna mu walić.

– Halo, słucham? – po drugiej stronie kompletna cisza. – Halo? – powtarza, ale zaraz potem połączenie zostaje przerwane. Odkłada słuchawkę i wzrusza ramionami.

– Pomyłka albo jakiś wariat – albo Brock, dodaje w myślach. – Proszę, siadajcie.

Kiedy jedzą zupę rakową, wypytuje ich o sprawy rodzinne. Wszyscy trzej są żonaci i wszyscy trzej mają po trójce dzieci, dwóch chłopców i dziewczynkę, w tej właśnie kolejności i niemal w równym wieku.

– U was wszystko jest takie samo – mówi – tylko wasze krawaty trochę się różnią.

– Ale niewiele – rzuca Marnix. – Mój kupiłem w ubiegłym tygodniu w Sydney przed podróżą do Europy. – Bez słowa spogląda na Sjoerda.

– W Toronto. Też w ubiegłym tygodniu.

– A ty pewnie w ubiegłym tygodniu w Haarlemie – Wiktor kiwa głową i zwraca się do Alberta.

– Dokładnie.

– Długo jeszcze potrwa, zanim nauka będzie w stanie wyjaśnić wasze krawaty. Czarne dziury są przy tym drobnostką.

Po niezręcznej sytuacji przed chwilą żaden z nich nie odważa się pytać o jego sytuację rodzinną; musi więc sam o to zahaczyć. Przeżuwa kęs chleba i próbuje czerwonego bordeaux, podczas gdy Frank, złożony lewą ręką na plecach, pokazuje mu etykietę. Kiwa głową i zaczyna:

– U mnie wszystko jest inaczej niż u was, choć piliśmy to samo mleko. Nie tylko nie mam dzieci, ale nie jestem nawet żonaty. Jestem smutnym kawalerem. Czy mam wam opowiedzieć, jak się mają moje sprawy? Mogę sobie wyobrazić, że was to nie interesuje.

– Oczywiście, że nas interesuje – mówi Sjoerd. – Ale powinieneś o tym mówić tylko pod warunkiem, że nie jest to dla ciebie dodatkowym obciążeniem.



– Obciążenie, obciążenie... – powtarza Wiktor. – Fakty są obciążające, a nie mówienie o nich. No więc, dobrze. *Cheers!*

Stukają się kieliszkami i gdy zabierają się do rolady, opowiada im swoją historię; mówi o Clarze i Aurorze, wspomina także listy, które pisał do Clary przez Aurorę. Kiedy kończy, zapada cisza. Zauważa, że cała trójka zetknęła się ze światem, którego nie znają; mieli swoje problemy przy urodzeniu i przez kilka następnych miesięcy, potem ich życie weszło na dobrze ułożone mieszczkańskie tory, bez większych wstrząsów. Poza tym wciąż mają siebie. W jakiś przedziwny sposób, choć mieszkają oddaleni od siebie o tysiące kilometrów, nigdy nie są sami; w pewnym sensie obejmuje ich wspólne jajo wielkości ziemi. To, że tego samego tygodnia kupują takie same krawaty, nie ma żadnego związku z telepatią, decyduje o tym mechanizm wspólnego pochodzenia, tak jak podziemne korzenie łączące niektóre rośliny. Zresztą, myśli, wycierając usta serwetką, jeżeli każde życie faktycznie pochodzi z jednej żywej prakomórki, archaeo-eobiontu, wszystko, co żyje w przestrzeni i czasie – od najprymitywniejszego archaeonu do Alberta Einsteina, od wołowiny do sałaty – jest ze sobą związane w podobny sposób jak te trojaczki. Wszystkie żyjące istoty tworzyłyby więc coś w rodzaju nieskończonoraczków, z jednym wyjątkiem: jego własnego eobiontu. Może i o tym powinien napisać w *Aurora's Key to Life*.

– Powiedzcie mi: co mam zrobić? – mówi.

Kiedy Frank sprząta i małą, zakrzywioną miotełką zmiata do garści okruchy ze stołu, trzech mężczyzn patrzą z pewnym przygnębieniem.

– Czego właściwie chcesz? – pyta Marnix. – Żeby do ciebie wróciła?

– Właściwie pragnę unieważnić to, co zrobiłem, a w istocie czego nie zrobiłem.

– No to musisz wymyślić maszynę czasu i raz jeszcze wejść do sali porodowej.

Wiktor kiwa głową.

– W moim życiu dokonałem niewłaściwego wynalazku.

– Czy ona ma przyjaciela? – pyta Albert.

– Jakiegoś wiedeńskiego barytona.

– Co to za człowiek?

– Nie mam pojęcia, nigdy go nie spotkałem. Wydaje mi się, że jest w naszym wieku. Chyba jest sławny.

– To jakiś poważny związek?

– Tego nie wiem. Może poważny, ale równie dobrze mogę sobie wyobrazić, że związała się z nim, aby się ode mnie oderwać. Ja, rzecz jasna, wciąż przypominam jej o czasie, kiedy nosiła w brzuchu śmierć.

– Ale jeśli ona naprawdę nie chce mieć z tobą nic wspólnego – odzywa się Sjoerd – to sprawa zamknięta.

– Oczywiście. Tylko że do końca nie jestem o tym przekonany.

– Jak to nie?

– Tydzień po naszej podróży do Arles zabrała stąd wszystkie swoje rzeczy, z wyjątkiem jednej. W pokoju obok nadal stoi jej sekretera w stylu empire, niezwykle cenny mebel, najpiękniejsza rzecz, którą posiada, w środku jest wiele osobistych rzeczy. Czy to jakiś sygnał? Z pewnością nie zapomniała o tym.

– A zatem jest jeszcze nadzieja – przytakuje Albert. – Zrób więc to, co samo się narzuca.

– To znaczy?

– Zadzwoń do niej.

Wiktor kręci głową.

– Obiecałem, że nie będę więcej do niej dzwonić.

– Czy nie postępujesz w sposób zbyt konwencjonalny? – Marnix przygląda mu się krytycznie. – Możesz to przecież i tak zrobić, nawet jeśli obiecałeś, że tego nie zrobisz.

– Łatwo ci mówić. Tylko że w ten sposób znajdę się w podobnej sytuacji jak wówczas, kiedy wszystko popsułem.

– W jakim sensie?

– Kiedy obiecałem jej, że będę przy porodzie, a mimo wszystko zabrakło mnie. Zresztą jest to mniej konwencjonalne, niż ci się wydaje, gdyż w pożegnalnym liście napisanym w Arles prosi, abym przyrzekł, że nigdy nie będę do niej dzwonić. Mógłbym się wprowadzić upierać, że ja tego nigdy nie przyrzekałem, ale wydaje mi się, że byłby to sofizmat.

– A to, że trwasz przy obietnicy, której nie złożyłeś – odpowiada Albert – na mój gust jest nie mniej, lecz bardziej konwencjonalne.

– Coś w tym jest.

– To wszystko bardzo delikatna sprawa.

– Taki widać mam charakter.

– Ale w każdym razie masz jej numer? – pyta Marnix z chytrym uśmieszkiem, z którego wynika, że również według niego życie będzie czasem mniej konwencjonalnie.

– To prawda. W swojej naiwności zostawił mi go jej brat.

– A nie mógłbyś spotkać jej tak przypadkiem? – zaczyna Sjoerd. – Wiesz przecież, gdzie mieszka.

– Obecnie w Wiedniu.

– Czy uzgodniliście także coś na wypadek przypadkowego spotkania?

Wiktor wyczuwa ironię. Milkną, kiedy Felia serwuje truskawkowy *bavarois*, a Frank nalewa sauternes. Wiktor zatrzymuje wzrok na wypolerowanym srebrnym dzwonku ustawionym na stole, służącym do wzywania służby. Przypomina mu się potworne zdanie, które kiedyś przeczytał, ale już nie pamięta gdzie: *Miłość jest wtedy, kiedy ty jesteś nożem, którym ja grzebię w sobie*. Nigdy z nikim nie rozmawiał o swoich problemach, a teraz, kiedy to zrobił, ma wrażenie, że wszystko się zmieniło. Przychodzi mu do głowy niepokojąca myśl: czy naprawdę tak bardzo chce, aby Clara do niego wróciła? Już od roku żyje bez niej i nie może powiedzieć, żeby przez cały ten czas był tak strasznie nieszczęśliwy. Z przyjemnością wykonuje swoją pracę, a jeśli chodzi o seks, to zawsze się coś przytrafia. W Berkeley kręcił z małą, zgrabną egiptolożką, która po orgazmie okrakiem siadała przy otwartych drzwiach na kłozecie i sapała, jakby weszła na sam szczyt piramidy Cheopsa; w Wenecji zaferowała mu się jakaś niewyraźna Dunka, która ujeżdżała go z szybkością, z jaką ubija się śmietaną; w Kairze zainteresowała się nim rzeczowa szkocka globtroterka, a w domu w ogóle nie ma z tym problemu. O co więc chodzi? Może właśnie o coś zupełnie innego. Może sprawy mają się zupełnie inaczej, niż mu się cały czas wydawało? Czyżby, myśli zmieszany, chodziło nie tyle o miłość, ile o poczucie winy? Co tak na dobrą sprawę spowodowało, że uciekł podczas porodu? W końcu przy małpach nie okazuje aż takiej wrażliwości. „To dla małp” jest standardowym wyrażeniem w laboratorium, kiedy tym biednym zwierzętom wstrzykuje się coś straszego, po czym umierają, a nikt nie wie tak dobrze jak on, że przynajmniej szympansy to – o mały włos – ludzie. Różnica genetyczna wynosi jakieś 1,6 procent: jest mniejsza od różnicy między szympansem a orangutanem. W tym minimalnym ułamku kryje się chyba to, że szympansy nie potrafią mówić, ale może winna jest temu anatomia, gdyż dowiedziono, że potrafią sobie przyswoić tysiące słów z języka migowego głuchoniemych. Jeśli nie wolno przeprowadzać wiwisekcji na ludziach, to na szympanсах też nie. Skoro nie wzbrania się przed czymś takim jak mord, dlaczego zatem przed urodzinami nieżywego dziecka? Czy naprawdę był to tylko strach, że ukaże mu się potwór? Zresztą... morderstwo? Jeśli człowiek zabijający szympansa jest czymś w rodzaju mordercy, to przecież to samo dotyczy szympansa, który zabija

człowieka, powinien więc zostać osądzony w procesie sądowym. W dawnych wiekach zdarzały się takie procesy przeciwko zwierzętom, po czym odbywały się publiczne egzekucje, co było świadectwem większego szacunku dla zwierząt niż obecnie. Ale w takim razie słuszna jest uwaga o genetycznym włosie, gdyż winna małpa nie może zrozumieć oskarżenia i wyroku. Więc może faktycznie jest niewinna i nie jest w stanie zamordować, tylko zabić, a wobec tego może wolno na niej eksperymentować. Tym uspokaja swoje sumienie, choć zdaje sobie sprawę, że rozumując podobnie, można również pozwolić na wiwisekcję głuchoniemych. Ale jaką figurę retoryczną ma zastosować wobec własnego sumienia, żeby uwolnić się od fatalnej ucieczki z sali porodowej Clary?

Najchętniej dalej podążałby tym tokiem rozumowania, ale spostrzega, że jego goście czują się bezradni wobec zapadłej ciszy.

– Było to dość smaczne – powiada – choć wszystko to nic w porównaniu z piersią matki, która jest jak restauracja z tysiącem gwiazdek. Może się przesiądziemy – proponuje i przymusza się do uśmiechu.

Kiedy zajmują swoje poprzednie miejsca, Frank przynosi im kawę i coś na trawienie oraz proponuje cygara. Zapalają je od niewielkiej płonącej szczapy, Wiktor zapala papierosa. Najlepiej, żeby już sobie poszli, może oni sami także by tego chcieli, ale jeszcze przez pół godziny rozmawiają o pracy i warunkach życia w Haarlemie, Toronto i Sydney.

– Czy wasze żony też biorą udział w spotkaniach? – pyta Wiktor.

– Poszły we trójkę do restauracji w mieście – odpowiada Sjoerd i zerka na zegarek. – Chodźcie, myślę, że powinniśmy już pójść.

Wiktor podnosi się bez protestu.

– Proszę pozdrowić ode mnie panie Dodemont. Czy też pochodzą z trojaczków?

– W pewnym sensie, choć nie biologicznie.

– No tak... – Wiktor chce się zacząć żegnać, ale Marnix podejmuje nowy wątek:

– A czy nie moglibyśmy zadzwonić teraz do twojej matki? Chciałbym bardzo usłyszeć jej głos.

Wiktor waha się, wolałby nie blokować telefonu. Spogląda na zegarek.

– To nie ma sensu – mówi, czując wyrzut sumienia. – W San Francisco jest teraz trzecia po południu, a o tej porze nigdy jej nie ma w domu.

– Ale przekażesz jej oczywiście nasze pozdrowienia – upewnia się Albert.

– To samo przez się zrozumiałe.

Zeszyt dziewiąty  
**Noc**

Po wyjściu Franka i Felii znów robi się w domu cicho. Odkłada telefon na stół, zdejmuje marynarkę i nalewa sobie podwójną whisky. Złożywszy dłonie z białymi plamami, zauważa, że jedna jest ciepła, a druga zimna, ale nie może stwierdzić, która jest ciepła, a która zimna; wie to dopiero, gdy przykłada je na moment do policzków. Wsuwa rękę do kieszeni i kładzie się na kanapie. Ostatecznie, myśli, nadal jesteś sam. Co ci trzej mężczyźni mówią teraz do siebie i co opowiedzą wkrótce swoim trzem żonom? Że spotkali samotnego pechowca, który nie daje sobie rady w życiu? Oczywiście nadal są mu obcy, ale dzięki ich obecności coś się w nim otworzyło. Jeszcze przed chwilą tak bardzo chciał się dalej zastanawiać nad tym otwarciem, ale teraz z jakiegoś powodu chciałby to odłożyć, jak kucharz dochodzący do przekonania, że potrawa będzie lepsza, jeśli jeszcze trochę postoi w piekarniku. Zna to zjawisko również z pracy naukowej: kiedy przychodzi mu do głowy dobry pomysł i od razu chce nad nim pracować, najpierw nastawia kawę i jakiś czas wygląda przez okno. Zresztą zna to również dzięki zupełnie innemu zajęciu, któremu poświęcał się jako chłopiec – nocą, kiedy uważnie nasłuchiwał, czy nie nadchodzi ojciec lub matka. Nie miał pojęcia, jak inni chłopcy się masturbują; prawdopodobnie dość szybko obciągali, odwracali się na drugi bok i zapadali w sen. Jemu zajmowało to niekiedy ponad godzinę, nie o to chodzi, że nie mógł przeczytać, ale dlatego, że jeszcze nie chciał. Po jednej fantazji przychodziła następna, a kiedy był już blisko, powstrzymywał się i uspokajał. Za każdym razem miał wrażenie, że można jeszcze intensywniej. We wspomnieniu minionego dnia poszukiwał jakiegoś punktu zaczepienia i puszczał wodze fantazji. Kobieta, która wieczorem siedziała obok niego w kinie... ostrożnie kładzie dłoń na jej kolanie, na co ona powoli rozwiera uda, tak że może osiągnąć ultraerotycznego rejonu między jej pończochą a majtkami; z kolei jej dłoń pojawia się na jego udzie, centymetr po centymetrze przybliża się do jego krocza i zaczyna je lekko uciskać... Potężna, ciemna blondyna, która stała przy nim w przepelnionym tramwaju rano w drodze do szkoły... jej pośladki tak idealnie pasują do jego pachwin, że nie może się powstrzymać, aby nimi nie pomerdać, co dla niego jest sygnałem, by jedną ręką wysupłać członek, a drugą zdrzeć jej sukienkę; na wszelki wypadek nie włożyła majtek i wypina pośladki jeszcze bardziej, tak że może aż po szyję zanurzyć



się w jej gorącej barci, podczas gdy ona, jakby nigdy nic, dalej konwersuje ze swoim mężem... Dziewczyna, którą widział po południu w księgarni... zgubiła portmonetkę z biletem do Maastricht i nie ma gdzie zanoć; kiedy unosząc palce ku górze, składa obietnicę, że będzie się zachowywać porządnie, zgadza się pójść z nim, do spania nie zdejmują ani koszul, ani majtek i układają się w łóżku jak najdalej od siebie, ale kiedy w nocy się budzi: oboje są nadzy, ramiona, nogi, fiut, cipka, ciut, fipka, wszystko splecione w lepką bryłę, jak dwie miękkie gliniane laleczki... Na ogół nie kończyło się to poszukiwanym ultraorgazmem, ale o wiele późniejszym zaspokojeniem, podczas gdy jego penis od intensywnej masturbacji robił się wymiętoszony, skórka błyszczała od różowego osocza, a na żołądki tworzył się kapturek białej piany. Organ wyglądał jak zabawny mały ludzik – ludzik, o którym sobie przypomniał po latach, kiedy z ciekawości zgłębiał alchemiczne pisma Paracelsusa, opisujące tworzenie homunkulusa, sztucznego człowieczka. Także tam wielką rolę odgrywała „Phantasey”, podczas oddzielania spermy od „żywej wody” jak „szumowin na zupie”. Czyżby i jego homunkulus był produktem samozaspokojenia?

Rozwiązuje krawat i zapala papierosa. Czy można czegoś chcieć, kiedy tak naprawdę chce się czegoś wręcz przeciwnego? Oczywiście. Ktoś może zapalać papierosa, choć właściwie pragnie rzucić palenie – taki konflikt towarzyszy także wszystkim słabostkom porządnym ludzi. Ale jak rzecz się ma w jego przypadku? Palacz jest świadomy zarówno jednego, jak i drugiego, tymczasem on jest świadomy tylko jednej rzeczy: chce, żeby Clara do niego wróciła. W każdym razie tak było jeszcze przed godziną. Czy to naprawdę możliwe, aby „nieświadomie” wcale tego nie pragnął? Nieświadomie! Zawsze drażniło go to słowo, którym można wyjaśnić wszystko, a więc niczego nie można wyjaśnić, to coś takiego jak I Ching. W każdym razie... Czy to możliwe, by musiał sięgać aż tak głęboko, żeby zrozumieć siebie? Ma wrażenie, że leży na kozetce u Freuda i sam jednocześnie odgrywa rolę wiedeńskiego odgadywacza. Przed laty przez jakiś czas studiował także jego dzieła, nie tylko prace Paracelsusa; usiłuje sobie wyobrazić, jak on by to zdiagnozował. Może w tym stylu: „Kiedy miał pan osiem lat, opuściła pana matka i jak widać, nigdy się pan z tym nie pogodził. Kiedy potem także pańska córka pana opuściła, było to dla pana zbyt wiele i zachował się pan w taki sposób, że ostatecznie także pańska żona pana opuściła. Dlaczego pan to zrobił? Czy po to, aby z instynktu samozachowawczego móc żywić iluzję, iż sam się pan przysłużył temu, że opuściła pana matka? W ten sposób mógł pan zapanować nad sytuacją”.

Super! Śmieje się na głos. Cała freudiańska fronda razem wzięta nie wymyśliłaby nic lepszego. Na dodatek to może być prawdą. A jeśli nią nie jest, to mimo wszystko jest użyteczne. Podnosi się, zdejmuje buty i opiera łokcie na kolanach. Więc jak się teraz mają sprawy? Sam spowodował, że Clara odeszła, i wyrównał rachunki z matką. W ten sposób wszystko jest tak, jak chciał. Tymczasem napisał do Clary trzy pośrednie listy, których celem było skłonienie jej do powrotu, choć sobie tego w ostatecznym rozrachunku nie życzy. Czy nie powinna się tego dowiedzieć? Jej sekretera w salonie jest jak sygnał, że jeśli o nią chodzi, to cała sprawa nie została jeszcze zamknięta, inaczej niż w jego przypadku. Może czeka na jakieś słowo od niego, które wszystko odmieni i które pozwoli jej powiedzieć wiedeńskiemu barytonowi *Servus* i wsiąść do najbliższego samolotu. Ale takie słowo powinno właściwie być w jego listach, na które nie miał żadnej reakcji. Co jeszcze można było dodać? Że jego wewnętrzny Zygmunta powiedział mu, iż to, że nie mógł patrzeć na pojawienie się ich martwej Aurory, jest winą jego matki? Zresztą nawet gdyby naprawdę tak było, to jeszcze nie powód, by ponad wszystkimi interpretacjami i analizami wykonywać salto mortale, bezlitosny skok śmierci, czego ostatecznym wynikiem ma być jej powrót.

Kręci mu się w głowie, chce, czego nie chce, i nie chce, czego chce; z każdym krokiem coraz bardziej gubi się w labiryncie własnych deliberacji. Doświadczenie nauczyło go, że w takich wypadkach wyjściem jest nie dalsze przemyślenie, ale czyn. „Zadzwoń do niej”, powiedział Albert albo Marnix, albo Sjoerd. Czy to nie jest rozwiązanie? Czyżby A lub M, lub S nie miał racji, pytając, czy przypadkowo nie ma numeru jej telefonu? Nalewa sobie jeszcze jedną szklaneczkę whisky i spogląda na telefon. Jest prawie dwunasta, ze Sztokholmu już raczej nie będą do niego dzwonić. Ona nigdy nie chodzi spać przed pierwszą, więc późna pora nie jest przeszkodą.

Przygląda się aparatowi i próbuje sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać ta rozmowa...

– Halo?

– Clara? Tu Wiktor.

Cisza.

– Tak, Wiktorze?

– Wiem, że jesteś zaskoczona moim telefonem, mieliśmy cichą umowę, że nie będę do ciebie dzwonić, ale krew nie woda.

– Powiedz, co chcesz powiedzieć. Chyba nic ci nie jest?

– To zależy. Czy otrzymałaś odpisy moich listów do Aurory?

– Tak...

– Przeczytałaś je?

– Oczywiście.

– I co?

– Co chcesz, żebym powiedziała?

– To, co ty sama chcesz powiedzieć. Chciałbym, żebyś powiedziała, że teraz wszystko lepiej rozumiesz.

– Faktycznie tak jest.

– Ale?

– Ale to w niczym nie zmienia sytuacji.

– Jako to?

– Napisałam ci to w Arles. Tamtego potwornego popołudnia w szpitalu opuściłeś mnie na dobre i nic tego nie zmieni.

– Także jeśli ci powiem, kto tak naprawdę był potworem, którego nie chciałem oglądać na oczy?

– Co masz na myśli? Oczywiście Aurora.

– Nie, moja matka.

Znów cisza.

– Wiktor, czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach? Twoja matka! Jak możesz coś takiego mówić? Że też się nie wstydzisz! Pijany jesteś?

– Trochę, ale to nie ma związku. Dziś wieczorem jadłem kolację z trojaczkami, które jako niemowlęta piły mleko mojej matki, wiesz, pisałem ci o tym. *Trink, trink, Brüderlein, trink!* Ta pieśń na pewno jest w repertuarze twojego nowego narzeczonego.

– Wiesz co, jeśli masz zamiar mnie dręczyć, zaraz odkładam słuchawkę.

– Czy on jest teraz w pokoju?

– Tak.

– A przed chwilą, kiedy usłyszałaś mój głos, spojrzałaś nie niego i ruchem warg powiedziałaś bezgłośnie „Wiktor”?

– O co ci właściwie chodzi?

– Sam nie wiem.

– W ostatnim liście piszesz o węźle gordyjskim, który sam się rozpada, tylko że według mnie zaciągasz go coraz ciaśniej.

– Nie, to nie tak! Ale cieszę się, że mówisz o tym, ja próbuję właśnie znaleźć drzewce, które Aleksander wyciągnął.

– Według mnie nie ma żadnego drzewca. Posłuchaj mnie dobrze, Wiktorze. To nie ma sensu. Że też sam tego nie widzisz. Jesteś takim inteligentnym człowiekiem, twoja praca zadziwia cały świat, ale gdy chodzi o sprawy osobiste, ni stąd, ni zowąd zachowujesz się jak dziecko, które chce niemożliwego.

– Dokładnie! I w pracy naukowej chciałem tego samego.

– Tamto nie okazało się niemożliwe.

– Tak, patrząc z perspektywy czasu.

– Chcesz może powiedzieć, że nic nie jest niemożliwe?

– Skłaniam się ku temu. Gdyby ktoś w ubiegłym wieku powiedział, że w ciągu stu lat powstanie maszyna, która w kilka sekund obliczy to, nad czym tysiąc rachmistrzów ślęczałoby tysiąc lat, ludzie powiedzieliby, że to niemożliwe.

– Dawniej, kiedy się tak rozgadywałeś, mówiłeś, że na świecie jedno jest pewne, mianowicie że nie ma większej prędkości niż prędkość światła.

– Teraz nawet tego nie jestem całkowicie pewien. Co zostało z Freuda? A z Lenina? Taki sam los może spotkać Einsteina.

– Freud, Einstein, Lenin... o czym my właściwie rozmawiamy?

– O tym, że także między nami może się zdarzyć niemożliwe, Claro.

– Chyba właśnie na tym polega różnica. Nasz wzajemny stosunek nie jest teorią.

Dzwon katedry wybija dwanaście uderzeń, a on wraca do rzeczywistości. Nabiera głębokiego oddechu i zamyka na moment oczy. Czy rozmowa tak się potoczy? Nie, oczywiście, że nie. To nie była jego rozmowa z nią, tylko ze samym sobą w roli Clary. Wstaje i otwiera nową butelkę whisky. Na dworze zrobiło się cicho, odgłosy ulicy są stłumione, jakby spadł śnieg.

Wraca na kanapę i znów przygląda się aparatowi. Zna ją przecież dość dobrze, by wiedzieć, co powie! W końcu pisarz nie robi niczego innego: wie, co powiedzą ludzie, którzy w ogóle nie istnieją.

W notesie szuka numeru Clary, podnosi słuchawkę i opuszką palca dotyka dwunastu cyfr, ale nie naciska klawiszy...

– *Ja, wer spricht?*

Tubalny, nieprzyjemny męski głos. W tle rozbrzmiewają rozmowy, śmiechy i muzyka.

– *Mein Name ist Wiktor Werker.*

– *Ach, Herr Werker! Guten Abend! Jäger-Jena hier. Schön Ihre Stimme mai zu hören.*

– *Ihre Stimme ist wohl die wichtigere. Verzeihen Sie, daß ich so spät noch störe.*

– *Macht nichts, macht nichts.*

– *Könnten Sie bitte Frau Veith an den Apparat rufen?*

– *Aber selbstverständlich, Herr Werker, Moment.*

Poprzez hałasy dochodzi go z odległości tysiąca kilometrów sygnał karetki lub policyjnego wozu.

– Wiktor?

– Cześć, Claro.

– Zaczekaj chwilę, odbiorę telefon w salonie muzycznym.

Nagle zapada kompletna cisza.

– Już jestem. Co ci przyszło do głowy, Wiktorze?

– Właśnie, strzał w dziesiątkę. *Gretchenfrage* – tak to się chyba u was nazywa?

– Pewnie tak, ale dlaczego dzwonicz do mnie o tak idiotycznej porze? Coś się stało?

– Dużo.

– Jesteś pijany?

– Jeszcze niezupełnie, ale już niedługo. Pamiętasz, pisałem ci o tych trojaczkach?

– O trojaczkach? A co tam z nimi było?

– Nie ma znaczenia. I tak jestem zadowolony, że w ogóle czytasz moje listy.

– Chyba nie dzwonisz specjalnie po to, aby się dowiedzieć, że czytam twoje listy?

– Oczywiście, że nie.

– Więc po co? Tylko się streszczaj, bo mamy gości.

– Posłuchaj, Claro, czy moglibyśmy nie używać przemocy?

– Przemocy? O co ci, na miłość boską, chodzi?

– Ja też używam teraz przemocy, bo dzwonię do ciebie, chociaż nie powinienem.

Czy nie moglibyśmy przekreślić wszystkiego, co się wydarzyło i co zostało powiedziane, i zacząć na nowo? Może mimo wszystko przeciąć ten gordyjski węzeł?

– Co ty sobie ubzdurałeś! Czy w ogóle rozumiesz, co robisz? Po roku dzwonisz do mnie w środku nocy i proponujesz, żeby wszystko puścić w niepamięć. Zaczynam wątpić w twoją zdolność logicznego rozumowania. A zresztą skąd masz nasz numer?

– Od Karela. Udało mi się go od niego wydębic.

– Cała ta sytuacja jest bardzo denerwująca. Wiesz, co mi to przypomina? Facetów, którzy po nocnym picu dzwonią o wpół do piątej rano do przyjaciółki, bo wbili sobie do łba, że czegoś od niej chcą.

– Dzięki za komplement.

– To nie był komplement.

– To też zrozumiałem.

– Powiem ci raz na zawsze, jak się sprawy mają, i mam nadzieję, że w końcu dotrze to do ciebie. Z tego, co było między nami, nie pozostało nic, zupełnie nic, i tego nie da się już zmienić. Sam się o to postarałeś. Odkąd poznałam Dietricha, cały epizod z tobą daje się sprowadzić do martwego dziecka. Nie myślę już o tym.

– Nie wierzę ci.

– To twoja sprawa. Nigdy mnie nie rozumiałeś.

– Siebie samego może jeszcze mniej.

– Dokładnie.

– Przynajmniej tyle zrozumiałem.

– Nie zaczynaj znów z tymi swoimi wiecznymi sofizmatami. Taka mentalność przydaje się może przy wycinaniu i wklejaniu molekuł do tej twojej, jak powtarzałeś, mikroprecyzji, ale gdy chodzi o ludzi, jesteś kompletnym idiotą.

– To wszystko również dzięki molekułom. Któregoś dnia będę mógł ci to dokładnie pokazać.

– Dobrze, dobrze, ale teraz może już skończmy. Cała ta rozmowa wychodzi mi bokiem. I oszczędź mi w przyszłości również twoich listów.

– Dlaczego się tak złościł? A może on stoi w drzwiach i obserwuje cię?

– Kto? Dietrich? Niby według ciebie miałby się bać, że od niego odejdę? Nic z tego, jeszcze nigdy z nikim nie byłam tak szczęśliwa. My też spędziliśmy ze sobą kilka miłych lat, nie przeczę, ale to była raczej przyjaźń niż miłość.

– Wiesz przecież, co Nietzsche powiedział?

– On mówił wszystko.

– *Większość małżeństw rozpada się nie z braku miłości, lecz z braku przyjaźni.*

– Niewykluczone, ale nie da się bez miłości. Za twoją wielką miłością kryje się przypuszczalnie problem: kto wyprasuje moje koszule? Skąd w ogóle przyszedł ci do głowy pomysł, że miałabym od niego odejść?

– Z twojej sekretery.

– Z mojej sekretery? Co masz na myśli?

– To, że wciąż tu stoi.

Przez moment cisza – potem połączenie zostaje przerwane...



Odkłada telefon i oburącz pociera twarz. Rozmowę, która odbyła się w jego głowie, pamięta jako faktycznie odbytą. Czy to ma coś wspólnego z Clarą? W każdym razie trochę, bo gdyby prowadził ją z Astrid lub Beą, miałyby inny przebieg. Jeszcze sobie nalewa, choć wie, że należałoby przestać pić. Może jednak powinien do niej zadzwonić? Z każdą minutą robi się później o jedną minutę, ziemia kręci się wokół swej osi, a Wiedeń pogrąża się coraz bardziej w nocy a może jest tam o godzinę później? Niemożliwe, Austria leży jeszcze w Europie Zachodniej; strefa czasowa znajduje się pewnie gdzieś koło Bukaresztu. Mógłby to sprawdzić, ale nie ma siły wstać. Oczy same mu się zamykają. Cisza w bazylice i w mieście również jego okrywa kołdrą, tak jak kiedyś matka, która podciągała mu ją pod samą brodę, podwijając boki pod materac, potem całowała go w czoło i gasiła światło.

Znów podnosi słuchawkę. Zerknąwszy do notesu, wyciska pierwszych jedenaście cyfr jej numeru: 00-43-1-297192, ale nie dwunastą...

– Clara Veith.

– Tu Wiktor.

– Wiktor? Niemożliwe! To naprawdę ty?

– Bez wątpienia.

– Nie wierzę własnym uszom, właśnie myślałam o tobie!

– Pewnie telepatia. Pytanie tylko, kto na kogo oddziałuje.

– Na miłość boską, jakże to możliwe! Dopiero co czytałam Stefana Zweiga *Die Welt von Gestern*, i nagle jakby znad kartek uniosła się twoja twarz. Tutaj jest tak cicho, że czuję się tak, jakbym była sama jedna w mieście.

– Zupełnie jak tutaj. Czy Dietrich jest w domu?

– Nie, ma recital. Chyba w Salzburgu, a może w Grazu, nie mam pojęcia.

– *Leise flehen meine Lieder durch die Nacht zu dir.*

– Coś w tym rodzaju, Wiktorze! Cudownie, że dzwonisz. Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej?

– Ponieważ mi tego zabroniłaś.

– Tak, to było wtedy, ale sytuacja nie jest cały czas taka sama.

– Skoro sytuacja się zmieniła, dlaczego ty do mnie nie zadzwoniłaś?

– Bo się wstydziłam. Byłam dla ciebie bardzo surowa i dopiero potem zrozumiałam: to, że mnie zostawiłeś wówczas przy narodzinach naszej małej biednej Aurory, jest naprawdę bardziej złożoną sprawą.

– To znaczy?

– No, może cię to zdziwi, ale chyba miało to związek z tym, że sam zostałeś porzucony przez swoją matkę, która zawsze była taka oziębła.

– No, no, to pachnie Freudem, ale kto wie, może masz rację. W końcu mieszkał na twojej ulicy, kilka domów dalej.

– W każdym razie jest mi teraz przykro. Po przeczytaniu twoich listów zaczęłam zupełnie inaczej o tobie myśleć.

– Nie bierz mi tego za złe, Claro, ale teraz muszę sobie to wszystko na nowo poukładać. Zadzwoiłem do ciebie w akcie rozpacz, żeby się dowiedzieć, czy przypadkiem nie ma choć cienia nadziei, ale teraz widzę, że wszystko wygląda inaczej. Czy chcesz powiedzieć, że nie jesteś szczęśliwa z Dietrichem?

– Z Dietrichem? Ja z nim szczęśliwa? Nie masz pojęcia, co to za drań. Cały świat go ubóstwia za jego słodki głos, ale w domu jest potwornym tyranem; dla niego tylko on sam się liczy. Cała reszta musi zejść na dalszy plan. Może taka postawa jest drugą stroną jego talentu, całkiem prawdopodobne, ja jednak nie mam nic wspólnego z pierwszą, tylko z drugą. Ty też nie jesteś święty, ani ja, on jednak bije wszelkie rekordy. Myślę, że ma to związek z jego niskim pochodzeniem. Jest z drobnomieszczańskiej rodziny z Linzu. Otrzymał jednak wszystkie wyróżnienia w Austrii i Niemczech i gdyby mógł, najchętniej nosiłby je przypięte do pizamy, ale we własnych oczach nadal pozostanie tym niedocenianym młokosem z prowincji. Wszystkiego mu mało. Jest egocentryczny jak niemowlę.

– Trudno uwierzyć.

– Poza tym bije mnie.

– Biję cię?

– I kopie. Jeśli coś mu się nie podoba, natychmiast dostaje napadu. Kiedy jakiś jego kolega odnosi sukces, jest wysoce prawdopodobne, że będą miała sińce.

– Kanalia! To dlaczego, na miłość boską, jesteś z nim?

- Nie wiem. Bo mimo wszystko jestem w nim zakochana.
- Ależ Claro, to masochizm! Musisz uciekać, lepiej dziś niż jutro!
- I co dalej? Z powrotem do ciebie? Po tym wszystkim, co się wydarzyło?

Niemożliwe.

– Wszystko jest możliwe. Jedyne, co musisz zrobić, to przeskoczyć swój własny cień.

- Nie potrafię.
- Nauczę cię.
- Nie, Wiktorze, on jest łajdakiem, ale go kocham.
- Wiesz przecież, co Nietzsche powiedział?
- Nie.
- *Większość małżeństw rozpada się nie z braku miłości, lecz z braku przyjaźni.*
- Tak, to najprawdziwsza prawda.
- Najprawdziwsza prawda...
- Dlaczego powtarzasz?
- Zastanowiło mnie to wyrażenie.

– Tak, jako człowiekowi nauki wydaje ci się to dziwne. Nie powiedziałbyś tego o dwa razy dwa jest cztery.

– To ty tak myślisz. Bo nie znasz Dostojewskiego, jego *Notatek z podziemia*. Gdzieś tam napisał: *Dwa razy dwa jest cztery jest nie do zniesienia. Dwa razy dwa jest cztery to według mnie nieprzyzwoitość. Dwa razy dwa jest cztery spogląda jak fircyk, który rękoma wziął się pod boki zagradza ci drogę i spluwa.* Dostojewski i Nietzsche pasują do siebie.

– Wcale się nie zmieniłeś, wiesz? Właśnie mówimy o czymś, co dotyka naszego życia, ale twoje myśli jednocześnie rozbiegają się na wszystkie strony.

– Masz rację, nie bierz mi tego za złe, nic na to nie poradzę, tak pracuje mój mózg. Przeczytałem to, kiedy miałem z osiemnaście lat, i uderzyło mnie jak pięść między oczy. Wiele zapominam, ale niektórych rzeczy nigdy. Czy nie moglibyśmy kiedyś porozmawiać o tym, co mamy robić? Jeśli chcesz, przylecę jutro do Wiednia.

– Z jakiego powodu? To przecież nie ma sensu, Wiktorze.

– Z powodu twojej sekretery. Powiedz: dlaczego wciąż jeszcze tu stoi?

– Ponieważ – zaczyna po krótkim milczeniu – pragnęłam, aby coś mojego było blisko pokoju Aurory. Żeby pilnować.

Jego oczy wilgotnieją; pociąga łyk.

– Gdybyśmy – jego głos brzmi ochryple – zachowali kilka dowolnych komórek jej ciała, może mogłaby któregoś dnia powstać z martwych.

– Mam je.

– Co mówisz?

– Zanim zamknięto trumnę, ucięłam nieco włosów z jej główki i włożyłam do medalionu. Noszę go na szyi.

– Claro! Przywieź to! Natychmiast z tym przyjeźdź! W ciągu kilku lat sklonuję ją, jeszcze w tym wieku, bliźniaczą jednojajową siostrę, i znów wszystko będzie dobrze między nami! Gdybyś wyrwała kilka włosów, byłbym całkowicie pewien, że się to uda.

Z telefonem w dłoni opada do tyłu na kanapę. Po chwili znów się podnosi i w poczuciu, że podpala lont pod ładunkiem wybuchowym, naciska dwunastą cyfrę: 7. Telefon dzwoni trzy razy, po czym zgłasza się łagodny, przyjazny głos, zupełnie nieprzypominający tubalnego głosu, jaki sobie przed chwilą wyobrażał:

– *Im Moment sind Dietrich Jäger-Jena und Clara Veith nicht zu erreichen. Teilen Sie uns bitte Ihren Namen und Ihre Telephonnummer mit und hinterlassen Sie eine Nachricht. Wir werden Sie so bald wie möglich zurückrufen.*

Kiedy rozlega się sygnał, chce przerwać połączenie, ale w końcu mówi:

– *Wiktor Werker aus Amsterdam am Apparat. Eine Mitteilung für Frau Clara Veith. Claro, czy nie zechciałabyś jutro do mnie zadzwonić? Muszę ci powiedzieć coś ważnego.*

Zaraz po naciśnięciu *stand by* zaczyna żałować. Najchętniej wymazałby swoje słowa, ale nieodwołalnie zostały nagrane na automatycznej sekretarce na Berggasse. Gdzie ona jest teraz, w środku nocy? Czy ze swoim amantem walcuje w szeleszczącej sukni po parkiecie na jednym z balów w Operze? Powinien się teraz położyć spać; jutro rano o jedenastej ma w instytucie umówione spotkanie z pewnym Amerykaninem. Jest on nie tylko wielkim znawcą sztuki, ale, co ważniejsze, prowadzi w Rockville pod Waszyngtonem Human Genome Project, w który przemysł farmaceutyczny zainwestował miliardy dolarów. Może chce mu coś zaproponować. Trochę się chwiewie, gdy wstaje, ale robi jakiś szybki ruch i udaje mu się utrzymać równowagę, co w efekcie wygląda tak, jakby wykonał wytworną figurę taneczną. Chce zgasić światło, lecz zamiast tego wyjmuje z odtwarzacza płyt kompaktowych Mahlera i z policzkiem przy barku przeszukuje rząd kaset. Finał sfingowanej rozmowy z Clarą przyniósł mu pewien pomysł, ale nie może znaleźć tego, czego szuka: *Orfeo ed Euridice* Glucka. Zaraz przypomina sobie, że ma tę operę tylko na płytach gramofonowych. Wielka paka stoi na najniższej półce na pawlaczu; to niemiecka wersja, *Orpheus und Eurydike*. Nalewa sobie jeszcze szklaneczkę i kładzie pierwszą płytę na talerzu gramofonu, którego nie używał od lat. Ostrożnie opuszcza igłę na czarny krążek w miejscu, gdzie kończy się wesoła uwertura, gdyż nigdy mu się nie podobała. Bierze książeczkę z tekstami i kładzie się na kanapie.

Homofoniczny, czterogłosowy chór pasterzy i nimf zgromadził się u grobu Eurydyki i wyśpiewuje lamentacje:

*O wenn in diesen dunklen Hainen,  
Eurydike, noch dein Schatten  
Um dein ödes Grabmal schwebt...*

I wówczas, w samym środku podniosłej pieśni, Orfeusz wykrzykuje swoją boleść:

*Eurydike!*

W oczach kręcą mu się łzy. Nie do zniesienia! Muzyka jest nie do zniesienia! Muzyka pojawiła się na świecie, aby człowiek nieco spuścił z tonu, aby dotarło do niego, że jednocześnie snute są i inne opowieści, nie tylko jego własna. Jeszcze dwa razy rozbrzmiewa rozpaczliwy krzyk Orfeusza, wyśpiewany przez fenomenalny głos, ale on to wszystko za bardzo przeżywa. Zdejmuje płytę i wsuwa do koperty. Jego wzrok prześlizguje się po okładce: *Orpheus – Dietrich Jäger-Jena*. Nabiera w płuca powietrza i na powrót się kładzie.

Orpheus – Dietrich Jäger-Jena. Przez wszystkie te lata, bez jego wiedzy, był obecny w tym domu. Przepuszczalnie Clara też o tym nie wiedziała: spotkał ją, kiedy nastaly czasy CD, płyt kompaktowych. CD... to inicjały ich dwojga. Dietrich poznał Clare, kiedy jej pracownia otrzymała zlecenie z Wiednia, na przyjęciu w ambasadzie holenderskiej. W końcu ona także wylądowała w świecie artystów, podobnie jak jego matka z tym swoim Aldo Tasem... Na chwilę zapada w sen i śni mu się, że goni go otwarta czarna książka, niby trzepoczący skrzydłami ptak... *Dietrich* – to nie tylko imię, słowo to oznacza po niemiecku również wytrych, fałszywy klucz. Przekręca głowę na bok i spogląda na przekręcony klucz w drzwiach prowadzących do dziecięcego pokoju. Czy powinien tam teraz wejść? Czy to jest ta właściwa chwila?

Oczy mu się same zamykają... W egipskich ciemnościach Sfinks z Gizy nagle odwraca głowę w lewo, potem w prawo, jakby czegoś nasłuchiwał, może pytania; po czterech i pół tysiącach lat podnosi się, otrząsa i zaczyna biec. Tratując po drodze nocny Kair, wszystko: ludzi, zwierzęta, domy, kamienna istota biegnie na północ w poszukiwaniu pytającego, płynie w kierunku Europy przez Morze Śródziemne i z hukiem znika w dolinie Rodanu...

Jeszcze jeden raz, głęboko w nocy – mimo prześwitów w zasłonie nie zauważywszy błyskawicy – budzi się na kilka sekund od echa jesiennego grzmotu, które przetacza się po mieście, jakby Sfinks w straszliwym skoku dopadł w końcu swoją ofiarę...

# Zeszyt dziesiąty

## Poranek

Wiktor wynurza się ze snu jak nurek z głębiny. Jego umysł od razu zaczyna pracować. Mając jeszcze zamknięte oczy, myśli – samoświadomość jest jak błyskawica po parnej nocy, jawa nie zostaje przerwana przez sen, tylko sen przez jawę: brak przytomności to naturalny stan świata, jedynie śpiący i umarli są naprawdę w domu.

– Burza trwa od setek tysięcy lat – mówi na głos.

Wyciąga dłoń po budzik przy łóżku, chce zobaczyć, która godzina, ale dłoń trafia w próżnię. Gdy otwiera oczy, widzi, że nadal leży na kanapie. Jest w ubraniu, wszystkie lampy są zapalone, zasłony nie oddzielają już ciemności na zewnątrz, ale światło. Jest dziewiąta. Postępując, podnosi się i rozsuwa zasłony. Nad starówką zawisła mgła, rozpołowiona eleganckim S rzeki z jej mostami. We wczorajszym ubraniu czuje się lepki i brudny, jak ktoś, kto musi jeść na niemytym talerzu z poprzedniego dnia. Pod gorącym prysznicem szybko doprowadza się do porządku, myje włosy, goli się, perfumuje policzki i starannie ubiera, jakby ten dzień miał być wyjątkowy.

Wraca do pracowni, przystaje i patrząc w ziemię, zamyśla się. Niebawem ma spotkanie z amerykańskim magnatem od genomu, ten złoży mu najprawdopodobniej jakąś atrakcyjną propozycję, kilkaset tysięcy dolarów rocznie, której on nie przyjmie. Teraz, gdyby chciał, mógłby naprawdę zarabiać wielkie pieniądze, ale nie chce. Po co mu pieniądze? Chce prowadzić badania DNA na mumiach i skamielinach, bo to go interesuje, i takie jest jego życie od samego początku. Już w szkole denerwowało go, że na chemii wciąż się mówiło o zastosowaniach technologicznych. Kiedy jego matka na palniku w kuchni stawiała czajnik z gwizdkiem, było to coś zupełnie innego, niż gdy sam w laboratorium palnikiem Bunsena podgrzewał wodę w kolbie Erlenmeyera. Rosnąca niestabilność płynu, prądy konwekcyjne z ich heksagonalnymi komórkami Benarda na powierzchni, zapach pary... to było czysto naukowe badanie, niemające nic wspólnego z czymś tak trywialnym jak „znaczenie społeczne”. Gdyby miał większą gotówkę, mógłby kupić pełnomorski jacht i żeglować po Morzu Śródziemnym, ale on wcale nie chce żeglować po Morzu Śródziemnym, zanudziłyby się na pokładzie na śmierć. Tak samo nie uśmiecha mu się przeprowadzka do równie reprezentacyjnego, co wiejskiego Waszyngtonu.

Stawiając kawę, myśli z niesmakiem o wiadomości nagranej wczoraj na automatycznej sekretarce w Wiedniu. Teraz w każdej chwili może do niego zadzwonić Clara: cóż to, na miłość boską, tak ważnego, jak zapowiedział, zamierza jej oznajmić? Że chce, żeby do niego wróciła? Tak jakby tego nie wiedziała. Od razu pozna, że był wstawiony. Nie, najlepiej będzie natychmiast zadzwonić do Wiednia i wyznać, że popełnił głupstwo i żeby o wszystkim zapomniała; tym samym jasne będzie przestanie, że dla niego sprawa nie jest ostatecznie zamknięta. Miejmy nadzieję, że nie ma jej jeszcze w domu i że nie będzie musiał z nią rozmawiać.



Z kawą idzie do pracowni, bierze telefon, naciska klawisz *repeat* i przykłada słuchawkę do ucha. Wybierane tonowo kolejne cyfry jej numeru telefonicznego zlewają się w melodyjkę niczym znak rozpoznawczy, który dawniej gwizdał swoim przyjaciółkom. Ale zanim przebrzmiały wszystkie cyfry, włączają się nagle dwa męskie głosy. Słucha z uniesionymi brwiami. Mówią po angielsku, jeden objaśnia drugiemu drogę. Od czasu do czasu przerywa, chcąc najwidoczniej dać tamtemu czas na zrobienie notatek; kiedy ten drugi mówi *Yes*, ciągnie dalej. Nie są to ani Anglicy, ani Amerykanie: jeden z nich ma ciężki akcent, jak Holender pozbawiony wyczucia językowego, wymowy drugiego nie jest w stanie umiejscowić. Zafascynowany wstrzymuje oddech i nasłuchuje dalej. Nie ma z tym nic wspólnego i nie jest to w porządku, ale nagle czuje się jak ktoś z policji lub tajnych służb, kto będąc na nasłuchu, chwytą w zastawione sieci niepodjęziewających niczego przestępców lub zdrajców i nagrywa na taśmę rozmowę. Fascynuje go również, że ze wszystkich milionów rozmów prowadzonych w tej chwili na świecie jest świadkiem akurat tej jednej. Treść jest zupełnie nieistotna: tamten mężczyzna ma iść w lewo, w prawo, prosto, na rozwidleniu znów w lewo i tak dalej. Ale właśnie gdy chce przerwać połączenie, słyszy, jak pierwszy mężczyzna mówi:

- *When you recognize him, stab immediately.*
- *OK.*
- *You'll receive the rest of your money at the airport.*
- *You bet.*
- *Goodluck.*

W momencie gdy znów pojawia się sygnał zajętego numeru, Wiktorowi opada szczęka. Czy faktycznie właśnie to usłyszał? *To stab* – to przecież „pchnąć nożem”? Instrukcja dla płatnego mordercy? Planowane jest morderstwo! Musi natychmiast powiadomić policję! Podekscytowany chce wcisnąć numer alarmowy, ale uświadamia sobie, że najpierw powinien jak najwięcej zanotować z tego, co zostało powiedziane, inaczej zapomni. Siada przy biurku, odsuwa notatki do *Aurora's Key to Life* i stara się przypomnieć sobie, jak to było. Włączył się w czasie trwania rozmowy, a ponieważ nie słuchał w skupieniu, większość już mu umknęła. Było coś o skrzyżowaniu przy restauracji, potem przejściu przez most, rozwidleniu przy teatrze, przy dyskotecce w lewo... daje za wygraną, już nic nie pamięta. Drżącymi palcami dzwoni na policję.

– Komenda – zgłasza się miły kobiecy głos.

– Dzień dobry, nazywam się Wiktor Werker. Chciałbym złożyć doniesienie o planowanym morderstwie.

– Już pana łączę.

Po chwili słyszy niski głos mężczyzny.

– Kryminalna.

– Nazywam się Wiktor Werker. Przed chwilą próbowałem się dodzwonić do przyjaciółki w Wiedniu, ale w jakiś sposób włączyłem się w rozmowę dwóch mężczyzn, którzy planują morderstwo.

– Morderstwo? Nie będzie aż tak źle. A z czego pan to wnioskuje?

– Jeden z nich powiedział drugiemu, że ma iść przez miasto, tam a tam, a kiedy drzwi się otworzą, musi od razu pchnąć nożem.

– Coś takiego. Mówili po niemiecku?

– Nie, po angielsku, ale jeden ma według mnie holenderski akcent.

– Gdzie pan mieszka?

– W bazylice.

– Ładne miejsce.

– Co teraz zrobimy?

– Najlepiej, żeby pan do nas wpadł, do komendy głównej.

– Ale może konieczny jest pośpiech.

- Właśnie dlatego.
- Już jadę. O kogo mam pytać?
- O inspektora Sorgdragera.

Dzwoni po taksówkę i prosi, by podjechała pod główne wejście do bazyliki. Następnie przełącza telefon na komórkę, przestawia *dzwonienie* na *wibracje*, wkłada notatki do kieszeni i wychodzi na dwór. Samochód już czeka. Jadąc przez zatłoczone, zamglone miasto, usilnie stara się przypomnieć sobie więcej szczegółów z tamtego telefonu, ale w pamięci zostało tylko kilka luźnych strzępów rozmowy. Wyobraża sobie, że gdzieś za jedną z tych barokowych fasad ktoś czyta przy kawie poranną gazetę, nieświadomy czyhającego niebezpieczeństwa. Jak widać, wszystko w życiu może się całkowicie zmienić w jednej chwili.

Na komendzie musi czekać na drewnianej ławce na swoją kolej. Widzi, że nikt nie czuje się swobodnie wśród wszystkich tych mundurów, ale jemu wydają się czymś znajomym, przypominają mu ojca, choć różnica między policją a wojskiem jest taka jak między lisem a lwem. Przy okienku przyglądają mu się nieufnie, jakby to on był podejrzany – tylko z tego powodu, że zjawia się tutaj, nie będąc policjantem. Kiedy mówi, że jest umówiony z inspektorem Sorgdragerem z wydziału kryminalnego, każą mu pójść na trzecie piętro. W zapuszczonej stalowej windzie, po której widać, że była świadkiem niezliczonych walk, nędznie odziana kobieta z siatką na zakupy patrzy na Wiktora nieruchomym wzrokiem, jakby oczekując od niego pomocy.

Z trudem znajduje drogę w starym budynku, który najwidoczniej wielokrotnie przebudowywano i adaptowano. Wydział kryminalny zajmuje kilka wielkich, połączonych ze sobą pomieszczeń, gdzie przy małych stolikach siedzi kilkudziesięciu inspektorów w cywilu i wysłuchuje czyjegoś opowiadania. Komputery jeszcze tu nie nastały, wszyscy siedzą za wysokimi, staromodnymi maszynami do pisania. Ponieważ nikt nie zwraca na niego uwagi, zaczepia małego, rudawego inspektora w samej koszuli, który wychodzi akurat z bocznych drzwi z kartonem mleka i je kanapkę.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie znajdę inspektora Sorgdragera?
- Sorgdragera? – powtarza mężczyzna z pełnymi ustami, nawet nie przystając. Kręci głową. – Nie znam takiego.

– Jak to możliwe? Pół godziny temu rozmawiałem z nim przez telefon.

– Gdyby pan wiedział, co tu się czasem dzieje. Ale niech pan idzie ze mną, będzie pan to musiał załatwić ze mną.

– A jak pan się nazywa, jeśli wolno spytać?

– Lont.

– Miejmy nadzieję, że chociaż pan będzie jeszcze z pół godziny istnieć, panie Lont.

– Raczej tak.

Biuro inspektora Lonta stoi przy oknie. Na szybach są poprzyklejane dziecięce rysunki namalowane czerwoną i niebieską farbą, na parapecie stoją miniaturowe doniczki z miniaturowymi kaktusami. Zanotowawszy personalia Wiktora, inspektor krzyżuje ramiona i odchyła się do tyłu.

– Proszę mówić.

Wiktor opowiada, co mu się przytrafiło, a Lont przygląda mu się jak ktoś, kto niczemu i nikomu nie wierzy, może z wyjątkiem własnego dziecka. Z wyciągniętymi nogami i odchyłoną głową przypatruje się przez chwilę sufitowi, na którym widać wielkie, ciemnobrązowe plamy wilgoci.

– Kilku rzeczy nie rozumiem. Na pierwszy rzut oka wygląda to na porachunki w światku przestępczym, ale to się nie całkiem zgadza. Facet ściąga płatnego mordercę, dajmy na to z Marsylii, ten kupuje gdzieś sztylet i jedzie taksówką pod wskazany adres, niedaleko miejsca, gdzie ma zlecenie. Nie wysiada, rzecz jasna, pod domem, bo w ten sposób taksówkarz za dużo by wiedział. Ostatni odcinek idzie piechotą, załatwia sprawę, chowa nóż i zanim my znajdziemy się na miejscu, siedzi już w samolocie. Ale ten pański człowiek, który najwidoczniej nie zna miasta, musi odbyć długi spacer, zanim będzie mieć okazję dźgnąć. Wszystko to dość zagadkowe.

– Więc?

– Więc nic. Może wkrótce więcej zrozumiemy.

– Ale wówczas będzie za późno.

– To prawda. Cóż, często tak jest z rozumieniem.

– I na tym się sprawa kończy, jeśli chodzi o policję?

– Tak, bo co możemy zrobić, proszę pana? Nie ma żadnych punktów zaczepienia, aby podjąć jakąkolwiek akcję. Te pańskie notatki są mało czytelne i niepełne, to może być wszędzie. Nie zostało wspomniane nic konkretnego, żadna ulica, przynajmniej w tej części rozmowy, którą pan usłyszał, a może sami byli na tyle ostrożni, żeby nie wymieniać nazw. Nie wiemy nawet, skąd była ta rozmowa. Może z Wiednia albo Rio de Janeiro. Nie zostało też powiedziane, kiedy ma się to wydarzyć. Dziś? Jutro? W przyszłym tygodniu? Wiemy jedynie, że pewien mężczyzna A, przypuszczalnie z holenderskim akcentem, zlecił zlikwidowanie kogoś jakimś mężczyźnie B, który też ma jakiś tam akcent.

– Może miał w sobie coś arabskiego.

– Pewnie tak.

– A pan nie ma żadnych podejrzeń, co to za mężczyzna C może być na czarnej liście?

– Jest ich pewnie setka. Ale na jakiej podstawie twierdzi pan, że C jest mężczyzną, a nie kobietą?

– Ma pan rację – stwierdza Wiktor, machając ręką. – Przyznaję, że nie jestem poprawny politycznie.

Lont przez moment badawczo mu się przygląda, ale nic nie mówi. Kiedy sporządza protokół, zgrzytanie maszyny miesza się ze szczękiem innych maszyn; Wiktor wygląda przez okno. Choć zrobiło się już wpół do jedenastej, szara kołdra chmur jest tak gęsta, że wydaje się, iż zapadł zmierzch. Nie może więc liczyć na policję, ale nie wolno oczywiście zostawić tak tej sprawy. Może C jest faktycznie draniem, który mniej czy bardziej słusznie został nominowany do likwidacji i który, jeśli on go uratuje, zniszczy jeszcze niejedno ludzkie życie, na przykład heroiną. Ale może wygląda to zupełnie inaczej. Może C, żona A, zdradziła go z X i dlatego musi umrzeć z ręki B. A może zwyczajnie chce zainkasować jej polisę ubezpieczeniową. Wszystko jest do pomyślenia, seriale policyjne w telewizji nie traktują o niczym innym, ale on ma wrażenie, że nie powinien się dać wpuścić w rozważania, zmierzające do tego, by nie podjąć żadnych działań, zupełnie jakby z wielkiej dali dochodził go głos ojca, opowiadającego mu o wojnie.

Lont bierze protokół i wrywa go z maszyny, stawia krzyżyk i kładzie przed nim. Wiktor podpisuje i ściska mu dłoń.

- I niech pan pamięta – mówi policjant – całe życie składa się z zagadek.
- Ale są po to, by je rozwiązywać.
- Życzę powodzenia.

Kiedy wychodzi na dwór, zatrzymuje się przed nim taksówka. Czeka, aż kierowca pomoże wysiąść dziewczynie z zabandażowaną głową, i wsiada do auta.

- Do centrali telefonicznej.

Skoro policja nie wpadła na ten pomysł, aby wnikliwiej zająć się sprawą, sam to zrobi. Biuro mieści się w dawnym budynku szpitala, gdzie wszystko wskazuje na to, że choroba w dalszym ciągu tkwi w brudnożółtych ścianach. W informacji prosi o rozmowę z kimś z działu technicznego. Przez kwadrans przygląda się z drewnianej ławki ciżbie przewalającej się przez korytarz, potem w jakimś pokoiku przyjmuje go uprzejmy pan w sportowej kurtce, który przedstawia się jako „van der Made”. Na ścianie wisi plakat z gołębiem pocztowym. Kiedy Wiktor kończy swoje opowiadanie i dodaje, że według policji ten ktoś mógł dzwonić z Wiednia lub Rio de Janeiro, van der Made stanowczo zaprzecza:

- Wykluczone. Policja nie ma zielonego pojęcia. Gdzie pan mieszka?
- W bazylice.
- No to rozmawiano w promieniu tysiąca metrów wokół bazyliki.
- Skąd pan to wie z taką pewnością?
- Ponieważ rozmowy z telefonów komórkowych w mieście są transmitowane przez nadajniki rozstawione co tysiąc metrów, innymi słowy – anteny, które przekazują rozmowy do centrali. W pańskiej okolicy taki nadajnik znajduje się na dachu hotelu Excelsior. Z powodu, który też mógłbym panu objaśnić, choć na nic się to panu nie przyda, wszedł pan na kanał tych dwóch kreatur. To całkiem pewne, że chodzi o centrum miasta nad rzeką.

Wyszedłszy na ulicę, zaczyna się wahać. Co teraz? Z powrotem na policję z tą informacją? Tylko że Lont na pewno wymyśli inny powód, aby nic nie robić. Przypuszczalnie powie, że nawet jeśli rozmowę odbyto w mieście, to nie jest powiedziane, że mord też ma zostać tutaj popełniony; zawsze może to być jeszcze Wiedeń lub Rio de Janeiro. Tak, faktycznie może tak być. Mimo wszystko jest wykluczone, aby teraz poszedł do pracy, a jutro przeczytał w gazecie, kogo zamordowano. Musi się sam tym zająć. Widzi, że na zegarze umieszczonym na słupie elektrycznym dochodzi dwunasta. Jego spotkanie! Wyjmuje telefon z kieszeni i dzwoni do instytutu. Przechodnie wymijają go, a on z twarzą pochyloną ku płytom chodnika pyta, czy jego amerykański gość jest tam jeszcze; okazuje się, że wściekły odjechał pół godziny temu. Mówi, że wydarzyło się coś idiotycznego i że nie zjawi się także po południu, wyjaśni to jutro. W recepcji hotelu pyta, czy mają plan centrum miasta, i otrzymuje kolorowy folder dla turystów; teraz kieruje się do pobliskiej Café Arco, gdzie niegdyś był częścią. Przy wejściu nadal stoi jeszcze stary, bezzębny portier w okularach w rogowej oprawie zsuniętych na koniuszek nosa i w niebieskim uniformie woźnicy obszytym galonem.

Secesyjne wnętrze jest mroczne, ściany obite czarną skórą, wytłaczaną w czerwone i złote pasy; ponieważ wszystkie miejsca są zajęte, siada przy długim stole do czytania prasy, nad którym wiszą mosiężne lampy z zielonymi abażurami. Zamawia porcję szynki z chrzanem i szklanekę pilznera, rozkłada plan i wyjmuje swoje notatki z rozmowy telefonicznej:

*Skrzyżowanie przy restauracji.*

*Przez most.*

*Rozwidlenie przy teatrze.*

*Przy dyskotecce w lewo.*

*Coś jeszcze o drzewie.*

To wszystko, co ma z tuzina wskazówek. Nawet kolejności nie jest pewien. Pochyla się nad planem, kto wie, może znajdzie jakiś punkt zaczepienia. Plan jest w skali 1:15 000, jeden centymetr odpowiada stu pięćdziesięciu metrom, tysiąc metrów równa się więc jakimś siedmiu centymetrom. Odnajduje słynny hotel Excelsior, w okolicach bazyliki faktycznie tylko śródmieście wchodzi w grę: restauracje, teatry, dyskoteki nad rzeką, bo poza tym nigdzie indziej w mieście nie ma wody. Rzeka niemal pod kątem prostym opływa centrum; dolicza się tam ośmiu mostów. Na most można wejść z dwóch stron, daje to w sumie szesnaście możliwości; ale ponieważ teatr i dyskoteka wymienione zostały dopiero po moście, to pewnie kierunek jest do śródmieścia. Skrzyżowanie z restauracją musi się więc znajdować na lewym brzegu. Przesuwając mały palec, analizuje mosty, jeden po drugim, i usiłuje przywołać w pamięci wygląd każdego miejsca, ale w niektórych nie był już od lat; dyskoteki znikają zazwyczaj równie szybko, jak się pojawiły, szczególnie w ostatnim czasie. Punktem zaczepienia może być oczywiście także teatr. Szacuje, że jest ich trzydzieści, ale nie zna wszystkich; jednak kombinacja z mostem i dyskoteką musi pozwolić szybko zredukować ich liczbę. Jedząc lunch, zerka kątem oka na plan i w pamięci szuka teatrów nad rzeką. Nagle przestaje jeść. Być może przy Kettingbrug jest układ odpowiadający opisowi. Jest tam teatr, gdzie niegdyś oglądał z Clarą przedstawienie *Fiddler on the Roof*, i jest tam rozwidlenie. Zresztą, przychodzi mu teraz na myśl, nie tak daleko jest też przystanek autobusów jadących na lotnisko! Ale czy są tam drzewa?

Postanawia tam pójść. Tylko nawet jeśli wszystko się zgadza, to nie posunie się ani o milimetr, chociaż kiedy się znajdzie w tamtej okolicy, może przypomni sobie więcej z rozmowy. Próbuje złożyć plan, udaje mu się to za trzecim razem, płaci, rusza.



# Zeszyt jedenasty

## Popołudnie

Tramwaj jedzie wzdłuż rzeki w kierunku zgodnym z jej prądem, równoległe do błotnistych brzegów; Zamek na wzgórzu po drugiej stronie niemal całkowicie zasłania mgła. W miejscu gdzie powinien skręcić w lewo i wjechać na Kettingbrug, tramwaj nagle staje; motorniczy wychodzi z pojazdu i metalową wajchą przerzuca zwrotnicę w prawo. Na przystanku na drugim brzegu Wiktor wysiada i rozgląda się. Jest skrzyżowanie, to już wiedział, ale nigdzie nie widać restauracji. Może przesłyszał się albo pomylił ze sobą dwie instrukcje. Z wolna wraca na prawy brzeg. Bazylika w oddali uzupełnia imponującą panoramę wież i kopuł. Wydaje się sobie śmieszny, ale jeśli dziś lub jutro przeczyta o morderstwie, nigdy sobie nie wybaczy, że nie zrobił wszystkiego, co było w jego mocy. Właśnie jest przerwa na lunch; mimo chłodnego wiatru wiejącego od rzeki promenada wypełnia się spacerującymi urzędnikami, którzy zajadają kanapki z plastikowych woreczków. Na środku mostu wychodzi na niego mężczyzna z wąsikami, cały ubrany na czarno; idzie spiesźnie w przeciwnym kierunku. Wiktor usuwa się na bok, lecz tamten również robi krok w tę samą stronę, potem obaj raz jeszcze ustępują sobie drogi. Kiedy rozbawiony sytuacją uśmiecha się, tamten rzuca mu groźne spojrzenie, jak gdyby specjalnie zagroził mu drogę, w końcu mężczyzna wielkim łukiem demonstracyjnie go wymija. Wiktor odwraca się i patrzy za nim. Nawet plecy tamtego mają w sobie coś złowrogiego. Czyżby to był on? Wraca po skończonej robocie, w kieszeni ma nóż, który zaraz rzuci do wody? Przez moment zastanawia się, czy nie pójść za nim, ale po chwili odrzuca ten pomysł. Chyba postradał zmysły.

Teraz jednak zaczyna się uważniej przyglądać przechodniom. Niektórzy zdają się od razu spostrześć coś dziwnego w jego wzroku i odpowiadają wyzywającą miną, na co on z kolei spuszcza oczy. Z poczuciem, że może jednak lepiej pójść do pracy niż udawać tu śledczego, dochodzi do teatru muzycznego i do rozwidlenia. Przynajmniej to się zgadza – tylko na rogu, gdzie powinien skrócić w lewo, zamiast dyskoteki jest kwaciarnia. Oczywiście brakuje pośrednich wskazówek. Uświadamia sobie również, że usytuowanie przystanku autobusów jadących na lotnisko nie odpowiada jego zapiskom: dworzec autobusowy znajduje się dwa mosty dalej, ale po tej samej stronie rzeki, a więc ktoś, kto szedłby stamtąd w stronę teatru, w ogóle nie potrzebowałby przechodzić przez most; zresztą szedłby wówczas w drugą stronę. Czyżby obaj, Lont i van der Made, mieli rację? Czyżby rozmowa odbyła się tu niedaleko, ale mord miał zostać popełniony gdzie indziej? W Wiedniu? W Buenos Aires? Przyłapuje się na tym, że ogarnia go jakaś dziwna zaciekłość. Zaślepiony nią przystaje przed witryną sklepu z damską bielizną, a we wspomnieniach znów dźwięczą tamte głosy, choć rozumie tylko część rozmowy:

- *When you recognize him, stab immediately.*
- *OK.*
- *You'll receive the rest of your money at the airport.*
- *You bet.*
- *Goodluck.*

Reszta to tylko strzępy zdań i gwar, dochodzący jakby z sąsiedniego przedziału. Nigdzie nie widać też drzew. Choć wie, że to absurdalne, skręca koło kwaciarni w lewo.

Pod koniec ubiegłego wieku, wzorując się na Paryżu, zbudowano tu, w miejscu zlikwidowanego getta, bulwar z reprezentacyjnymi budynkami mieszkalnymi i bankami. Może wskazówki z rozmowy telefonicznej lepiej by pasowały do tamtego dawnego labiryntu, ale jeśli czegoś jest pewien, to tego, że rozmowa nie była prowadzona z dzielnicy żydowskiej, gdyż nie istnieje ona już od ponad stu lat. W poczuciu, że tym samym wyeliminował jeszcze jedną ewentualność, podąża dalej bez celu. Najpierw należy wymyślić wielkie niebezpieczeństwo, potem wyjaśnić sobie, że go wcale nie ma, a będziesz szczęśliwym człowiekiem, rozmyśla.

Stary, zgarbiony włóczęga w łachmanach, o długich siwych włosach, brodaty, w luźnych onucach, przechodząc przez skrzyżowanie, próbuje utrzymać w równowadze wózek zabrany z supermarketu. Wózek wyładowany jest groteskowym mieniem, szmatami, plastikowymi workami pełnymi odpadków; małe kółeczka zaprojektowane do wykonywania skrętów na gładkim linoleum, na krótkich łukach pomiędzy regałami, nie chcą się kręcić na chropawej kostce; to pchając, to ciągnąc, włóczęga robi wszystko, co w jego mocy, aby dotrzeć na drugą stronę ulicy, tymczasem trąbiące auta objeżdżają go ze wszystkich stron. Nagle wózek wywraca się i ni stąd, ni zowąd robi się na środku skrzyżowania śmietnik. Włóczęga przez moment spogląda na to, pojmuje beznadziejność sytuacji i oddala się, zostawiając wszystko za sobą jak konający wspomnienia.

Wiktor czuje wibracje w okolicy serca.

– Werker – mówi, idąc dalej.

Cisza. Przystaje, stuka paznokciem środkowego palca w mikrofon – tak jak się pstryka niedopałkiem papierosa – chcąc, żeby dzwoniący pomyślał, że to stuknięcie oznacza włączenie aparatu.

– Zostań na linii, wtedy centrala będzie mogła odszukać twój numer.

Połączenie zostaje natychmiast przerwane. Może sztuczka się udała i rzeczywiście nałożył na milczącego milczenie. Przeklina Grahama Bella i rozgląda się dookoła. Co tu robi? Czy wciąż jeszcze szuka mordercy? Wśród nagich bżów rozciąga się żydowski cmentarz, który mimo wyburzania dzielnicy zostawiono w znacznej części nienaruszony. Niezliczone nagrobki, spowite strzępami mgły, stoją wsparte o siebie, jak przegniłe siekacze i trzonowe zęby przedpotopowego potwora. Korzenie drzew przebiły się przez dziesięć warstw z setkami tysięcy szkieletów; za każdym razem, gdy kolejne stulecia zapełniały cmentarz, rozrzucano na jego terenie nową warstwę gliny znad rzeki, a na tym wszystkim stawiano nagrobki wciąż nowych formacji. Ponieważ najkrótsza droga do autobusu wiedzie przez cmentarz, otwiera fortę i wchodzi.

Opadłe liście wydzielają gorzki zapach. Tu i ówdzie przechadzają się grupki turystów, przede wszystkim Japończyków, którzy nie przestają się fotografować na tle nagrobków, najprawdopodobniej nie mając pojęcia, kto to są Żydzi. Chciałby wiedzieć, co będą opowiadać, kiedy wróciwszy do Hiroszimy i Nagasaki, zorganizują pokazy przeźroczy dla rodzin i przyjaciół. Ostatni raz był tu przed wieloma laty; towarzyszył amerykańskiemu biologowi, specjalście od komórek, Fleischmanowi, który pełen podziwu zatrzymał się nad grobowcem jakiegoś legendarnego genialnego rabbiego z szesnastego wieku. Idąc, rzuca przelotne spojrzenie na wielki, starannie utrzymany kamień w renesansowym stylu, z hebrajskimi inskrypcjami, nad którymi wyryto winietę z lwem o dwóch ogonach, zwieńczoną szyszką. Dopiero odwracając wzrok, dostrzega mężczyznę, który przygląda się nagrobkowi: ręce w kieszeniach czarnej skórzanej kurtki, nogi w dżinsach, stopy w sportowym obuwiu, na głowie bejsbolówka, a na nosie przeciwsłoneczne okulary, chociaż słońce wcale nie świeci. Wiktor zatrzymuje się, podnosi kamyk i naśladując gest Fleischmana, kładzie go na nagrobku; kątem oka cały czas zerka na mężczyznę. Widoczne fragmenty jego twarzy przypominają mu północnoafrykańskie rysy, raczej nie egipskie, prędzej algijskie lub marokańskie. Płatny morderca? Za wcześnie na jego robotę, więc tu zabija czas?

Powoli posuwa się dalej i ogląda inskrypcje, mając jednak Araba cały czas w zasięgu wzroku; wśród tyłu hebrajskich liter czuje się analfabetą. Zastanawia się, czy nie poprosić go o ogień, żeby mógł rozpoznać głos, tylko że wówczas sam by się zdradził. Po kilku minutach mężczyzna spogląda na zegarek, stawia kołnierz i krętymi ścieżkami rusza do wyjścia na przeciwnym krańcu cmentarza. Podążająca nim, Wiktor myśli: Jestem ofiarą odwróconej manii prześladowczej, ale w pracy nauczył się traktować poważnie każdą swoją nawet najbardziej kuriozalną intuicję. Wszystkie wielkie odkrycia biorą się z kuriozalnej intuicji. Jak będzie wyglądać świat, jeśli usiądę na promieniu światła? – to pytanie zadawał sobie Einstein od czasu, kiedy ukończył szesnaście lat. Już bardziej kuriozalnie nie można było; jednak to właśnie stało się zalążkiem teorii względności. Że pomysł jest rzeczywiście niedorzeczny, okazuje się dopiero wtedy, gdy część błędnej drogi zostanie przebyta i dostrzeżę się bagno.

Z powrotem w świecie żywych, niepochłonięty jeszcze przez ziemię, śledzi podejrzanego indywiduum, podążając za nim wąskimi zaułkami, gdzie rozgościły się sklepy dla turystów i kramy z suvenirami; delikwent wchodzi do małej kawiarni. Wiktor zbliża się do witryny, przystaje, zapala papierosa i widzi, że podejrzany pochyla się i całuje w usta kobietę, która zapewne na niego czekała. Także mordercy mają w zwyczaju całować kobiety, ale w tym wypadku wydaje mu się rozsądne odrzucić podejrzenia. Wzdycha głęboko i postanawia odsunąć od siebie tę sprawę. Swój obowiązek spełnił. Dziwnym zbiegiem okoliczności natury technicznej, trudnych do wyjaśnienia nawet dla fachowców, stał się świadkiem spisku mającego na celu morderstwo, które może właśnie gdzieś w świecie już zostało popełnione. Niech i tak będzie. Ileż to morderstw popełnia się codziennie? Sto tysięcy? Pięćset tysięcy? Przepuszczalnie wystarczająco dużo, by codziennie zapełnić cmentarz taki jak ten, z którego właśnie wyszedł.

Z tym samym uczuciem oczyszczenia, jakiego się doświadcza, opuszczając kino, Wiktor podąża swoją drogą do zamieszkałego świata. Już prawie druga, popołudnie jeszcze niezupełnie stracone, najpierw jednak musi się napić kawy. Znajduje się właśnie w pobliżu hotelu Excelsior, na którym umieszczony jest nadajnik telefonii komórkowej; to hotel w stylu Ritz, w holu głębokie fotele w kwiaty, gdzie kawę serwuje się w śnieżnobiałych imbryczkach na srebrnych tacach, a pod filiżankę podkłada okrągłą bibułę. Od czasu do czasu przechodzi obok kolejnej małej synagogi, które tkwią tu porzucane jak strzępy wspomnień cierpiącego na zanik pamięci; w wąskiej uliczce przyległej do hotelu musi przestąpić przez kable zwisające z okna i prowadzące do wozu transmisyjnego telewizji; nieco dalej ustawiono antenę satelitarną i wycelowano w ten punkt nieba, gdzie wisi niewidoczny satelita. W chwili gdy zbliża się do czerwonego chodnika przed głównym wejściem, zajeżdża długa limuzyna o przyciemnionych szybach, z anteną w kształcie bumerangu na klapie bagażnika. Portier postępuje krok do przodu, zdejmuje cylinder, a pierwszą osobą, która wysiada, nie, wyskakuje, wylatuje, jest – tak, pomyłka wykluczona – Catharina z Harry's Bar.

Na twarzy Wiktora maluje się uśmiech; przystaje. Po drugiej stronie czerwonej linii pokazuje się Amazonka, a za nią jej mąż – ma na sobie czarną pelerynę i czarny kapelusz z szerokim rondem, spod którego zwisają długie siwe włosy, co sprawia, że jego drobna twarz wydaje się jeszcze drobniejsza. Nie ma z nimi Elsy, ich małej dziewczynki. Przez moment rozmawiają ze sobą, stojąc na chodniku, wygląda na to, że on chce ją do czegoś namówić, ale ona kręci przecząco głową; całują się i kobieta oddala się ze swoim małym czarnym jamnikiem. Mężczyzna przez chwilę spogląda za nią, ale ona już się nie odwraca. Szukam mordercy, myśli Wiktor, patrząc na tę scenę, a znajduję papieża sztuki. Podobnie jak przed trzema miesiącami w Wenecji, ma nadzieję, że również tym razem człowiek ten zwróci na niego uwagę, co pomogłoby zamknąć ten pożałowania godny akt, jaki rozegrał się dziś z jego udziałem. Gdy tamten zamierza wejść na schody, także rozpoznaje Wiktora i rusza w jego stronę, machając rękoma.

– Panie Werker! Cóż za niespodzianka!

Wiktor patrzy na niego zdumiony.

– Pan wie, jak się nazywam?

– Oczywiście, że wiem, jak się pan nazywa, każdy wie, kim pan jest. Mam pamięć do twarzy. Widziałem pańskie zdjęcie na okładce „L'Espresso” – wyciąga dłoń. – Kurt Netter – jego dłoń jest tak samo chłodna jak w Wenecji. – Pan wchodzi czy akurat wychodzi?

– Właśnie zamierzałem wejść do środka.

– To wejdźmy razem.

Jak to mają w zwyczaju na południu Europy, ujmując dłonią ramię Wiktora i prowadzi go po schodach, ten tymczasem ma niejasne poczucie, że został aresztowany.

– Jak została przyjęta pańska ekspozycja w Palazzo Grassi?

– Fatalnie. Nikt niczego nie zrozumiał. Z wyjątkiem Cathariny oczywiście. Wydaje mi się, że na razie jestem w La Serenissima *persona non grata*.

– Świat nie dorósł do dialektyki – Wiktor kiwa głową.

– *Du sprichst ein großes Wort gelassen aus* – mówi w szatni Netter, zdejmując z ramion pelerynę paradnym wymachem, aż błyska czerwona podszewka; również pod spodem jest ubrany w modną czerń; mankiety jego koszuli są niezapięte, co w pewnym sensie nie sprawia wrażenia niedbalstwa, tylko światowej mody.

– Ale całkiem spisany na straty też nie jestem, bo inaczej nie byłoby mnie tutaj. Czy pan także zasiada w trybunale?

– W trybunale? – powtarza ze zdziwieniem Wiktor. – Ja w trybunale? Co pan ma na myśli?

– No przecież pan tu jest.

– Zgadza się. Ale po to, żeby się napić kawy. Mieszkam tu, to znaczy w tym mieście.

– Kawa, no tak – powiada Netter – dobry pomysł. Najpierw kawa, choć prawdę mówiąc, nie mam na nią czasu. Przed godziną przyleciałem z Nowego Jorku, nawet nie zdążyliśmy się rozpakować. Świat zrobił się mały jak ziarnko grochu, odległość to tylko kwestia pieniędzy; ma się rozumieć, dla innych ludzi, moje podróże zawsze ktoś opłaca.

Netter zagłębia się w fotelu i opowiada mu, co dzisiaj ma się wydarzyć. Przed zbliżającym się rokiem 2000 dwanaście europejskich stacji telewizyjnych rozpoczęło współpracę nad programem, który ma podsumować dwudziesty wiek. W dwóch cyklach po sześć audycji kolejne trybunały, za każdym razem złożone z dwunastu ludzi o międzynarodowym autorytecie, mają ogłosić, kto w mijającym stuleciu dokonał największych osiągnięć w danej dziedzinie.

Cała gadka o milenium nie jest oczywiście zobowiązująca, bo gdyby dłonie człowieka miały zamiast pięciu po sześć palców, to okazałoby się, że nie ma co świętować. Niechaj więc i tak będzie. Cykl nazywa się *Werdykt* i jest nagrywany w dwunastu stolicach krajów członkowskich Unii Europejskiej. Pierwsze sześć programów ma traktować o nauce i polityce, następne sześć o sztuce. Niedawno w Paryżu pierwsze miejsce w dziedzinie powieści zajął Kafka, po zażartej walce z Joyce'em i mimo protestów francuskiego profesora literatury, który do samego końca starał się przepchnąć Prousta.

– Zresztą jeśli chodzi o biologię, to może ma pan szansę.

– Nie robię sobie żadnych iluzji. To na pewno będą Watson i Crick. Ja wykonałem tylko pracę prostego ślusarza.

– Ale zamek, do którego dorobił pan klucz, jest bardzo wyjątkowy.

Wkłada papierosa do srebrnej lufki i przygląda się w zamyśleniu Wiktorowi.

– *Klucz* – uśmiecha się Wiktor. – Z jakiegoś powodu przypomina mi to tytuł powieści, ale nie mogę sobie przypomnieć, żebym coś takiego czytał.

– Tanizaki napisał powieść pod takim tytułem. Potworną. Dziś w każdym razie na tapecie są sztuki plastyczne. – Skinieniem głowy pokazuje dziewczynę w dzinsach, trzymającą w jednej ręce notatnik, w drugiej telefon. – Pewnie mnie szuka.



Kiedy dziewczyna spogląda w ich stronę, Netter wykonuje nieznaczny ruch dłonią, jakby podbijał cenę na licytacji; ona pośpiesznie podchodzi do nich.

– Pan Netter?

– W rzeczy samej.

– Już martwiliśmy się, że pan nie zdąży. Nagranie zaczyna się za dziesięć minut, musi pan niezwłocznie pójść, aby zrobiono panu *make-up*.

– Moja własna maska mi wystarczy – odpowiada Netter, wstając, a do Wiktora: – Co ma pan teraz w planie?

– Właściwie nie wiem. Dziś jestem trochę skołowany.

– To proszę dotrzymać mi towarzystwa, a po wszystkim pójdziemy coś zjeść do Włocha, pan płaci.

Wielka sala hotelu z żyrandolami, lustrami i marmurowymi kolumnami, zaprojektowana jako autostylizacja burżuazji, przemieniła się w dychotomiczną przestrzeń, której nikt z żyjących na początku wieku by nie poznał. Technika wtargnęła do wiktoriańskiego przepychu i zbytku jak wirus do jądra komórki. Zwoje kabli i drutów walają się poskręcane na perskich dywanach i parkiecie, gdzieś tam poprzyklejano je czarną taśmą, kamerzyści i kamerzystki w słuchawkach na uszach patrzą do góry w swoje kamery, pozostali technicy na migoczące u ich stóp monitory. Wszystko nakierowane na stół w kształcie Π z czterema krzesłami z każdej z trzech stron, za którym rozsiadł się trybunał. Tylko jedno krzesło z boku jest jeszcze wolne; przed nim widnieje tabliczka:

*Kurt Netter*

*Ryga*

A więc Łotwa. W każdym razie zalicza się do międzynarodowego grona ekspertów, którzy w różnych dziedzinach mają coraz więcej do powiedzenia w Europie. Autorytety siedzą rozluźnione i prowadzą między sobą rozmowy, większość jest dystygowana i kontrastuje z niedbałym personelem telewizji – zwłaszcza dzięki charakterystycznym głowom, które wydają się dziełami sztuki. Najwyraźniej człowiek staje się tym, czym się zajmuje. Pod ścianami zgromadziła się publiczność, której zadaniem jest sprawić na widzach wrażenie, że w tym uczestniczy. Nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że jest zupełnie nie na swoim miejscu, Wiktor sadowi się w tej ludzkiej tapecie.

Netter wita się pośpiesznie z pozostałymi i dopiero potem siada – najwidoczniej zna tu wszystkich; prowadzący program lokuje się pomiędzy nogami II. Wiktor zna go z widzenia: Arthur Marcelis, budzący postrach polityk ze środowiska socjaldemokratów.

Wyglądem przypomina rosyjskiego generała w cywilu, przysadzisty, krępy, ale o smukłych, subtelnym dłoniach skrzypka, które do niego nie pasują. Szef działu technicznego wygłasza ostatnie uwagi i prosi o ciszę. Z podniesionym ramieniem, twarzą zwróconą ku sufitowi, który pokrywają amorki, teraz on z kolei czeka na rozkazy płynące ze słuchawek. Po kilku sekundach opuszcza ramię, kierując je w stronę Marcelisa, jakby płał go mieczem.

Przywitawszy wszystkich tutaj i przed odbiornikami, moderator usprawiedliwia się do kamery, że musi mówić po angielsku, ale tak to już jest w dzisiejszym świecie, z wyjątkiem Anglii na telewizorach będą się pokazywały napisy, zresztą czytanie nigdy nikomu nie zaszkodziło. Z prowokacyjnym śmiechem oznajmia, że nie ma bladego pojęcia o współczesnych sztukach plastycznych i że właśnie dlatego jest predestynowany do prowadzenia dyskusji. Tak bazgrać jak dwudziestowieczni malarze potrafi nawet jego pięcioletni synek, trzebież Mondriana przypomina mu do złudzenia znaki drogowe, a co się tyczy dzieł sztuki w rodzaju gomół tłuszczu ułożonych w kątach pomieszczenia z hałdą węgla pośrodku, nad którą dynda podwieszony na linie świński łeb, to gdyby jego synek spróbował zrobić coś takiego w domu, dostałby lanie i musiał iść spać bez kolacji.

Nie wszyscy się śmieją, ale tonacja została podana. Na tak chytrze zarysowanym tle, dzięki któremu połowa widzów pozostanie przy odbiornikach, trudno będzie pikturalnym koryfeuszom uniknąć śmieszności. Jednak wyrobiony i elegancki mężczyzna, jak głosi tabliczka dyrektor Kunstsammlungen Nordrhein-Westfalen, natychmiast odbija piłeczkę:

– Nie jest wykluczone, że pański pięcioletni synek może tyle, ile może Picasso, żeby przy tej okazji od razu wymienić zwycięzcę. Pan już jednak tego nie potrafi.

– Punkt dla pana – stwierdza Marcelis, odczekując śmiechy i aplauz publiczności na trybunie. – Artyści są dziećmi. Bawią się.

– W takim razie musimy pomówić o słowie „bawić się” – wpada w słowo dyrektor Tate Gallery, a kamera czuje się zobowiązana zrobić szybki najazd na tego żółtawego Anglika, który w marynarce w kratkę, w koszuli w kratkę i w krawacie w pasy wygląda jak ktoś, kto właśnie bawi się w Anglika. Środkowym palcem dotyka kciuka i w elitarnej oksfordzkiej angielszczyźnie wykłada:

– Kiedy obserwuje pan zabawy swojego synka, mówi pan do żony: „Jakżeż ładnie się bawi”. I ma pan na myśli sposób, w jaki on się bawi. Ale kiedy pan się bawi, wie pan, że to zabawa, podczas gdy dla dziecka zabawa jest czymś zupełnie innym, mianowicie najgłębszą powagą. W *taki* dziecięcy sposób bawią się artyści i jest to niemal zaprzeczenie miłego sposobu, w jaki pan i ja się bawimy. Sztuka jest dziecięcą zabawą. Może powinniśmy właśnie tak interpretować pańskie nowatorskie spojrzenie.

Znowu oklaski. Ale zaraz do dyskusji zostaje dodana łyżka dziegciu. Dama w obszernej szacie, z rozpuszczonymi siwymi włosami, przypominająca wróżbitkę, choć to dyrektorka paryskiego Musee d'Art Moderne, odzywa się po francusku:

– Uderzające jest, że w takich bzdurnych przesądach zawsze chodzi o synków, a nigdy o córeczki.

Ta uwaga przynosi trzecią falę braw, ale Wiktor nie klaszcze. Córeczki. Nieco przygnębiony przygląda się ciętej Francuzce; widziana z daleka ma w sobie coś z Clary: wprawdzie starsza i brzydsza, ale roztaczająca tę samą aurę rezerwy.

– *Mea culpa, mea culpa* – mówi Marcelis, bijąc się pięścią w pierś – *mea maxima culpa*. To łacina, której także nie wprowadziliśmy jako języka naszego spotkania, *madame*.

Po tej reprimendzie nagle podnosi rękę madrycki profesor historii sztuki.

– Może kiedyś była pani katoliczką, ja jestem nadal katolikiem – woła, zsunąwszy okulary na czubek nosa – ale to jeszcze nie upoważnia pani, żeby publicznie łamać pewne normy. Proklamowanie równości między synkami a córeczkami jest politycznie bardzo poprawne, również w sztuce, i pozwala zbierać brawa, ale czy odpowiada to także prawdzie? Nie, panie i panowie – zresztą znacznie mniej jest tu pań niż panów – to nie jest prawda. Powiem więcej: to nie może być prawda. Panie i panowie są równi, ale nie tacy sami, bo panowie nie mogą rodzić ani synków, ani córeczek. Już w czasach prehistorycznych było tak, że tylko mężczyźni polowali, bo panie były w ciąży i musiały siedzieć w domu w jaskini, żeby opiekować się dziećmi. I tak już zostało.

– I oto znów mamy obskurancki podział ról – ostro przerywa mu paryżanka, tym razem po angielsku. – Wydawało mi się, że już mamy to za sobą. Mówi pan tak, bo nie ma pan ochoty zmywać naczyń.

– O, jakże nienawidzę tych słów: „podział ról”. Jestem kawalerem, proszę pani, robię zakupy, gotuję, zmywam po sobie naczynia i sprawia mi to przyjemność, gdyż właśnie wtedy potrafię najlepiej skupić myśli, lepiej niż przy biurku. A skoro już jesteśmy przy rolach. Nie ma ról. Rodząca kobieta tak samo nie odgrywa teatru, jak tworzący artysta.

– Czy nie zapędziliście się państwo troszkę? – pragnie się dowiedzieć dyrektor Kunsthaus Zurich.

– Może, ale takie właśnie jest moje stanowisko. Czy mogę dokończyć myśl? Myśliwi mogli się całymi dniami zapędzać, na przykład goniąc za bizonem, ale ich kobiety musiały w gospodarstwie domowym robić raz to, raz tamto, zrywać zioła, doić kozy. Nie miały i nie mają obsesji, zamiast tego mają dzieci, kobiece obsesje drogo by dzieci kosztowały. Jedyne, co się zmieniło, choć wcale nie tak zasadniczo, to bizon. Teraz opętancze polowanie mężczyzn skierowane jest na taką grubą zwierzynę, jak majątek, władza, sława, odkrycia, rozwój naukowych teorii, tworzenie dzieł sztuki. Wszystko to ma naturę pierwotnego bizona.

– A zatem, Thomás, nie jest wykluczone – odzywa się druga kobieta w tym towarzystwie, prezes nowojorskiego Museum of Modern Art – że wasze paleolityczne malowidła naskalne w grotach zostały zrobione przez kobiety, kiedy ich mężczyźni jak opętani biegali za bizonami.

– Nowatorska hipoteza!

– Jak widać, także kobiety potrafią się zapędzić – zauważa chłodno Marcelis. – W każdym razie niektóre.

Zerka na szefa działu technicznego, który kiwa głową i palcem wskazującym zatacza krąg: ciągnąc dalej, pewnie reżyser powiedział mu tak do ucha. Marcelis, na którego twarzy maluje się grymas zadowolenia, pozostawia dyskusję jej własnemu biegowi: na stole montażowym zobaczą, co z tego się nada.

– Może faktycznie kobiety były pierwszymi artystami plastykami – ciągnie Amerykanka z przeszywającym spojrzeniem – chyba można tego nawet dowieść.

– Teraz naprawdę zaintrygowałaś mnie, Agnes.

– Przypominam sobie pewne frapujące rysunki dłoni; z rozczapierzonymi palcami przyłożono je do skały, kolorem pokrywając tylko powierzchnię wokół, zupełnie jakby ktoś użył sprayu.

– Negatywowe dłonie – kiwa głową Hiszpan. – Tak się mówi.

– Patrzcie państwo. A przeprowadzono badania, czy te negatywowe dłonie są męskie, czy kobiece? Przecież na podstawie resztek szkieletów można określić płć człowieka?

Profesor zdejmuje okulary z nosa i spogląda na nią zdumiony.

– O ile wiem, nikt jeszcze tego nie rozważał. Ale obawiam się, że te malowidła skalne również powstały jako produkt obsesji, metafizycznej obsesji innego rodzaju, i że pierwsi artyści plastycy byli mężczyznami. Ostatni zresztą też. Zebraliśmy się tu dziesięć, dwanaście tysięcy lat później, ale ze stuprocentową pewnością posiedzenie naszego trybunału zakończymy podaniem nazwiska mężczyzny.

– Skoro jest to pewne na sto procent – wtrąca Marcelis – to nasze zadanie jest łatwiejsze o pięćdziesiąt procent, a cała ta dyskusja okazuje się niepotrzebna. Dokonywane tu rozróżnienie między mężczyznami a kobietami przywodzi mi na myśl rozróżnienie między politykami a urzędnikami. Politycy jako opętani myśliwi w pogoni za bizonem władzy, urzędnicy jako wieczna ciągłość w domu, gdzie trzeba wydoić kozę. Urzędnicy to najwyraźniej żeński element społeczeństwa.

– niesprawiedliwość wołająca o pomstę do nieba! – wykrzykuje wesoły męski głos spośród publiczności.

– Haniebna dyskryminacja – zgadza się Marcelis i śmieje się. – A czy wiecie, że w więzieniach kobiety stanowią zaledwie jeden procent populacji? Czy nie jest to zawstydzające?

– Mogę jeszcze coś dodać? – pyta nieśmiało dyrektor amsterdamskiego Stedelijk Museum. Jego stonowany głos od razu kładzie kres rozbawieniu i poruszeniu wśród publiczności. Okrągła twarz okolona jest złotawosiwymi lokami, dzięki czemu przypomina on amorka z plafonu, tylko dorosłego.

– Oczywiście. A potem przejdziemy do meritum sprawy.

– Może spojrzelibyśmy na cały układ z innej strony. Może ci, którym czegoś brakuje, to nie kobiety, lecz mężczyźni. Czy nie może być tak, że mężczyźni polują na bizona z rozpaczą? Z głęboko ukrytego urażenia, którego nie mogą dostrzec, bo inaczej zatraciliby siebie? Może problem polega nie na tym, że kobietom brakuje obsesji, ale że mężczyznom brakuje dzieci. W czasach prehistorycznych nie znano związku między kopulacją a rodzeniem dzieci, to odkrycie późniejszej daty. Ale ograniczę się do sztuk plastycznych: może wszystkie te arcydzieła nie są w ostatecznym rozrachunku niczym więcej niż tylko aktami rozpacz, ponieważ ich twórcy nie są w stanie urodzić dzieci. Może z lepszym czy gorszym rezultatem starają się wyemancypować, tworząc surogaty dzieci. To znaczy: może to właśnie kobiety są prawdziwymi panami stworzenia. One nie mają powodu do rozpacz.

Marcelis rozgląda się pytającym wzrokiem.

– Czy to jest to zbawcze słowo? Czy potrafimy się w tym odnaleźć? – A ponieważ nikt nic nie mówi, zwraca się do kamery: – Teraz, panie i panowie, nastąpi godzina prawdy. Artystyczny sanhedryn w niniejszym niepowtarzalnym składzie przechodzi teraz do wskazania największych spośród artystów, tworzących surogaty dzieci w dziedzinie sztuk plastycznych w dwudziestym wieku.

Zaprasza obecnych, by kolejno, zgodnie ze wskazówkami zegara, podali po dwóch kandydatów, opatrując wnioski krótkim komentarzem; potem rozpocznie się właściwa narada.

Niczym wystraszony mały zwierzaczek drży telefon na piersi Wiktora. Nerwowym ruchem wsuwa dłoń do kieszeni i wyłącza go, zdumiony tym nieoczekiwanym powrotem z odległej epoki kamienia łupanego do ambarasu dnia dzisiejszego. Czuje się osaczony, wydaje mu się, że wszystko to dzieje się ze względu na niego, niczym w powieści, tym paranoidalnym gatunku, gdzie wszystkie wydarzenia przycięte są na modłę głównej postaci. Chce stąd uciec, teraz, zaraz, prosto do jakiegoś biura podróży, żeby zabukować wakacje gdzieś na drugim krańcu świata, na małej karaibskiej wysepce, gdzie słońce praży z nieba i zawsze wieje wiatr, a zielony legwan ze skalnego bloku nieporuszenie spogląda na ocean. Ale nie wstaje, inaczej zakłada teraz nogę na nogę i przysłuchuje się ekspertom – nie, nie przysłuchuje się, wysłuchuje ich propozycji, które strzępami przepływają obok niego: elegijny Picasso, a jakże, dewocyjny Mondrian, a jakże, prekursorski Duchamp, a jakże, święty Beuys, a jakże...

Kiedy przychodzi kolej na Nettera, ten przez moment patrzy do swych notatek.

– Skonstatowałem, że wśród nazwisk, które do tej pory usłyszałem, nie ma żadnego rzeźbiarza. Duchamp i Beuys nie są właściwie malarzami, oni reprezentują trzecią kategorię, mianowicie instalatorów, do których nasz moderator robił już subtelne aluzje podczas swego pomysłowego zagajenia. Zgadzam się, że Brancusi, Giacometti, Moore i jak tam się oni wszyscy nazywają, nie mają takiej pozycji jak Picasso czy Mondrian, ale skąd się to wzięło? Dlaczego w naszym stuleciu malarstwo jest tak fascynujące, a rzeźba w zasadzie nudna? Nikt tego nie wie. Nawet odkrycie afrykańskich masek i figur miało wpływ jedynie na malarstwo, na rzeźbę zaś tylko nieznaczny. Pytania, pytania. Dlaczego w takim kraju jak Holandia było w siedemnastym wieku nieskończenie wielu wspaniałych malarzy i dlaczego sto lat później wszystko się skończyło? To najwyraźniej coś w rodzaju epidemii, która nagle wybucha, rozprzestrzenia się, by potem równie szybko zaniknąć. Dwudziesty wiek z niezbadanych powodów jest stuleciem malarzy, a nie rzeźbiarzy. W antyku było akurat na odwrót. Żaden grecki malarz nie mógł się mierzyć z Praksytelesem. Dorównał mu dopiero dwa tysiące lat później Michał Anioł.



– Bez wątpienia – wpada mu w słowo Marcelis – każdy może się od pana wiele nauczyć, panie Netter, ja przede wszystkim. Ale może mógłby pan już przejść do wniosków. Nie chcemy wiedzieć, kto *nie* jest pańskim kandydatem.

– *Mea culpa* – odpowiada Netter ironicznie. – Ja jednak muszę się jeszcze bardziej cofnąć w czasie niż Praksyteles, aby zademonstrować, o kogo mi chodzi. W ten sposób dochodzę do pierwszego rzeźbiarza: Pigmaliona. Każdy zna tę opowieść. Mizogin ten wyciął z kości słoniowej figurę nagiej kobiety, w której się zakochał i która ożyła. Dzięki pomocy Afrodyty kość słoniowa przemieniła się w ciało i krew. To właśnie nazywam kreacją. On zniósł granice między sztuką a rzeczywistością. Gdyby Pigmalion żył w dwudziestym wieku, byłby moim kandydatem.

– Ale nie żył w dwudziestym wieku. Według mnie w ogóle nie istniał.

– Tak, jest postacią mityczną, żyjącą tylko w *Metamorfozach* Owidiusza. Zresztą Owidiusz sam nie wymyślił opowiadania o Pigmalionie. Jest ono tworem... no właśnie, czym? Nikt nie wie – ale wiek dwudziesty dał nam człowieka z krwi i kości, który dorównał Pigmalionowi.

Marcelis rozdziawia usta, także pozostali patrzą z niepokojem na Nettera.

– I kto to jest?

Netter nagle wstaje; Wiktor dostrzega w nim jakieś profetyczne uniesienie. Jego oczy błyszczą, a białe loki niemal powiewają wokół głowy.

– Słyszę echo dwudziestego pierwszego wieku! – woła podniesionym głosem. – Coś się nie zgadza! Tam przygotowywana jest straszliwa Noc Walpurgii, potworny sabat czarownic, wszystko to jest rezultatem stwórczego dzieła największego artysty tworzącego surogaty dzieci, nie tylko dwudziestego wieku, nie, wszech czasów! A może jego superbizon będzie największym błogosławieństwem, jakie kiedykolwiek spadło na ludzkość? A może i jedno, i drugie, bo tak to się zazwyczaj dzieje w życiu? Tam siedzi mój kandydat – oznajmia i wyciąga ramię. – Drugi Pigmalion, który zniósł granicę między życiem a śmiercią, który nie kość słoniową, lecz glinę obudził do życia: Wiktor Werker!

Chyba śni? Czyżby Netter zwariował? Na widok wskazującego palca, zdumionych twarzy obracających się w jego stronę, kamer, które pośpiesznie kierują się na niego, Wiktora ogarnia strach. Drży; wstaje.

– Ja... – jąka się.

Chce powiedzieć, że to bez sensu, że Netter nie zrozumiał jego dzieła, że być może myli go z badaczami, którzy klonują zwierzęta, a niebawem pewnie i ludzi, że jego dzieło ma w zasadzie wyłącznie znaczenie filozoficzne, że na dobrą sprawę tylko sam siebie przemienił z chemika w biologa – a może Netter rozumie to lepiej niż ktokolwiek inny? Lepiej od wszystkich, nawet lepiej od Ojca Świętego, a w każdym razie lepiej od niego samego? Czy to właśnie „filozoficzne znaczenie” jego jednokomórkowego bizona ma wywołać w następnym wieku Noc Walpurgii? Zaratustra Nietzschego miał wizję, że Bóg umarł, może on, Wiktor, stwarzając życie sto lat potem, rzeczywiście wymazał Boga? Czy duchem przykazania „nie zabijaj” nie jest przypadkiem przykazanie „nie stwarzaj życia”?

Wszystko zawirowało, nie potrafi znaleźć słów, bezradnie wymachuje ramionami i nagle pośpiesznie wybiega z sali. W holu słyszy dziewczynę wywołującą jego nazwisko, ale nie odwraca się, zeskakuje ze schodów i wybiega na ulicę. Pogoda się zmieniła, znad rzeki podeszła gęsta mgła. Przystaje dopiero na rogu koło Altneuszul, pod zegarem na żydowskim ratuszu, którego wskazówki obracają się w przeciwną stronę, oblewa go pot, serce wali młotem, łapie powietrze.

## Zeszyt dwunasty

# Spotkanie

W bazylice panuje tłok, sklepy są otwarte, wszędzie pobrzmiwa muzyka. Dyskoteka jeszcze zamknięta, ale na tarasie przed kregielnią nie ma wolnego stolika; także przed kasą małego teatru, mieszczącego się w dawnej sali parafialnej, stoi kolejka czekających. Wiktor przystaje koło winiarni, wyciąga telefon i łączy się z pocztą głosową.

– Masz jedną nową wiadomość. Aby odsłuchać wiadomość, wciśnij jeden.

Słuchając kolejnych propozycji składanych namaszczonym kobiecym głosem, zaczyna się wahać; ale w końcu naciska jedynekę.

– Wiadomość otrzymana dziś, godzina szesnasta zero dwie.

Cisza.

– Aby zachować wiadomość...

Wymazuje wiadomość, której nie było, a jednak istniała. Chcąc uwolnić się od poczucia zagrożenia, postanawia najpierw pójść coś zjeść w Mirafiori.

*Ristorante Italiano*, przypominająca relikw z lat pięćdziesiątych, znajduje się w pasażu handlowym, obok ruchomych schodów; z drugiej strony graniczy z antykwarem sprzedającym plakaty i nieco podejrzanym kantorem wymiany walut. Nawet we Włoszech nie znajdzie się już dziś takiej restauracji: trzeszczący parkiet, boazeria, do której przybite są folklorystyczne postaci powycinane z deszczulek i którą kończą lustra, takie jak te nad umywalką, ściany pokrywają zdjęcia z autografami dawno zmarłych śpiewaków operowych. Ale kelnerzy są w czerni, serwety z płótna, a w jadłospisie nie ma pizzy. Ruch jest niewielki. Siada przy najmniejszym stoliku, ale po drodze zmuszony jest pozdrowić kilku stałych klientów, pisarza i malarza z żonami oraz samotnego adwokata z gazetą. Właściwie powinien tu teraz siedzieć z Netterem.

Opiera się łokciami na stole i pociera twarz dłońmi. Dzień z życia wariata, myśli. Czuję się jak pięciokrotnie przedarta kartka papieru w koszu, trzydzieści dwa skrawki, obustronnie gęsto zapisane, przekształcone w puzzle. Będzie musiał jeszcze po nie sięgnąć i złożyć z nich jakąś całość, ale na razie nie chce o tym myśleć.

– *Buonasera, professore.*

Nad nim stoi kelner, serwetka na lewym przedramieniu, jadłospis w prawej dłoni.

– Mauro, daj mi talerz spaghetti. *Aglio olio peperoncino*. I jeszcze *mezzo orvieto*.

– *Va bene. Subito.*

Mauro gna, jakby otrzymał zlecenie, które nie może czekać ani sekundy. Wiktor zamyka oczy i pyta się w duchu, kogo naprawdę tak zażarcie poszukiwał dzisiejszego popołudnia. Siebie samego? „Powiniennem wykonać skok”, wypowiada bezgłośnie, poruszając tylko ustami, a myśli: skok z takiego życia w inne życie. Musi brać przykład z matki. Napisać *Aurora's Key to Life*, wyemigrować do Kanady i zostać drwalem. Zapomnieć o całej chemii oraz mikrobiologii i otworzyć w Dordogne sklepik ze starociami. Wecisnąć holenderskim migrantom spróchniałe chłopskie zydle. Teraz jeszcze można to zrobić. Ma czterdzieści dwa lata, jako naukowiec odniósł sukces, więc w tej branży jest skończony, jego laury jak tatuaże na zwirotczalnych ramionach starca, wykonane, kiedy imponujące mięśnie połyskiwały jeszcze młodością i oliwą, wzbudzały zazdrość pewnego gatunku mężczyzn, choć były raczej przeznaczone dla kobiet, aczkolwiek te pozostawały na nie obojętne. Zniknąć. Stać się niewidocznym. Na dzwonek telefonu: nie odbierać, nawet jeśli to szwedzka ambasada. A jeśli to Clara? Nie odbierać.

Pijąc kawę, zastanawia się, jak spędzi wieczór. Nie zabierze się już do pracy, na myśl o pójściu do kina wzdraga się. Postanawia posiedzieć na górze przed telewizorem, obejrzeć jakiś kryminał, z samochodami, pistoletami i okularami przeciwsłonecznymi jako uniwersalnymi aktorami w rolach głównych. Płaci rachunek i ścisną dłoń Mauro, następnie wychodzi na zewnątrz, które jeszcze jest wewnątrz. Obok żłobka dwóch ochroniarzy próbuje wyprowadzić wychudłego narkomana; zastygły, z rozłożonymi ramionami, pochylony nieco do przodu, gapi się na płyty posadzki, poprzez płyty posadzki, przez całą ziemię, na wylot. Wiktor wsiada do windy, potem idzie do swojego mieszkania pograżonym w ciszy labiryntem kładek, schodów i wewnętrznych podestów. Na galerii stary dozorca podlewa platan; pomiędzy witrażami liście zwisają w tak nienaturalnej ciszy, jak chorągwie w średniowiecznej sali rycerskiej. Ta cisza jakby go wchłaniała, struga wody z węża, który trzymał w rękach, odpowiada kształtem jego plecom, jego białym brwiom i kącikom jego ust.

– Wszystko w porządku, panie Werker?

– Jakoś do przodu, Hendriku.

– Wygląda pan na zmęczonego.

– Zgadza się. Chyba dziś się wcześniej położę.

– Ja też czasem tak próbuję – kiwa głową dozorca i zakręca kran. Werker zauważa, że tamten sposobi się do jednego ze swych obszernych rozważań. – Ale potem budzę się po kilku godzinach. I co wtedy? Człowiek wstanie w środku nocy, siądzie na krześle i czyta godzinami jakiś tygodnik z ubiegłego miesiąca, który zapomniał wyrzucić. Niekończące się artykuły, które człowieka nie interesują. Dokończenie na stronie tej a tej. Na przykład ostatnio był taki kawałek o księżce o piramidach, która właśnie się ukazała. Może pana to zainteresuje, był pan przecież w ubiegłym miesiącu w Egipcie, przesyłałem panu pocztę. O ile sobie dobrze przypominam, autor odkrył, że trzy piramidy w Gizie są projekcją trzech gwiazd tworzących pas Oriona i że ustawiono je w takim miejscu, by Nil odpowiadał Drodze Mlecznej. Dowodzi tego...

– Wprawdzie nie słyszałem o tym, ale wiem, co chce pan powiedzieć – wpada mu w słowo Wiktor. – Wszystko zawsze musi być inaczej. Jaki jest tytuł tej książki? Zbieram takie rzeczy.

– Nie pamiętam. Coś z „misterium”, chyba.

– Na pewno znajdę.

– Gwiazdozbiór Oriona był dla dawnych Egipcjan Ozyrysem. Kilkakrotnie go zamordowano, ale zawsze wstawał z martwych...

– Wskrzeszany przez Tota – kiwa głową Wiktor.

– No tak, pan przecież zna to wszystko. Ale czy pan wie, że jego żona Isis miała jeszcze dziecko z jego zwłok, kiedy po raz kolejny był martwy?

– To dla mnie nowość – mówi Wiktor i stara się roześmiać, ale mu się nie udaje. – Tak, Hendriku, to były czasy – i bardzo szybko znów nastaną, ale tym razem naprawdę.

Dozorca chusteczką przeciera oczy, a Wiktor dostrzega, że jego dłoń lekko drży. Nadciąga doktor James Parkinson. Może także doktor Alois Alzheimer. Rozum jeszcze w porządku, ale z odruchami coraz gorzej; słowa stają się coraz płynniejsze i same zaczynają ślinić się z ust, podobnie jak pismo, które robi się coraz mniejsze – dopóki nie stanie się jedną prostą linią, jak encefalograf zmarłego.

Wiktor ostentacyjnie spogląda na zegarek.

– Proszę mi nie brać tego za złe. Ale jestem umówiony.

– Dobranoc, proszę pana.

A kiedy Wiktor odpowiada mu uśmiechem, dozorca rzuca:

– Z Bogiem.

W zapuszczonym pokoju zdejmuje marynarkę i opada na fotel, wyciąga nogi, dłonie składa na karku i rozgląda się. Nic się nie zmieniło. Sekretera Clary. Białe, na wpół opróżnione regały na książki. Bezruch przedmiotów drażni go, więc włącza telewizję, która momentalnie realizuje wszelkie oczekiwania: zapowiedź cyklu wywiadów, szybko i płynnie przewijają się twarze poprzednich gości, politycy zamienieni w idoli sportowych, idole w przestępców, przestępcy w artystów... wie, że ta technika komputerowa nazywa się „Morphing”; posługują się nią wszystkie współczesne horrory. Netter nazwałby to może „zasadą Owidiusza”. Wyłącza głos i idzie do pracowni. Na biurku, obok zmumifikowanego małpiego niemowlęcia, wciąż leży rozłożony album ze zdjęciem Clary przed Grotą Edypa, tak jak zostawił go wczoraj – mały Hermes przypatruje się temu wszystkiemu uważnie. Faks nie został jeszcze odstawiony na stół, przy którym jadł z braćmi Dodemont. Trzy kartony mleka. Bierze z biblioteczki *Metamorfozy* i szuka fragmentu o Pigmalionie; siada przy gotyckim oknie.

*Wraca rzeźbiarz do domu i posąg całuje,  
Widzi, jak ogień życia martwy głaz zajmuje,  
Już śmielszy, z uwielbieniem pierś przyciska piękną;  
Przykłada usta, z wolna wszystkie członki miękną;  
Tak za dogrzaniem słońca wosk twardość swą traci  
I w dotykaniu różnej nabiera postaci  
Nie śmie wierzyć, lecz chwyta omyłkę mu drogą  
I raz jeszcze kochankę obejmuje z trwogą.  
Biją dotknięte żyły, posąg został ciałem.<sup>3</sup>*

Poruszony spogląda przez okno. Nad S rzeki zapada zmrok; we mgle nie widać hotelu Excelsior. Jak głupek błąkał się tam na dole w poszukiwaniu mordercy. Kiedy z oddali słyszy syrenę karetki, przechodzi do salonu i naciska teletekst lokalnej stacji telewizyjnej: ani słowa o morderstwie, ale to jeszcze nic nie znaczy, może dopiero teraz je odkryto. Nagle znów widzi palec Nettera wyciągnięty w jego kierunku. Wygląda raczej na to, że jego niestosowna pochwała była oskarżeniem: prokuratorskim oskarżeniem, tak jakby *on* był mordercą. Choć jeśli ktoś na ziemi jest całkowitym przeciwieństwem mordercy, to właśnie *on*.

Wraca do pracowni, siada przy oknie i czyta Owidiusza, aż nie jest już w stanie odróżnić liter. Przez lekko uchylone drzwi do salonu wpada do pracowni tylko słaba poświata tekstu na ekranie. Nie, nie musi ścinać drzew w Kanadzie, po prostu musi wykonywać swoją pracę, nawet jeśli największe osiągnięcie ma już za sobą. Większość ludzi w ogóle nie ma żadnych osiągnięć, a mimo to wykonują zwyczajnie swoją pracę; to jakiś absurd, żeby wielkie osiągnięcie miało prowadzić do większego niezadowolenia niż brak takiego osiągnięcia. Ale może największe osiągnięcie zawsze jeszcze jest przed człowiekiem, może największym superosiągnięciem jest umieranie: przejście z czegoś do niczego, równie niemożliwe, jak przejście z niczego do czegoś, co przytrafiło się każdemu. Człowiek musi utrzymywać równowagę na linii rozciągniętej pomiędzy niczym a niczym, myśli.

Najchętniej pozapalałby teraz wszystkie światła, zaciągnął zasłony i włączył jakąś nieskomplikowaną muzykę, nie Mahlera, raczej Smetanę czy Dvoraka, nie rusza się jednak z miejsca i siedzi w ciemnościach. W San Francisco jest teraz poranek; jego matka z papierosem w ustach kręci się w wysłużonym szlafroku po mieszkaniu, nastawia kawę. Zupełnie jakby tam był. Znow po całym kampusie w Berkeley kręcą się popijający studenci. Jako siedemnastoletni chłopak miał zwyczaj przed zaśnięciem przypominać sobie w szczegółach cały miniony dzień, nawet twarze ludzi, z którymi jechał tramwajem – może wówczas rozwinął swoją wzrokową pamięć. Zapala papierosa, a ponieważ nie czuć dymu, gdy go nie widać, wydmuchuje go w stronę rozżarzonego końca papierosa. Jesienna Wenecja powróciła do weneccjan; na opustoszałym Piazza San Marco, ponownie pogrążonym w swoim tysiącu lat, nawet gołębie wycofały się pod gzyms Prokuracji. W delikatnym świetle latarni pod arkadami, wzdłuż spuszczonej żaluzji sklepów spaceruje dwóch wypielegnowanych starszych panów. Za każdym razem, kiedy jeden zaczyna coś mówić, przystaje i stoi, dopóki nie skończy, idą potem kilka kroków, po czym drugi staje i odpowiada – najwyraźniej w tym wieku nie jest się w stanie jednocześnie iść i mówić. Widzi to, jakby przy tym był, ale go tam nie ma. Czy naprawdę idą tam teraz w tej chwili? Oczywiście, że nie, jasnowidztwo nie istnieje; ktoś z telefonem komórkowym tam na Piazza na pewno by to potwierdził. Nie jest to też wspomnienie, gdyż nigdy nie był jesienią w Wenecji. Skąd więc się bierze? Jeden z panów ma kapelusz – skąd ten kapelusz? Z fantazji? Ale dlaczego wyobraża sobie właśnie to, a nie coś innego, na przykład małą dziewczynkę z babcią? Albo kilku wypomadowanych weneckich chłopców uganiających się za dziewczynami? Stroma droga prowadząca na wyżynę z piramidami nie jest oświetlona; w dolinie obok Beduini, wielbłądy i kozy tłoczą się wśród namiotów, wielkich tkanych kokonów. Para niemłodych już Anglików, zanim zasiądzie w Mena House do lektury, postanawia powędrować pod piramidę Cheopsa. Są tam jedyni. Objęci, ich palce splecione, mimo parnego wieczoru w porządnym tweedzie, zbliżają się do mrocznej bryły wyciętej z tła rozgwieżdżonego nieba, które wydaje się krzyżeć w ogłuszającej ciszy. Nie ma księżycy. Gdy wchodzi na górę, widzi, że zamarli. Pięć, sześć metrów przed nimi porusza się czarna istota wielkości



owcy – ale to nie owca, raczej olbrzymia salamandra albo skorpion, albo chrabąszcz, tuż przy ziemi, trudny do odróżnienia w ciemnościach, obrzydliwy cień, przerażające baśniowe zwierzę...

Od czasu do czasu, kiedy tekst na ekranie się zmienia, wątle światło w salonie również zmienia się na ułamek sekundy. Przyłapuje się na tym, że przez długi czas jego wzrok przykuwa jakiś słaby refleks światła, dopóki nie dociera do niego, że to klucz w drzwiach Aurory, odkłada wówczas Owidiusza i lekko się unosi. Choć nie podejmuje żadnej decyzji, nagle wstaje i przygląda się nieporuszenie kluczowi. Serce zaczyna mu walić, zupełnie jakby ten klucz go przyciągał, jak oświetlone okno chaty na wrzosowiskach przyciąga zagubionego. Powoli, na sztywnych nogach, jak robot, idzie w mrok. Przekracza próg i mimo że od klucza dzieli go zaledwie kilka metrów, wyciąga prawą rękę. Uchwyciwszy palcami metal, zamyka oczy i odchyła głowę do tyłu. Trwa kilka sekund w tej pozie, czując się jak ktoś, kto właśnie ma wysadzić budynek w powietrze. W chwili gdy przekreca klucz, dzwoni dzwonek u drzwi.

Przychodzi do siebie, jakby się budził ze snu. Nikogo nie oczekuje, to może być tylko Hendrik – pewnie chce się jeszcze czegoś dowiedzieć o profetycznym charakterze mitologii. Nie zapalając światła, idzie do drzwi wejściowych i otwiera je. Teraz wszystko następuje po sobie bardzo szybko. W poświacie z korytarza dostrzega dwie sylwetki, jedna robi krok do przodu, chwytą go obiema rękami w rękawiczkach za szyję i zaczyna dusić, druga też wchodzi do środka i zamyka drzwi; po chwili daje się słyszeć trzask otwieranego noża. W jego kieszeni zaczyna wibrować telefon komórkowy. Kto to może być? Clara? Sztokholm? Nie pada ani słowo i nagle pojmuje. Trasa, o którą chodziło mordercom, nie odnosiła się do miasta, ale do planu bazyliki. Restauracja, teatr, dyskoteka, drzewa... Czy to nie głos Brocka słyszał podczas tamtej rozmowy? Czy to on nasłat tych dwóch? A może kryją się za tym monoteistyczni fundamentalści, którzy nie mogą mu wybaczyć eobiontu? Nóż trafia na telefon, który nie przestaje wibrować. Za drugim razem stał zagłębia się w jego ciele i dociera do serca. Kiedy się z niego wysuwa, jak drzewce przechodzące przez jarzmo i dyszel, on unosi zbieleiałe dłonie i rozczapierza palce. Odśloniwszy tajemnicę życia, odsłania w końcu także tajemnicę śmierci. Jak człowiek w swojej ostatniej chwili widzi przed sobą w przebłyску, niby na filmie, całe życie – od *trzasku*, jaki wydała przecięta pepowina, do ostatniej chwili – tak, na samym końcu tego kalejdoskopu znów jest ten przebłyск i znów widzi całe swoje życie, przetaczające się w przebłyску, jak na filmie, i znów, i znów – nieskończoną liczbę razy, tak że nie osiąga swej śmierci...

Wiktor Werker jest szczęśliwy. Otacza go światło oślepiającego poranka. Jestem nieśmiertelny, myśli, a jego oczy zachodzą mgłą.

